

Na światowym stole

HENRYK SROCYŃSKI

Coraz więcej państw importuje zboże. Statystyka stwierdza, że wśród 108 krajów rozwijających się jest aż 58 takich, w których przyrost produkcji zbóż w ciągu ostatnich dziesięciu lat był wolniejszy niż przyrost ludności.

Świat nie znajduje się jednak na krawędzi śmierci głodowej. Globalnie rzecz biorąc żywności jest pod dostatkiem; niektóre kraje mają nawet kłopoty z jej zbytem. To, że w pewnych strefach planety miliony ludności kładą się spać o głodzie, świadczy tylko o fatalnym dla losu biedaków geograficznym zróżnicowaniu wydajności rolnictwa.

Problem wydajności w rolnictwie jest stosunkowo nowy. W ciągu pięciu tysięcy lat historii produkcję zbóż zwiększano głównie dzięki wykorzystywaniu ziem uprzednio niezagospodarowanych — w miarę jak wzrastała liczba mieszkańców. Dopiero w ostatnich dziesięcioleciach większość krajów wyczerpała zasoby nieuprawianej ziemi. Ale na szczęście zbiega się z tym ekspansja nauk rolniczych...

Jeszcze trzydzieści lat temu zbiory ziarna w krajach bogatych i biednych były równie niskie. Na dobrą sprawę dwa ostatnie dziesięciolecia, w czasie których kraje wysokoprzemysłowe przechodziły od uprawy ekstensywnej do intensywnej, zadecydowały o tym, że dziś świat bogatych osiąga dwukrotnie wyższą wydajność zbiorów niż świat biednych.

WIELCY PRODUCENCI

Na sytuację wpłynął przede wszystkim fakt, że pod koniec lat sześćdziesiątych obydwa supermocarstwa zaczęły dokonywać zmian w swojej polityce rolnej — ZSRR ze względów pragmatycznych, a Stany Zjednoczone raczej ze względów doktrynalnych.

czytaj str. 10

WITOLD KASPERKIEWICZ

Zagrożenia reformy

Reformowanie gospodarki jest procesem wieloaspektowym i nad wyście skomplikowanym. Na ostateczny sukces przedsięwzięcia reformatorskich wpływa cała gama różnorodnych czynników i warunków o charakterze społeczno-ekonomicznym, a także politycznym. Reforma gospodarcza jest bowiem dziełem polegającym na gruntownej zmianie dotychczasowych niesprawnych narzędzi zarządzania ekonomiką, przestarzałych układów instytucjonalnych oraz tradycyjnych nawyków myślenia i metod działania wytwórców.

Zapoczątkowany 1 stycznia 1982 roku proces urzeczywistniania założeń reformy napotyka na liczne przeszkody i ograniczenia, zarówno obiektywne jak i subiektywne. Droga wiodąca do pełnego zrealizowania rozwiązań nakreślonych w programie reformy zawiera liczne bariery. Należy sformułować pogląd, że wprowadzanie reformy odbywa się w najgorszych jakie można sobie wyobrazić warunkach ekonomicznych. Dramatyczna sytuacja gospodarcza kraju stanowi główny wyznacznik determinujący tempo i skalę przeprowadzanych zmian systemu ekonomicznego i jest zarazem podstawowym źródłem zagrożeń reformy. Nikt zresztą nie oczekiwał, że reformowanie gospodarki przebiegać będzie w optymalnych, komfortowych warunkach. Jednakże ogrom trudności i komplikacji, jakie obecnie powstały zaskoczyły chyba niejednego zwolennika reformy. W tym kontekście trafne jest częstokroć stosowane określenie — „wdrażanie” reformy. Mamy bowiem tutaj do czynienia z rzeczywistym wdrażaniem, z procesem wprowadzania reformy, któremu towarzyszy opór wielu sił i czynników. Ich przełamanie wymaga diagnozy istniejących barier reformy i uświadomienia sobie zagrożeń czyhających na drodze do jej pełnej materializacji.

ROZWIĄZANIA PRZEJŚCIOWE

Podstawowe zagrożenia reformy wypływają z ciężkiego stanu naszej gospodarki, którą cechuje spadkowa tendencja produkcji przemysłowej, spadek wydajności pracy, olbrzymie zadłużenie zagranicę, dotkliwie dysproporcje rynkowe etc. Na ten obraz nałożyć trzeba jeszcze dodatkowy element, a mianowicie restrykcje gospodarcze krajów zachodnich stosowane wobec Polski, których bezpośrednim skutkiem jest silniejsze zacisnięcie pętli materialowo — surowcowej na szyi naszej gospodarki.

Krytyczna sytuacja gospodarki narodowej rodzić może skłonność centralnej administracji gospodarczej do utrwalania tradycyjnych metod planowania i zarządzania właściwych systemowi nakazowo-rozdzielczemu. Bardzo prawdopodobny jest następujący sposób rozumowania: w warunkach ostrego kryzysu i ogólnych deficytów środków produkcji należy centralizować decyzje ekonomiczne i uruchomić sprawdzone dotychczas narzędzia dyrektywne (nakazy i limity), a nie eksperymentować stosując instrumenty ekonomiczne i zwiększając zakres samodzielności przedsiębiorstw. Często w takich sytuacjach pada argument o zaletach systemu scentralizowanego, który umożliwia selektywne działanie, skupienie skromnych sił i środków na niewrażliwych odcinkach gospodarki. Prawda jest, że pewne elementy tego systemu mogą być przydatne w okresie przejściowym, czyli w okresie dochodzenia do pełnej realizacji scenariusza reformy. Powinno to jednak dotyczyć wyłącznie tych dziedzin gospodarki, w których metody tradycyjnego systemu zarządzania zapewniały rzeczywiste uporządkowanie określonych spraw. Szczególnie ważne jest, aby ów kompromis z systemem nakazowo-rozdzielczym był chwilowym wyjątkiem, a nie regułą w modelowaniu kształtu naszej gospodarki.

czytaj str. 4

W NUMERZE: Co się wydarzyło w Ghanie? — reportaż Andrzeja Makowieckiego ■ Jak ziemiaństwo schodziło ze sceny politycznej ■ Myśl polityczna Józefa Piłsudskiego ■ Przypomnienie Melchiora

Wańkowicza ■ Jak sprzedawać używaną odzież? ■ Co znajduje się pod lodami Antarktydy? ■ Jak grać w ruletkę w Monte Carlo? ■ Kolejny odcinek „Miłości staropolskiej” ■ Recenzje ■ Felietony

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 3 (1256) ROK XXV

25 KWIETNIA 1982 ROKU

CENA 20 ZŁ



W 1920 roku w Moskwie nakładem „Goznaku” — Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych — ukazała się broszura pod tytułem: „Przyczynek do budowy państwowej piarni o specjalnym przeznaczeniu”. Broszura ta dotarła do Włodzimierza Lenina. Była ona wydrukowana na niezwykle drogiej, luksusowej papierze. Miała objętość 36 stron plus 11 wklejek na kredowym papierze. Nic więc dziwnego, że 2 września 1920 r. N. N. Krestinski otrzymał następujące pismo:

„Tow. Krestinski! Według mnie, trzeba za to marnotrawstwo luksusowego papieru i materiałów drukarskich oddać pod sąd, wygnąć ze służby i aresztować kogo należy.”

LENIN”

O listach Włodzimierza Lenina — z okazji 112 rocznicy jego urodzin — piszemy obszerniej na stronie 3.

MAŁGORZATA KARBOWIAK

Kurosawy tragedia losu

1.

Mistrz przemówił po dłuższej przerwie. 71-letni Akira Kurosawa po 10 latach zrealizował znowu film w swojej ojczyźnie. Pieniądze — 6 i pół mln dolarów — wyłożyła wytwórnia Toho, mając zagwarantowaną światową dystrybucję filmu przez amerykańską firmę 20th Century Fox. Pomogli w sfinalizowaniu sprawy dwaj wybitni reżyserzy miłośnicy twórczości Kurosawy — Francis Coppola („podobno w czasie realizacji „Apokalipsy” nieustannie oglądał moje filmy” — powie o nim japoński twórca w jednym z wywiadów) i George Lucas. Amerykanie się nie pomylili. „Sobowtór” („Kagemusha”) zyskał entuzjastyczne przyjęcie na festiwalu w Cannes w r. 1980 (dowodem najwyższa nagroda), a wielu krytyków uznało to dzieło za swoiste zwieńczenie twórczości autora „Rashomona”.

czytaj str. 9

Foto: M. Zajdler

Przegląd prasy

KROPKA NA MAPIE

Polska przestała być atrakcją prasy światowej. Jej miejsce zajęły Falklandy — grupa wysp (Falklandy Zachodnie i Falklandy Wschodnie) położona na północno-wschód od przylądka Horn o powierzchni 11 961 km kwadratowych, którą zamieszkuje około 2 tysiące osób. Ludność ta zajmuje się hodowlą owiec i rybołówstwem. Centrum administracyjnym jest Port Stanley. Wyspy były chętnie odwiedzane przez turystów. I chociaż położone są blisko kontynentu Południowej Ameryki, formalnie należą do Wielkiej Brytanii. Ostatnio żaden przyzwoity serwis informacyjny agencji prasowej, pisma, radia czy telewizji nie może pominąć wśród czołowych informacji wiadomości o losach konfliktu falklandzkiego.

Początkowo konflikt ten traktowano trochę z przymrużeniem oka, ale płynąca w tym kierunku flota brytyjska i zbrojenia się Argentyny, czynią ten konflikt poważnym. Wszyscy mamy świadomość, że wojna światowa może wybuchnąć z byle pretekstu. Chodzi więc o to, żeby takiego pretekstu nie dać. A więc, żeby również spór o Falklandy nie stał się takim pretekstem i aby kibice piłkarzy mogli spokojnie obejrzeć w czerwcu piłkarskie mistrzostwa świata. Coś to byłoby za mistrzostwa bez Argentyny?

DLACZEGO FALKLANDY?

Odpowiedź na to pytanie próbuje dać w „POLITYCE” (nr 9 z 17.IV.82 r.) Michał Jaranowski. Przypomina on, że spór o Falklandy (albo Las Malvinas — jak chcą Argentyni) ciągnie się już od dawna. W 1770 r. flota Hiszpanii przepędziła z wysp osadników brytyjskich, a następnie flota brytyjska osadziła ich tam z powrotem. Kiedy Argentyna uzyskała niepodległość, uznała, że również należą się jej Las Malvinas. Na wyspach wyładowała żołnierze argentyńscy. Na Falklandy popłynęła flota brytyjska i znów nad wyspami powiewała flaga brytyjska. Już w naszych czasach w 1964 roku, do ONZ zjechała delegacja z Falklandów, która próbowała przekonać komisję dekolonizacyjną ONZ, że Falklandy nad wszystkim kochają Wielką Brytanię i chcą do niej należeć na wieki. Wtedy jeszcze najmniejsza nawet wyspa na dalekich morzach nie miała takiej wartości, jaką ma dziś, kiedy może się okazać, że pod okolicznymi morzami jest... nafta. Wtedy chodziło o coś innego, bardziej prozaicznego, po prostu o handel wełną, której odbiorcy mieli swoje siedziby w Anglii, Holandii, Japonii. To wszystko jednak nadal nie tłumaczy, dlaczego właśnie teraz i właśnie Falklandy.

Michał Jaranowski przyczynę tego konfliktu upatruje w wewnętrznej sytuacji Argentyny. Po wojskowym zamachu stanu z 1976 r. Argentyna nadal znajduje się w trudnej sytuacji gospodarczej i społecznej. Kolejne zmiany na urzędzie prezydenckim nie przyczyniły się do poprawy tej sytuacji. 31 marca 1982 r. odbyła się w Buenos Aires największa od 1976 r. demon-

stracja. Aresztowano 1000 osób. Organizator tej demonstracji — centrala związkowa CGT — zapowiedziała strajk generalny.

„Dwa dni później — pisze M. Jaranowski w „POLITYCE” — 2 kwietnia na Falklandach lądują oddziały piechoty morskiej, a rząd oświadcza w komunikacie oficjalnym, że „Las Malvinas zostały przywrócone ojczyźnie i przechodzą pod suwerenną władzę państwa argentyńskiego”. Wystąpienie prezydenta Galtieri w Buenos Aires gromadzi rzęsę wzywających ludzi, którzy jakoby zapomnieli o misji gospodarczej, o problemach społecznych, o aresztowaniach. Prezydentów zgutowano owa- cję — w kraju zapanała na- strój euforii; sukces zewnętrzny skanalizował frustrację we- wnętrzną. 13 głównych partii politycznych, będących w opo- zycji wobec junty, poparło za- garnięcie siłą archipelagu.”

ULISSES STRACIŁ OKRĘT...

Konsekwencjami kryzysu falklandzkiego dla premiera Wielkiej Brytanii, pani Margaret Thatcher, zajmuje się londyńska korespondentka AP Maureen Johnson, która pisze:

„Tydzień, to długi okres czasu w polityce — zauważył kiedyś premier Wielkiej Brytanii, Harold Wilson. Słowa Wilsona, obok dwóch innych — Wyspy Falklandzkie — prawdopodobnie odniesie się na zawsze w sercu premiera, pani Margaret Thatcher.

Przed tygodniem przebywała ona na kontynencie europejskim, rozmawiając z Francuzami na temat brytyjskiego wkładu do budżetu Wspólnego Rynku. Zdymisjonowany dopiero co minister spraw zagranicznych w jej gabinecie, lord Carrington, sprawił, że wpływ brytyjski na Bliskim Wschodzie zaczął być odczuwalny. W kraju rezultaty ankiety badania opinii publicznej wskazywały na stopniowe wyco- chowanie z okresu braku popu- larności. Wskaźniki gospo- darcze zaczęły dowodzić, że rygorystyczna polityka, jaką się kierowała od czasu od- siania do władzy, zyskuje 3 la- ta temu „jastrzębi” prawico- wy mandat, zaczęła się opia- cąć. Zdolała wymodelować wśród kolejnych sporów i tarć gabinet, jaki jej się podoba.

Nagle wszystko się zmieni- ło w rezultacie ironicznego zderzenia z kolonialną prze- szłością Wielkiej Brytanii. Funt szterling zalał się, to samo dotyczy notowań akcji na giełdach, a potężna brytyj- ska armada została wysłana w morze, udając się na wojnę. Obecnie pani Thatcher spo- strzega, że jej przyszłość poli- tyczna związana jest nie z polityką gospodarczą, ale z odebraniem Argentynie na upiół zapomnianego archipe- lagu na Południowym Atlantyku — Falklandów, gdzie żyje 1800 oddanych jej Brytyjczy- ków i 600 tys. owiec. Jak za- uważała jedna z londyńskich popołudniówek, THE „STAN- DARD”, która normalnie po- piera szefa partii konserwa- tywnej, „kryzys ten trzeba traktować jako osobistą tra- gedie, jako osobistą agonię pani Thatcher... Wyrażając się brutalnie, po wszystkim tym, co wydarzyło się w Wiel- kiej Brytanii w ciągu minio- nych 3 lat, jeśli pani Thatcher nie pozostanie Żelazną Damą, to będzie nikim.”

W poincie korespondencji autorka stwierdza:

„W lutym pani Thatcher przyjechała „Odyseję” Home- ra dla wyjaśnienia, dlaczego sądzi, że kraj poprze jej decy- zję leczenia chorób, na jakie cierpi Wielka Brytania przy pomocy surowych rozwiązań monetarystycznych: „Ulisiesie, pamiętaj, że musisz oprzeć się syrenim głosem i bezpiecznie powrócić do ojczystego portu”. Po zajęciu Falklandów przy- pomniano, że chociaż Ulisses powrócił do domu, to po dro- dze stracił okręt”.

Co będzie dalej z Falklan- dami? Czy ta „kropka na ma- pie” stanie się przyczyną kon- fliktu, czy padną strzały, czy też dojdzie do pokojowego rozwiązania? Najbliższy czas przyniesie odpowiedź na te pytania.

O ZAMROŻENIE ZBROJEŃ

Temat stale aktualny — zamrożenie zbrojeń nuklear- nych porusza na łamach „LA NOUVEL OBSERVATEUR” Henri Pierre, przypominając o narastających w Stanach Zjednoczonych protestach przeciwko prowadzonej przez Reagana polityce zbrojeń, które niejako zaczęły się w stanie Vermont, gdzie zgromadzenia ludowe uchwały apel wy- wający prezydenta do podje- cia rokowań ze Związkiem Radzieckim. Autor pisze dalej:

„Wysoko postawionym oso- bistościom w Waszyngtonie zrzedły jednak myśli, gdy za przykładem stanu Vermont niemal analogiczny wniosek uchwały zgromadzenia usta- wodawcze stanów Massachu- setts, Connecticut, Wisconsin, Oregon i Nowy Jork. W Kali- forni zebrało ponad 500 tys. podpisów pod petycją propo- nującą zwołanie referendum w sprawie projektu zamroże- nia zbrojeń nuklearnych. Ogó- leń przypuszcza się, że ponad 1 mln Amerykanów przylączy- ło się w ostatnich tygodniach do krucjaty antyatomowej, co potwierdza niedawny sondaż instytutu Gallupa z którego wynika, że 72 proc. Ameryka- nów nie chce kontynuowa- nia wyścigu zbrojeń, lecz ra- czej zawarcia paktu ze Zwią- zkiem Radzieckim.”

(...) Czy trzeba wierzyć ko- mentatorowi Josephowi Kraf- towi, że „z nastaniem wiosny i pięknej pogody w kraju za- częną się masowe demonstracje przeciwko broni nuklearnej, takie same, jak te, które mia- ły miejsce w Europie”? Roz- miary ruchu będzie można ocenić lepiej już niedługo, gdy pod koniec maja odbędą się uroczyste nabożeństwa pokojo- we w 3000 kościołach i syna- gog. Poprzedzą one Narodowy Dzień Pokoju planowany na 12 czerwca w Nowym Jorku. W każdym razie społeczeństwo amerykańskie, nie zważając na ostrzeżenia zdeorientowanych przywódców i Percy'ego środków masowego przekazu na temat „czerwonego niebezpieczeń- stwa” zdaje się budzić ze snu, ukazując światu zapomniany wizerunek kraju o silnych ko- rzeniach pacyfizmu. Boi się ono bowiem zagłady nuklear- nej.”

CZUŁY PUNKT

W świątecznym numerze „POLITYKI” nr 8 z 10.IV. 82 r.) Daniel Passent, powołu- jąc się na „Głos Szczeciński”, opisał wyprawę dzieci ze Szczecińskiego do Szwajcarii. Wszyscy dziś chcą pomagać biednej Polsce i biednym Po- lakom. Chwała im za to, ser- deczne dzięki, ale — jak się okazuje — taka pomoc powin- na również podlegać kontroli społecznej. Daniel Passent dał upust swojej fantazji i przed- stawił apokaliptyczny obraz tego, co by się działo, gdyby działały niezależne samorząd- ne związki zawodowe i okaza- ło się, że do Szwajcarii, obok tych, którzy powinni pojechać, pojechali również dzieci rodzi- ców dobrze sytuowanych i ma- jących różne dobre stosunki. A tak się właśnie stało. I nie tylko w Szczecińskim.

Już bez fantazji, ale rzeczo- wo, w oparciu o fakty, rozmo- wy z ludźmi, pisze o takiej sa- mej sprawie w „PRZEGŁA- DZIE TYGODNIOWYM” (nr 3 z 18.IV.82 r.) w reportażu „Wstyd nie dym” Włodzimierz Krzyżanowski. Tym razem nie ze Szczecińskiego, ale z Płoc- ka. Tam przyszło zaproszenie od architekta Zdzisława Pre- gowskiego, rodaka spod Płoc- ka, na stałe mieszkającego w Szwajcarii, który chciał może i dobrze, ale wyszło nie na- dziei. Znowu nie pojechały te dzieci, które powinny, znowu ktoś coś załatwił przez stosun- ki, w końcu 26 miejsce nie ob- sadzono. Dzieci były w Szwaj- carii przez 5 tygodni, wróciły obdarowane prezentami, teraz czekają na paczki od szwaj- carskich wujciów i cioci. No, i dobrze — można byłoby skwitować całą tą „szwajcar- ską aferę”, ale miała ona lic- ne minusy.

Włodzimierz Krzyżanowski cytując w swoim reportażu szwajcarską gazetę „Tages- Anzeiger”, która pisała mię- dzy innymi: Szwajcarscy pe- dagodzy i socjologowie uska-

zali na próby wyobcowania polskich dzieci z sytuacji w jakiej żyją, na rozszepienie im nastrojów konsumpcyjnych, kształtowanie niechęci do własnej ojczyzny”. Cytuje też wypowiedź jednego z płockich księży: „Czy w Warszawie, w ministerstwie, ktoś umyślo- wił sobie, że dla dzieci ten wyjazd może być również lekcją antypatriotyzmu, zatra- cania narodowej godności, bra- ku poszanowania norm praw- nych: człowiek proponuje po- nad miesięczny wypoczynek w czasie trwania roku szkolnego i władze to aprobuje? Zdumie- wające! Zadajmy sobie pyta- nie: czy rzeczywiście musimy korzystać ze wszystkich ofert? Czy nie byłoby godniej korzy- stać tylko z tych absolutnie koniecznych?”

Ale jest i druga strona tej „szwajcarskiej afery”. Saty- rycznie wyolbrzymił ją w „POLITYCE” Daniel Passent. Jest to sprawa kontroli spo- łecznej. Jesteśmy dziś bardzo czuli na punkcie sprawiedli- wości społecznej, bo jest to też i fundamentalna zasada naszego ustroju. Zasada ta by- ła wielokrotnie naruszana. Dla- tego dziś, kiedy świadomość naruszenia tej zasady, jak po- trzeba jej przestrzegania jest powszechna, niezbędna jest może nawet do przesady czu- ła kontrolna społeczna. I nie można się tłumaczyć, że brak- ło czasu, że względy prestiżo- we, że „świat patrzy”. Ludzie też patrzą i z ich opinią trze- ba liczyć się nawet więcej niż z opinią świata. Punktem dziś najbardziej czułym jest pro- blem sprawiedliwości społecz- nej i nigdy mało troski o tę sprawiedliwość, o prze- strzeganie wszelkich jej zasad, o przestrzeganie praworządno- ści. I nie tylko dziś. Tej troski musimy się uczyć i nau- czyć.

JEŚLI CHODZI O ŚWIAT

Jeśli chodzi o to, jak nas ocenia świat, to w „PERSPEK- TYWACH” (nr 9 z 16.IV.82 r.) Tadeusz Iwiński relacjonuje stosunek różnych partii komu- nistycznych do zastosowania w Polsce środków radzających- nych. Autor pisze o stosunku partii z bratnich krajów socja- listycznych, z 55 krajów słabo rozwiniętych i 23 partii za- chodnioeuropejskich a w tym szczegółowo omawia stanowi- sko partii „eurokomunistycz- nych”. W zakończeniu artyku- łu Tadeusz Iwiński przypomina, że każda partia ma prawo do prezentowania własnego stanowiska i wyboru własnej drogi do socjalizmu, ale nie może też zapominać, że winno to być „sprężone z respektowa- niem podstawowych kano- nów marksizmu-leninizmu, przy zachowaniu celów łączą- cych cały ruch w skali mię- dzynarodowej, a więc — inter- nacjonalizmu proletariackiego”.

Na zakończenie

WAŻNA WIADOMOŚĆ

dla amatorów astronomii, a- stronautyki, a także fantastyki naukowej. Ukazał się 6 z 1981 r. numer „ASTRONAU- TYKI”, jeszcze po starej cenie: 10 zł. Jest to dwumiesięcznik popularnonaukowy Polskiego Towarzystwa Astronautyczne- go. Ostatni numer z ubiegłego roku przynosi między innymi ciekawy artykuł Olgierda Wol- cka pt. „Marsjanie”. Autor dokonuje porównania naszych wyobrażeń literackich, fantas- tycznych-naukowych o życiu na Marsie z naszą aktualną wie- dzą o tej planecie. W zakoń- czeniu artykułu pisze on:

„Nawet jednak gdyby, wbrew naszym logicznym docieka- niom, pojawiło się tam kiedyś życie, nie była mu dana moż- liwość picia się pod górę ku jego wyższemu formom. Mar- sjanie są tylko miętami uciele- niającymi nasze prądowe ma- rzenia, baśnią o innych isto- tach, które wbrew nawet naj- bardziej niepokojącym naszym domniemaniom i fikcjom lite- rackim, tak bardzo chciałby- my spotkać.”

W tymże numerze „ASTRO- NAUTYKI” przegląd aktual- nej wiedzy o innych planetach Układu Słonecznego i o naszym satelicie.

LUCJAN BOGUSZ

Jerzy Wawrzak redaktorem naczelnym oddziału łódzkiego KAW

JERZY WAWRZAK — wieloletni redaktor naczelny „Odgłosów”, znany łódzki literat i dziennikarz — został powołany na stanowisko redaktora naczelnego łódzkiego oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej.

Składając serdeczne gratulacje wyrażamy jednocześnie nadzieję, że również na nowym stanowisku red. Wawrzak okaże się życzliwym protektorem łódzkiego śro- dowiska literackiego i dziennikarskiego, a jeżeli czas mu tylko pozwoli, do starych „Odgłosów” od czasu do czasu zechce także coś napisać...

Zobaczyć tęczę

Zabłądziłem w lesie. Po przeszło godzinnym marszu dotarłem do brzegu gestwiny. I nagle pojaśniało. Podniosłem głowę i krzyk- nąłem z zachwytu. Przepyszny, podwójny łuk tęczy błyszczał na niebie.

Dla mieszczaucha z zadymionej Łodzi obraz, jaki przygotowała pani Przyroda, był czymś w rodzaju radosnego święta. Z okna mojego M... na co dzień oglądam bowiem serial pt. „Zagryzako- wie” w wykonaniu sąsiadów z bloku naprzeciwko.

Niespodzianka aury, która mnie tak mile zaskoczyła, miała jeszcze i tę praktyczną stronę, że mogłem wreszcie zorientować się w stronach świata i wrócić do „miejsc postojów”, które miałem w Borku koło Gorzowa Wielkopolskiego.

Idąc przez las natknąłem się na wyręb. Nie jest to przyjemny widok. Nowe drzewka, posadzone na karczowisku nie wywołują wrażeń natury estetycznej. To już nie las, a przemysłowa produk- cja drewna.

Widziałem jeszcze i taki obrazek po drodze. Z daleka wygła- dało to jak rdzawy liszaj na zielonym runie. Gdy podszedłem bliżej, okazało się, że jest to kilka ton starych, pokruszonych ce- giel. Ktoś je przywiózł i zwałił w samym środku lasu.

Niedaleko owego wysypiska drugi kwiatek. W głębokich dołach sposzreżem kilkanaście równo pociętych pni. Kto je tu zwałił i po co? Żadna siła nie wygłębila tych pni z rowów — pułapek. Traktor tu nie dojedzie, koń nie da rady. A może to jakie chore drzewa? Były to zdrowe, wspaniałe sosny.

W Borku byłem dwa tygodnie. Dość często zdarzało mi się przechodzić obok tego miejsca. Nie zauważyłem jednak, by te „obrazki” wzbudziły zainteresowanie służby leśnej.

Innym razem spędzałem urlop w Limanowej. Czerwiec zapo- wiadał się pogodny i ciepły. Tylko mętne i obfite niż zazwyczaj wody potoku płynącego przez to piękne miasteczko przypominały o deszczach.

Ten potok zwrócił moją uwagę, a to ze względu na fakt, iż prowadzono w jego korycie prace regulacyjne. Wiadomo, rzeki i potoki górskie nie należą do najspokojniejszych, szczególnie wiosną. Koryto tegoż potoku (nazywał się bodajże Starowiejski) wykładano betonowymi płytami, które przy niskim stanie wód miały tworzyć piękną promenadę. Trzeba tu dodać, że sam potok płynął głębokim parowem, który skutecznie chronił miasto przed powodzią. A zbroca tego parowu były systematycznie odzierane z darni przez pracowników przedsiębiorstwa wykonującego regula- cję. Przeszedłem się wzdłuż potoku. Na znacznej długości taki sam widok. Zrobiłem wycieczkę w odwrotnym kierunku, tam, gdzie zakończono już prace regulacyjne. Owszem, wszystko pięk- nie ułożone, wygładzone. A na zboczach po raz drugi zasiana trawa. W czym była ona lepsza od tej zdartej? Nie wiem. Ale widziałem, jak wiosenne deszcze wyżyłoby w niezwiązanej ko- rzeniach glebie głębokie rowki, w których przeżytywała goła skala. W tych miejscach już nie nie wyrósł.

Nie ma sensu podawać nazwy przedsiębiorstwa, które wykony- wało regulację. Tak się zresztą dzieje w wielu miejscach kraju. Zastanawia mnie tylko jedno: czy nikt z pracowników, obojętnie który, kierownik czy robotnik — nie pomyślał?

Ostatecznie, wszędzie może zdarzyć się niedopatrzeń, można też po prostu popełnić błąd. Ale trudno nazwać niedopatrzeńiem to, co ujrzałem tuż obok Zakopanego, w lesie położonym na te- renie Murzasichla, na trasie wiedzącej do przystanku autobusowe- go Brzeziny. Otóż, między potężnymi, liczącymi sporo lat świerkami okoliczni mieszkający urzędnicy sobie... wysypisko śmieci. W kilkudziesięciu miejscach leżą beładnie porzucone: stare żelastwo niewiadomego kształtu i przeznaczenia, popękane opony, kafele od pieców i potężne pryzmy wszelakiego śmiecia, zbędnego i zawadającego w obejściu schłodnym gazdom sławnej, wczor- szej miejscowości. Poszycie tego lasu pokrywa gruba warstwa suchego igliwia. Jeżeli kiedyś zdarzy się, że słońce przeniknie przez mocno rozrośnięte konary i trafi na którąś z hojnie poro- zczanych (i często potłuczonych) butelek, na nieszczęście nie trzeba będzie długo czekać.

Prasa, radio i tv nieraz już pokazywały i opisywały podobne przypadki. Niejeden las został w ten sposób „odczubiony”. Ale ten o którym piszę należy, jak podają wszem i wobec ogromne tabli- ce do... Tatrzańskiego Parku Narodowego! Znajduje się pod szcze- gólną opieką i ochroną! Jest unikalny! A funkcjonariuszy, odpo- wiedzialnych za stan parku, nie spotkałem w okolicy ani razu. Przepraszam. Spotkałem. Mężczyznę w stroju leśnika, który kie- rował ekipą filmową kręcącą film o Tatrach.

Do tamtejszych mieszkańców też nie dociera, jak się zdaje, treść owych tablic. A przecież, co to jest park narodowy, uczą już w szkole podstawowej. I zapewne, gdybym zapytał kogoś o to, czy trzeba szanować zieleni, popatrzyłoby na mnie jak na wariat. A gdybym tak zapytał, czy nie znalazłoby by się inne miejsce na wysypisko? Przypuszczam, że otrzymałbym odpowiedź, w której dużo byłoby o tym jak to mało ziemi uprawnej jest w górach, jak to górale wykorzystują każdy najmniejszy skra- weczek na pola czy pastwiska. Zresztą, już to słyszałem. Szkoda marnować miejsce! Tylko czy nie szkoda marnować w tak głupi sposób przepiękny, stary las, którego mamy coraz mniej?

Przykłady takie można mnożyć w nieskończoność. Opisując lasy czy rzeki. Chociażby łódzkie, które od dawna służą przemy- słowi jako ścieki. I od dawna nikt, mimo wielu rezolucji i uchwał, nie stara się zmienić istniejącego stanu rzeczy.

Powstało wprawdzie Polskie Towarzystwo Ekologiczne. Uchwa- liło ambitny, długofalowy program działania. Nie można się jed- nak oprzeć wrażeniu, że działają nieco spektakularnie. Ze nie zwracają uwagi na to, co stanowi podstawę działania. Inaczej mówiąc, chronić naturalne środowisko człowieka to nie tylko zamykać hutę w Skawinie, ale dbać o tereny zielone, prowadzić racjonalny wyręb lasów (wykorzystywać każdy kawałek drze- wa), szybko i prawidłowo zalesiać karczowiska itp. Nie można dopuszczać do zaśmiecania lasów, choćby nie był to Tatrzański Park Narodowy, a zwykły podmiejski zagajnik! Po co pogłębiać erozję, zrywając ochronną warstwę trawy. Czy można w ogóle mówić o ochronie środowiska, gdy w tak ordynarny sposób niszc- zymy jego elementarne podstawy?

Zacznijmy przede wszystkim myśleć, bo dotychczas nie było to naszą najmocniejszą stroną. I traktujmy jednakowo poważnie za- dania zarówno największe, ogólnopolskie, jak i najmniejsze, po- dwórkowe. Może wtedy i w zadymionej Łodzi, na Śląsku i gdzie indziej ujrzymy tęczę?

STEFAN JOŹWIAK

Redaguje zespół: Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, (z-ca sekretarza redakcji), Teresa Jerzykowska, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Jerzy Panasiewicz (z-ca re- daktora naczelnego), Igor Sikirski (kie), dział literacki), Karol J. Stryński, Janusz Szy- mański (grafik), Grażyna Szybowska (redaktor techniczny), Lucjusz Włodkowski (re- daktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy” al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefon: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 600-99, publicysta 677-70. Redakcja nie zaliczamy rekla- m. Nie zwraca zastrzeżenia sobie również prawo do skróto- w. Informacji o warunkach prenumeraty u- działają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolporta- żu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP: XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców in- dywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdziel- nia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 634, F-2.

Włodzimierz Uljanow urodził się 22 kwietnia 1870 roku w Symbirsku w rodzinie nauczycielskiej. Jego ojciec, Iłja Uljanow, był inspektorem szkolnym i nauczycielem matematyki i fizyki. Jego bracia byli rewolucjonistami. Włodzimierz Uljanow chodził do gimnazjum w Symbirsku, a następnie studiował prawo w Kazaniu. Do Symbirsk już więcej nie wrócił. Symbirsk dziś nazywa się Uljanowsk i w mieście tym pieczołowicie przechowuje się wszelkie pamiątki po Włodzimierzu Iłjczu Leninie. Stoi dom, w którym się Lenin urodził, stoją domy, w których mieszkał. Dobrze przygotowane przewodniczki pokazują zwiedzającym szkołę, do której chodził, ulice, po których biegał, miejsca, gdzie lubił się kąpać. Tu zaczęło się życie wodza rewolucji socjalistycznej. Tu można dowiedzieć się, jakim był dzieckiem i młodzieńcem? Jakim był człowiekiem? To można poznać z innych dokumentów i pamiątek, dotyczących już późniejszych lat życia.

Łaszo Gyrkow w książce „Lenin — Październik” tak pisze:

„Według meldunków tajnej policji carskiej miał 166 cm wzrostu, był krepki, o silnej budowie. Włosy rude, od młodzieńczych lat nosił brodę i wąsy. Wcześniej zaczął tyścić, co tylko jeszcze bardziej uwidoczniło jego potężne, sokratesowskie czoło. Silnie zarysowany podbródek, wystające kości policzkowe, żywe, brązowe jak u Mongołów oczy. Chętnie dowcipkował i śmiał się. W takich wypadkach przyjmował skoczne oczy i filuternie mrugał. Szczególnie upodobał sobie ton ironiczny, ale potrafił też śmiać się swobodnie, jak dziecko. Nieznacznie sepleniał, mówił szybko, trochę niewyraźnie. Władztwo płynnie niemieckim, angielskim, francuskim, rozumiał po polsku, czesku, szwedzku, włosku, grecku, znał łacinę. (...) Ubrał się bardzo prosto, ubranie nosił długo, ale zawsze zwracał uwagę na schludny wygląd. Był bardzo przywiązany do porządku i surowo go przestrzegał, nie cierpiał niepunktualności i nieodpowiedzialności. (...) Po wielkich dyskusjach przeważnie tracił wigor i młoczał, miał zły humor. Szybko upadał na złość, ale równie szybko się uspokajał. Nie pił, nie palił. Niewzruszalnie szybko pracował i czytał. Potrafił napisać dwadzieścia—trzydzieści stron dziennie, pożerał książki, co pół minuty odwracał stronę, a mimo to potrafił zapamiętać wszystko, co istotne. Gimnazjum ukończył z odznaczeniem, uniwersytet w czasie o połowę krótszym niż jego koledzy. Lubiał dzieci, wieczną gonitwę, psy i koty, naturę; namiętnie, choć ze skromnymi rezultatami, polował, chętnie jeździł na rowerze, pływał, chodził na wycieczki. Mając osiem lat zaczął grać w szachy, w młodym wieku rozprywał partie ze znanymi mistrzami, ale później zrezygnował z tej rozrywki...

Tyle inni o Leninie. A on sam? Pamiętników nie pisał. Zaledwie szkice do biografii i to fragmentaryczne. Ale pisał listy. Różne i dużo. Z tych listów wyrobić sobie można pogląd na człowieka, jakim był Włodzimierz Lenin. Są to bowiem dowody jego reakcji na różne sprawy, stosunku do pracy, do innych ludzi, troska o nich, aby nie stała się im krzywda, jak też i przysięga, gdy na nią zastąpił. Tych listów zebrało się bardzo dużo. Dokonany tu wybór jest ich cząsteczką, ale bardzo charakterystyczną. Tam, gdzie to niezbędne opatrzymy listy komentarzem.

Drogi Towarzyszu Joffe!

Prawdę mówiąc, zły jestem na Was tak, że już chyba bardziej nie można. Ludzi mało, wszyscy są przepracowani, gonią ostatkiem sił. Wy zaś urządzacie taką oto historię: o ucieleśnieniu sprawach rzeczowych piszecie w osobistym liście do mnie (w ostatnim liście, obojętnym) i zamieszczacie w nim wiele osobistych wypadków, napasli, uszczypliwości itd. pod adresem Czerwina („niezdarzony” minister itd.). Czerwina zaś komunikujecie: „Perspektywy w liście do Lenina”.

Zaprawdę to już przekracza wszelkie granice! Czerwina oczywiście zapytuje mnie o list, ja zaś nie mogę go przecież pokazać, bo nie chcę być przychylny kłótni. Obraca się to na niekorzyść sprawy i odbija niekorzystnie na stosunkach wzajemnych.

Czerwina do pracownika doskonałego, absolutnie rzetelnego, mądrego i doświadczonego. Tego rodzaju ludzi należy cenić. Że ma słabość — brak skłonności do „komendowania”, to niewielka bieda. Czyż mało jest ludzi na świecie o wręcz odwrotnej słabości!

Współpracować z Czerwinem można, przychodzi to łatwo, ale zepsuć pracę można nawet z nim.

Czepiacie się go, ale Komisariat Spraw Zagranicznych ma prawo skarżyć się na Was, bo nie liczyście się z nim, bez wiedzy zaś i bez ludowego komisarza spraw zagranicznych ambasadorowie nie mają prawa podejmować stanowczych kroków.

Mam nadzieję, że podejmiecie wszelkie kroki, aby owe Misstanie (mankamenty) usunąć. Że „poruszyliście” Krasina, to bardzo dobrze. Tęskniacie za wszystkim sił Skłowskiemu; to leninizm; domagacie się sprawozdań i sprawozdań, groźcie.

Skiskam dłoń. Lenin”

List został napisany 1 lipca 1918 roku. A. A. Joffe był w tym czasie ambasadorem Rosji w Berlinie. Georgij W. Czerwina — radziecki dyplomata — od 1918 roku do 1930 był zastępcą i ludowym komisarzem spraw zagranicznych. Leonid B. Krasin — również dyplomata radziecki. To właśnie do niego w tejże samej sprawie 3 lipca 1918 roku W. Lenin wystosował poufne pismo takiej treści:

„Berlin, ambasada Rosji
Osobisty od Lenina do Krasina

„Całkowicie doceniam pracę Joffego i bezwarunkowo aprobuje ją, ale domagam się stanowczo, by zachowywał się jak ambasador, który podlega ludowemu komisarzowi spraw zagranicznych, oraz by przestrzegał dobrych manier, nie używał zbyt dosadnych wyrazów i nie pominał innymi, powinien zapytywać o wszystko ludowego komisarza spraw zagranicznych. Tylko pod tym warunkiem mogę i będę popierał ambasadora Joffego. Liczę na Wasz fakt i umiejętność zasugerowania tego ambasadorowi Joffemu. Oczekuję odpowiedzi.”

Lenin”

Inny list napisał A. A. Joffe 15 marca 1921 roku. Toczyły się wtedy rokowania z Polską w Rydze. A. A. Joffe stał na czele radzieckiej delegacji, która prowadziła te rokowania. W liście do Lenina skarżył się na KC, że przerzuca go zbyt często z jednej pracy do drugiej, a on ma duże doświadczenia w pracy politycznej i dyplomatycznej, i nie jest właściwie wykorzystywany. Na list ten W. Lenin odpowiedział 17 marca.

„Drogi Towarzyszu Joffe! Poważnie żartuję, mnie Wasz bardzo zdenerwowany list z 15. III. Widzę, że Wasze niezadowolenie, a nawet oburzenie ma najbardziej usprawiedliwione przyczyny, ale zapewniam Was, że mylicie się we wskazywaniu powodów.

Po pierwsze mylicie się powtarzając (wielokrotnie), że „Komitet Centralny — to ja”. W ten sposób można pisać tylko w stanie silnego podniecenia nerwowego i przemęczenia. Poprzedni Komitet Centralny (1919 — 1920) zwyciężył mnie w jednym z niezwykle ważnych problemów, o czym widać z dyskusji. W sprawach organizacyjnych i personalnych niezliczoną ilość razy pozostawałem w mniejszości. Wy sami widzieliście to niejednokrotnie, kiedy byliście członkiem KC.

Po ośm tak denerwować się i pisać zupełnie bezpodstawnie, absolutnie bezpodstawnie, że Komitet Centralny — to ja. To świadectwo przemęczenia.

Po drugie ani cienia niezadowolenia z Was,

początku trzeba pokonać Denikina, a później dopiero przechodzić do stanu pokojowego.

Składam wnioski, by odpowiedzieć Stalinowi, co następuje: „Biuro Polityczne nie może wezwać Was, ponieważ stoi na stanowisku, że sprawą najważniejszą i najpilniejszą jest ostateczne rozgrzeszenie Denikina, w związku z czym powinniście starać się ze wszystkich sił przyspieszyć umocnienie frontu kaukaskiego”. Lenin”.

Józef Stalin nie dał za wygraną. Odpisał Leninowi: „Nie rozumiem, czemu to ja przede wszystkim muszę troszczyć się o front kaukaski. Troska ta leży przede wszystkim na Rewolucyjną Radę Wojenną Republiki, której członkowie są — według moich informacji — zupełnie zdrowi, nie zaś na Stalina, który i tak jest przeciążony pracą”. Lenin natychmiast odpowiedział na ten telegram szyfrowanym tekstem, przekazanym 20 lutego 1920 r. bezpośrednią linią telegraficzną.

„Do J. W. Stalina

Na Was leży się troska o to, by przyspieszyć skierowanie posłków z frontu południowo-wschodniego na front kaukaski. W ogóle należy wszelkimi siłami pomagać, nie zaś spierać się na temat kompetencji resortowych”.

Decyzja z 12 lipca 1921 roku miało na początku 1922 r. przeprowadzić ogólnokrajowy spis członków RKP(b). W Moskwie spis taki

te pozycję i jak najwięcej je zredukować”. Na liście tym F. Dzierżyński napisał:

„Uważam, że redukcja jest tu niedopuszczalna. W garnizonie jest 6 aut i wszystkich 12 ludzi. Stawki są ogólne. Konserwacja aut dobra, używa się ich tylko w nocy”. Pod notatką podpisali się A. D. Czurupa i A. I. Rykow.

Lenin — w ostatnich latach życia sam nie ciesząc się najlepszym zdrowiem — dużą wagę przywiązywał do zdrowia działaczy partyjnych i państwowych. 24 grudnia 1921 roku wystosował następujący list do W. M. Molotowa, przeznaczony jednocześnie do wiadomości wszystkich członków Biura Politycznego KC RKP(b):

„Tow. Molotow

Domagam się jak najbardziej stanowczo, aby Biuro Polityczne powołało natychmiast telefonicznie uchwałę o niezwłocznym skierowaniu (zaraz po plenum o związkach zawodowych) Rudzutaka do Niemiec; ma i temperaturę i pluje krwią. Jest rzecz jasna, że gruźlica zastrza się.

U nas nie potrafią go wyleczyć, najważniejsze zaś jest to, że nie zastosują należytej kuracji.

Lenin”

W dwa dni później Biuro Polityczne podjęło taką decyzję. Ale sprawa leczenia Rudzutaka jeszcze raz powraca w listach Lenina. 6 marca 1922 r. Włodzimierz Lenin ponownie pisze do W. M. Molotowa:

„Proszę zebrać głosy członków Biura Politycznego, aby bez zwłoki przeprowadzić głosowanie nad następującym wnioskiem, (o którym już wspomniałem rozmawiając ze Stalinem, jak również z Kamieniewem i Zinowjewem).

1. Zobowiązać towarzysza Rudzutaka, by natychmiast pojechał do sanatorium i przed jazdą (chodzi o XI Zjazd RKP(b) — przyp. W.P.) nie wyjeżdżał stamtąd, ściśle stosując się do wskazań lekarzy.

2. Zobowiązać doktora, (jak nazywa się lekarz KC?) (jeżeli tak mienią się owe instytucje przy KC) na ważnych stanowiskach usadawić się durnie i pedanci. Wy zaś oczywiście nie macie czasu doglądać ich.

3. Trzeba przeprowadzić kierownika wydziału statystycznego.

4. Trzeba gruntownie przetrząsnąć ten wydział, jak również wydział ewidencji i kontroli.

W przeciwnym razie my sami („walcząc z biurokratyzmem”) płożymy pod swoim własnym nosem najhamowniejszy, najgłupszy biurokratyzm.

KC ma władzę ogromną, możliwości — gigantyczne. Rozmieszczamy 200 — 400 tysięcy działaczy partyjnych, a za ich pośrednictwem tysiące, tysiące bezpartyjnych.

I oto owa gigantyczna sprawa komunistyczna zostaje zapaskudzona przez tępy biurokratyzm! Wszystkie spisy zakończyć w ciągu 1 miesiąca.

Opracowanie ich doprowadzić do minimum, tak, aby również zakończenie zostało w ciągu miesiąca.

Potem rozpedzić 9/10 wydziału statystycznego oraz tyleż wydziału ewidencji i rozmieszczenia kadr przy KC i rozpocząć ich organizację od nowa.

Powinniście pozbyc się drobniaków (zwalić je na zastępców i ich zastępców) i poświęcić się całkowicie sprawom sekretarza politycznego oraz wytyczać kierunek działalności organizacyjnej, ewidencyjnej itd.

Czy dokonany został spis „odpowiedzialnych działaczy”? Rezultat prawdopodobnie również równa się zeru; gorzej, prawdopodobnie rezultat jest minusowy.

Napiszcie do mnie parę słów lub zadzwoncie, a wówczas porozmawiamy o tym obszerniej.

Potrzebne są kartki na kilkaset (na początek) najważniejszych działaczy partii z podziałem na propagandzystów, administratorów, agitatorów, wykładowców itp. wraz z opiniami o ich pracy (staż — powiedzmy pięć ostatnio zajmowanych stanowisk) od takich to (4 — 6) osób. My musimy objąć tysiące i setki tysięcy zbierając biurokratyczne baki i nie ucząc się rozmieszczenia ludzi.

Komunistyczne pozdrowienia. Lenin”.

Zawsze starał się, aby traktowano go — tak, jak traktuje się innych. 19 maja 1922 r. napisał do Feliksa Dzierżyńskiego:

„Tow. Dzierżyński! Zaczynam się poważnie obawiać, czy nie „przeholowano” w wydatkach na mój garaż, który — o ile mi wiadomo — znajduje się pod szczególnym nadzorem GPU (Państwowy Zarząd Polityczny). Czy nie czas już „ograniczyć” tej instytucji i zredukować wydatków na nią? Wszystkie bez wyjątku wydatki ogranicza się.

Proszę Was, byście pokazali niniejszy list „Zastępcom”, Rykowowi i Czurupie, i polećli członkowi godnemu zaufaniu, rozsądnemu i znającemu się na rzeczy, by sprawdził, czy nie można zredukować i ograniczyć wydatków na

Listy Włodzimierza Iłjicza

przeprowadzono 6 lutego 1922 roku. Wkrótce po tym, bo 14 lutego, W. M. Molotow otrzymał następujące pismo:

„Tow. Molotow!

Wypełniwszy ankietę, czy też kartkę ostatniego spisu członków RKP(b) doszedłem do stanowczego wniosku, że sprawa statystyki w KC (a prawdopodobnie również w ogóle sprawa ewidencji i rozmieszczenia kadr) stoi pod psem.

Albo statystyką kieruje durni, albo gdzieś w tych „wydziałach” (jeżeli tak mienią się owe instytucje przy KC) na ważnych stanowiskach usadawili się durnie i pedanci. Wy zaś oczywiście nie macie czasu doglądać ich.

1. Trzeba przeprowadzić kierownika wydziału statystycznego.

2. Trzeba gruntownie przetrząsnąć ten wydział, jak również wydział ewidencji i kontroli.

W przeciwnym razie my sami („walcząc z biurokratyzmem”) płożymy pod swoim własnym nosem najhamowniejszy, najgłupszy biurokratyzm.

KC ma władzę ogromną, możliwości — gigantyczne. Rozmieszczamy 200 — 400 tysięcy działaczy partyjnych, a za ich pośrednictwem tysiące, tysiące bezpartyjnych.

I oto owa gigantyczna sprawa komunistyczna zostaje zapaskudzona przez tępy biurokratyzm! Wszystkie spisy zakończyć w ciągu 1 miesiąca.

Opracowanie ich doprowadzić do minimum, tak, aby również zakończenie zostało w ciągu miesiąca.

Potem rozpedzić 9/10 wydziału statystycznego oraz tyleż wydziału ewidencji i rozmieszczenia kadr przy KC i rozpocząć ich organizację od nowa.

Powinniście pozbyc się drobniaków (zwalić je na zastępców i ich zastępców) i poświęcić się całkowicie sprawom sekretarza politycznego oraz wytyczać kierunek działalności organizacyjnej, ewidencyjnej itd.

Czy dokonany został spis „odpowiedzialnych działaczy”? Rezultat prawdopodobnie również równa się zeru; gorzej, prawdopodobnie rezultat jest minusowy.

Napiszcie do mnie parę słów lub zadzwoncie, a wówczas porozmawiamy o tym obszerniej.

Potrzebne są kartki na kilkaset (na początek) najważniejszych działaczy partii z podziałem na propagandzystów, administratorów, agitatorów, wykładowców itp. wraz z opiniami o ich pracy (staż — powiedzmy pięć ostatnio zajmowanych stanowisk) od takich to (4 — 6) osób. My musimy objąć tysiące i setki tysięcy zbierając biurokratyczne baki i nie ucząc się rozmieszczenia ludzi.

Komunistyczne pozdrowienia. Lenin”.

Zawsze starał się, aby traktowano go — tak, jak traktuje się innych. 19 maja 1922 r. napisał do Feliksa Dzierżyńskiego:

„Tow. Dzierżyński! Zaczynam się poważnie obawiać, czy nie „przeholowano” w wydatkach na mój garaż, który — o ile mi wiadomo — znajduje się pod szczególnym nadzorem GPU (Państwowy Zarząd Polityczny). Czy nie czas już „ograniczyć” tej instytucji i zredukować wydatków na nią? Wszystkie bez wyjątku wydatki ogranicza się.

Proszę Was, byście pokazali niniejszy list „Zastępcom”, Rykowowi i Czurupie, i polećli członkowi godnemu zaufaniu, rozsądnemu i znającemu się na rzeczy, by sprawdził, czy nie można zredukować i ograniczyć wydatków na

Mielicie chętność wezwać moją żonę do telefonu i zwinąć ją. Chociaż zgodziła się ona zapomnieć Wam to, niemniej jednak/fakt ten został przekazany przez nią samą Zinowjewowi i Kamieniewowi. Nie mam zamiaru przypominać tak łatwo ataków przeciw mnie, a nie ma potrzeby dodawać, że to, co wymierzone jest przeciwko mojej żonie, uważam za wymierzone również przeciwko mnie. W związku z tym proszę rozważyć, czy zgadzacie się cofnąć wypowiedziane słowa i przeprosić, czy też wolicie zerwać stosunki między nami.

Z rozważaniem Lenin”

Sprawa ta miała epilog w lipcu 1926 roku. Według relacji siostry Lenina — Marii Iłjczny Uljanowej — Józef Stalin na posiedzeniu KC i CKK WKP(b) prosił o wybaczenie za ten postępek.

I już zupełnie ostatni list. Dotyczy właśnie wspomnianej sprawy gruźliskiej z 1922 roku. Doszło wówczas w Gruzji do konfliktu między grupą Mdiwaniego a G. Ordżonikidze, J. Stalinem i F. Dzierżyńskim. Lenin krytykował błędy grupy Mdiwaniego, ale również wielkocarcystwo szowinizm drugiej strony, uważając, że przede wszystkim obowiązkiem komunisty jest walka z tym szowinizmem. W liście pisał:

„Ścisłe poufne

Tow. tow. Mdiwani, Maharadze i inni

Kopia dla tow. tow. Trockiego i Kamieniewa

Szanowni Towarzysze! Całym sercem śledzę waszą sprawę. Jestem oburzony brutalnością Ordżonikidze oraz pozbliżnością Stalina i Dzierżyńskiego. Przygotuję dla was notatkę i przemówienie.

Z poważaniem Lenin”

Ale już ani notatek, ani przemówienia nie napisał. Gwałtownie pogorszył się stan jego zdrowia. Zmarł w Gorkach pod Moskwą 21 stycznia 1924 roku.

Opracował: WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

Obserwacje funkcjonowania systemu gospodarczego w 1982 r. dają podstawę do wyrażenia niepokoju z powodu pojawienia się pewnych regulacji groźnych dla powodzenia reformy. Mam na myśli przede wszystkim kwestię realizacji priorytetów zaopatrzeniowych związanych z programami operacyjnymi rządu oraz instytucję pełnomocników ministrów.

Zarówno pojawienie się owych priorytetów, co praktycznie oznacza modyfikację centralnego rozdzielnictwa materiałowego, jak i pełnomocników ministrów traktuje się jako rozwiązanie przejściowe, swoiste efemerydy istniejące tylko w fazie przedstawiania systemu gospodarczego na nowe tory. Bogate doświadczenie wynikające z poprzednich nieudanych prób reformowania gospodarki polskiej poucza, iż rozwiązania przejściowe mają magiczną moc do utrwalania się. Z tego wynika społeczna nieufność wobec rozwiązań tymczasowych.

Praktyka funkcjonowania programów operacyjnych rządu dostarcza wielu przykładów wypaczeń w pierwotnych założeniach owej koncepcji. Zgodnie z jej ideą wybrane kierunki produkcji, szczególnie ważne dla zaspokojenia podstawowych potrzeb społecznych, uzyskały priorytetowe zaopatrzenie w surowce. Koncepcję tę można zaaprobować pod warunkiem istnienia niewielkiej liczby

— pełnomocnicy obejmują nadzorem na ogół przedsiębiorstwa zgrupowane w dotychczasowych zjednoczeniach,

— zakres i formy działania pełnomocników stanowią odwzorowanie wypróbowanych w dotychczasowych zjednoczeniach metod zarządzania opartych na limitach, wskaźnikach, odgórnym komenderowaniu przedsiębiorstwem etc.

Powołanie pełnomocników ministrów dodatkowo skomplikowało już i tak zagmatwaną strukturę organizacyjną naszej gospodarki. Obecnie strukturę tę kształtują rozwiązania docelowe zaprogramowane w projekcie reformy i realizowane na razie w formie załączkowej, rozwiązania okresu przejściowego oraz rozwiązania wprowadzone jako efekt ogłoszenia stanu wojennego. W tej swoistej trójce rozwiązań strukturalnych dominują formy przejściowe, które przytłaczają docelowe rozwiązania reformy. Mozaika różnych struktur organizacyjnych sprawia, że przedsiębiorstwa funkcjonują w otoczeniu instytucjonalnym składającym się z ministerstw i centralnych urzędów, zjednoczeń (niektóre z nich działają nadal normalnie), nielicznych dobrowolnych zrzeszeń oraz pełnomocników do spraw programów operacyjnych rządu i pełnomocników branżowych. Jak w tym gąszczu różnorodnych form organizacyjnych może rozwijać się samodzielność ekonomiczna

uzależnione jest od racjonalności zasad i metod ich kształtowania, od sposobu ich oddziaływania na postępowanie producentów i konsumentów, a także od stopnia powiązania polityki cenowej z polityką społeczną państwa socjalistycznego.

Obowiązujące w 1982 r. zasady działalności przedsiębiorstw państwowych wprowadziły do systemu cen cztery rodzaje cen: urzędowe, regulowane, umowne i wolne. Dla nowego mechanizmu gospodarczego adekwatne są ceny umowne i wolne, które ustalane są w przypadku cen umownych na drodze porozumienia dostawcy i nabywcy, a w przypadku cen wolnych przez samego sprzedawcę. Przewiduje się, że około 50 proc. obrotów towarami nastąpi według cen umownych i wolnych, które cechować będzie skłonność do osiągnięcia poziomu cen równowagi rynkowej. Ze względu na olbrzymie rozmiary luki inflacyjnej nie pozostawiono całkowicie cen grze popytu i podaży, gdyż zagrażałoby to interesowi społecznemu. Wobec tego połowę obrotów towarami poddane oddziaływaniu cen urzędowych i regulowanych, a więc cen kontrolowanych przez aparat państwowy. Pod wpływem protestów społecznych związanych z dyktowaniem przez przedsiębiorstwa zbyt wygórowanych cen powstała niebezpieczna tendencja do rozszerzania listy cen regulowanych. Jest to działanie sprzeczne z duchem reformy, gdyż sprzyja utrwalaniu się administracyjnych środków osłabiania wzrostu cen.

Formuła ustalania cen regulowanych oparta jest o koszty ponoszone przez producentów. Taki sposób kształtowania owych cen stanowi antybodycie obniżania kosztów, gdyż w zasadzie każdy koszt produkcji (uzasadniony i nadmierny) znajduje odzwierciedlenie w cenie wyrobu. Cena stanowi w tym ujęciu sumę poniesionych nakładów na wytworzenie jednostki wyrobu; jest formą ich agregacji. Tzw. cena kosztowa nie wymusza na producentach dążności do zwiększania efektywności produkcji, a ciężary związane z nadmiernie wysokimi kosztami przerzuca na barki konsumentów, którzy w istocie finansują niegospodarność przedsiębiorstwa. Na tym tle powstaje uzasadniony zarzut, że kosztowa formuła ustalania cen nie sprzyja wprowadzaniu w życie podstawowej zasady reformy — przyniesiu podnoszenia efektywności gospodarowania przedsiębiorstwa w oparciu o reguły rachunku ekonomicznego.

Przedstawione słabości przyjętych rozwiązań cenowych mają ważne implikacje dla samofinansowania przedsiębiorstw. Otóż, należy zaakceptować tezę, że ceny urzędowe i regulowane nie odpowiadają wymaganiom samofinansowania się przedsiębiorstw. Wynika to z faktu, że ceny owe cechuje sztywność i duże możliwości manipulowania ich poziomem. Dlatego też pełnej realizacji fundamentalnej zasady reformy — samofinansowania przedsiębiorstw najbardziej odpowiadają ceny umowne i wolne, będące parametrami sensu stricto.

Postulat konsekwentnego upowszechniania cen umownych jako kategorii właściwej mechanizmowi reformy jest słuszny pod warunkiem przewyciężenia silnych struktur monopolistycznych istniejących w dziedzinie produkcji i handlu. Wprowadzenie na szeroką skalę tego systemu cen w obecnej sytuacji dominacji producentów i sprzedawców doprowadziłoby do skompromitowania cen parametrycznych. Konsekwentna demonopolizacja gospodarki dotyczyć powinna przede wszystkim dziedzin produkcji rynkowej, gdzie istnieje szczególna potrzeba ożywienia produkcji przy pomocy czynnika konkurencji między przedsiębiorstwami.

BARIERY SPOŁECZNO-PSYCHOLOGICZNE

Reforma gospodarcza polega nie tylko na stworzeniu docelowych rozwiązań poprawnych ekonomicznie. Gruntowna zmiana systemu gospodarowania nie może być oderwana od społecznego podłoża, nie może bagatelizować naturalnych obciążeń świadomości społecznej i różnorodnych barier w postawach i zachowaniach ludzi wobec reformy. W tej sferze należy spodziewać się oporu przeciwko reformie. Trzeba z całą mocą podkreślić, że przełamanie tego oporu jest w praktyce trudniejsze niż uporanie się z barierami o charakterze techniczno-ekonomicznym.

Wśród jakich sił należy poszukiwać oponentów reformy gospodarczej? Jakże nawiąki i postawy ludzkie są szczególnie groźne dla powodzenia reformy?

Odpowiedź na te pytania nie może być w pełni klarowna, poszczególne bowiem grupy społeczne, a wewnątrz tych grup określone kręgi przejawiają różne stanowiska wobec reformy uzależnione od indywidualnej pozycji zawodowej, materialnej etc. Oprócz tego o postawach ludzkich wobec zmian decyduje w znacznej mierze klimat społeczny i polityczny stanowiący ważną otoczkę poczynań reformatorskich.

Postawić można tezę, iż zagrożenia reformy tkwią nie tylko w postawach i interesach grup reprezentujących centralną administrację gospodarczą i broniących w sposób naturalny swoich pozycji, lecz również w przyzwyczajeniach kadry kierowniczej przedsiębiorstw i robotników, których interes powinien być zbliżony z zamierzeniami reformy. Oczywiście, zagrożenia te będą rozkładać się różnie w poszczególnych przekrojach centralnej administracji, przedsiębiorstwach i grupach zawodowych.

Konsekwentne wprowadzenie reformy redukuje znaczną część centralnej biurokracji gospodarczej i osłabi władze kompetencje wielu naczelnych instytucji. Dlatego też układy te stanowią źródło rzeczywistych zagrożeń dla pełnej realizacji założeń reformy. Chcąc utrzymać chociaż część dotychczasowych uprawnień i arcybuców władzy instytucje centralne dążą do zachowania relikwów rozpadaającego się systemu nakazowo-rozdzielczego. Może to przybierać formy opisywanych wcześniej rozwiązań przejściowych stanowiących kompromis nowego ze starym.

Reforma rzuca zdecydowane wyzwanie kadry kierowniczej przedsiębiorstw. Nowe reguły gry ekonomicznej wymagają zmian dotychczasowych stereotypów myślowych i metod działania kadry kierowniczej. Czy kierownicy sprostać nowym wymaganiom? Wykształcony przez centralistyczny system sposób zarządzania przedsiębiorstwem był „wygodniejszy” niż rozwiązania proponowane w ramach reformy. Wielu dyrektorów przedsiębiorstw przyzwyczaiło się do rutynowych działań opartych na przetargach o środki z jednostką nadrzędną, „walce” o plan, układach personalnych etc. Reforma zapowiada istotne przewartościowanie w taktyce działania przedsiębiorstw. Obecnie o powodzeniu przedsiębiorstwa decydująć będzie rzutkość, umiejętność racjonalnego gospodarowania czynnikami produkcji, zdolność do podejmowania innowacji, stworzenie silnych motywacji pracowników etc. System ekonomiczny stracił cechy systemu paternalistycznego, zniknęła opiekuńcza rola jednostki nadrzędnej. Przedsiębiorstwa poddane zostaną oddziaływaniu twardych reguł ekonomicznych. Można więc oczekiwać, iż pojawią się grupy dyrektorów hołdujących starym zasadom gry, niechętnych reformie narzucającej konieczność zmiany mentalności. Dlatego też nieuchronna jest wymiana części kadry kierowniczej, gdyż inaczej nie usunie się ważnej bariery reformy, jaką jest rutyna i urzędniczy styl zarządzania.

I wreszcie sprawa ostatnia, ale niezwykle doniosła, a mianowicie zagrożenia reformy tkwiące w świadomości szerokich rzesz pracowników gospodarki narodowej. W ostatniej instancji bowiem o sukcesie reformy zadecyduje jej akceptacja przez masę pracującą będącą podmiotem zmian gospodarczych.

Stary system gospodarowania zakorzenił w świadomości społecznej pewne stereotypy i nawyki trudne do wyeliminowania. Przyzwyczailiśmy się do tego, że państwo „daje” lub „nie daje”, że do państwa adresuje się wszelkie żądania i pretensje. Przejawiało się to w degeneracji motywacji do pracy solidnej i uczciwej, rozluźnieniu związków między wynagrodzeniem a wkładem pracy, pewnością zatrudnienia itp. Wprowadzenie zasad samodzielności i samofinansowania przedsiębiorstw może być dla części pracowników, przede wszystkim mało wydajnych, o niskiej dyscyplinie pracy, szokiem stwarzającym nastrojny nieprzychylny reformie.

Pożyskanie poparcia mas pracujących dla reformy prowadzi przede wszystkim przez szeroką akcję wyjaśniającą cele i założenia reformy i przez tworzenie takiego klimatu, w którym społeczeństwo poczuje się współautorem zmian, uznając je za własne.

Ciąg dalszy ze str. 1

Zagrożenia reformy

produktów uznanych za priorytetowe. Takie zresztą były początkowe zamierzenia, gdy liczba owych programów obejmowała 5 kierunków produkcji. Później rozszerzono listę programów operacyjnych do 9, a następnie aż do 14. Powstała więc paradoksalna sytuacja mnogości priorytetów zaopatrzeniowych i w efekcie priorytetu przekształcił się w swoje zaprzeczenie zgodnie z zasadą, że gdy wszystko jest ważne, nic nie jest ważne. Zaopatrzenie surowcowe znalazło się zatem w ślepiem zaułku, z którego wyjść można w dwójaki sposób: poprzez określenie superpriorytetów, co brzmi groteskowo albo poprzez gruntowną rewizję dotychczasowych priorytetów i klarowne zdefiniowanie kryteriów ich przyznawania.

Nie sposób tolerować dłużej zaistniałego chaosu zaopatrzeniowego, z którego korzystają często nie przedsiębiorstwa najbardziej potrzebujące surowców, lecz firmy dysponujące odpowiednią siłą przetargową i sprytem w „zaczepianiu się” o programy operacyjne. Oznacza to w zasadzie kontynuację starego systemu zaopatrzenia, który sprzyja pogłębianiu deficytowości surowców.

Kolejnym przejściowym tworem jest instytucja pełnomocników ministrów. Wiele symptomatyczny jest przy tym fakt, że ustanowiono dwa rodzaje pełnomocników: do spraw programów operacyjnych i wyodrębnionych układów produkcyjnych (poszczególnych branż). Celnym wydaje się stwierdzenie prof. H. Króla, że powstała swoista moda na pełnomocników (H. Król „Zbędne ogniwo”, „Życie Warszawy” nr 57, 1982 r.). O ile instytucja pełnomocników do spraw programów operacyjnych można obronić powołując się na konieczność ochrony interesu ogólnospołecznego w gospodarce, o tyle obrona zasadności istnienia pełnomocników branżowych byłaby zajęciem karkołomnym. Przypomnieć należy, iż powołanie pełnomocników branżowych nastąpiło wskutek likwidacji zjednoczeń jako ogniw pośrednich w strukturze gospodarki narodowej. Likwidacja zjednoczeń zbiegła się w czasie ze stanem wojennym, co niewątpliwie przyczyniło się do zwiększenia nadzoru służbowego nad przedsiębiorstwami. W warunkach wstrzymywania procesu tworzenia zrzeszeń przedsiębiorstw oraz działalności samorządów „kuratele” nad przedsiębiorstwami roztoczyli pełnomocnicy ministrów. Spełniają oni de facto zadania organu założycielskiego, co stanowi naruszenie ustawy sejmowej o przedsiębiorstwie państwowym z 1981 r. Wprawdzie w świetle przepisów funkcje pełnomocników branżowych są poważnie ograniczone w porównaniu do zjednoczeń, to jednak w praktyce kontynuują oni swoją działalność zgodnie z logiką systemu nakazowo — rozdzielczego.

Istnieją przesłanki wskazujące na to, że utworzenie instytucji pełnomocników może stanowić formę zachowania rozwiązywania zjednoczeń. Być może wniosek ów jest wyrazem niewiary w oficjalne zapewnienia o tymczasowości owej instytucji, to jednak wymowa pewnych faktów jest zastanawiająca. Oto kilka charakterystycznych cech tego tworu:

- przytłaczająca większość pełnomocników stanowią dotychczasowi dyrektorzy zjednoczeń,
- pracownicy biur tych pełnomocników wywodzą się z byłych central zjednoczeń,

przedsiębiorstw? Spełnienie zasady samodzielności wymaga spłaszczenia struktur organizacyjnych, usunięcia zbędnych układów hierarchicznych pełniących rolę „aniola stróża” wobec przedsiębiorstwa. Z tego względu utrzymywanie dotychczasowych rozwiązań strukturalnych obfitujących w wiele zbędnych ogniw należy traktować jako poważne zagrożenie dla podstawowej kategorii reformy gospodarczej — samodzielności przedsiębiorstw.

MOTYWACJE I CENY

Kluczowym elementem i siłą napędową systemu ekonomiczno-finansowego przedsiębiorstw jest mechanizm motywacyjny. W założeniach reformy przyjęto, że sposób tworzenia funduszu wynagrodzeń będzie uwzględniał silny i przejrzysty związek wzrostu płac ze wzrostem efektywności gospodarowania.

Na tym tle rodzi się pytanie, czy pojawiły się już symptomy poprawy w sferze motywacji ekonomicznych? Wydaje się, że jeszcze nie, w dalszym ciągu siła działania zachęt ekonomicznych na pracowników jest słaba i nieskuteczna. Składa się na ten stan rzeczy kilka zasadniczych przyczyn.

Pierwsza, po ostatniej podwyżce cen detalicznych poważnie wzrósł udział części socjalnej w całości wynagrodzenia. Stało się to z powodu włączenia rekompensaty do zarobków. W niektórych grupach pracowniczych kwoty rekompensat stanowią 30 — 40 proc. całkowitego wynagrodzenia. Tego rodzaju proporcja zabija wręcz zainteresowanie pracowników poprawą wydajności pracy i w rezultacie uniemożliwia ekspansję produkcyjną przedsiębiorstw. Sprawa ta wymaga pilnego uregulowania w ramach przygotowywanej reformy systemu dochodów.

Secundo, poważnym zagrożeniem dla ożywienia motywacji pracowników jest również ostre progresywne opodatkowanie zysku i wzrostu średnich płac. Skala opodatkowania w przypadku zysku wynosi do 90 proc. przyrostu zysku, zaś w odniesieniu do średniej płacy — do czterokrotnej wysokości przyrostu kwoty wygrażdeń. Sądzę należy, że podstawową przesłanką wprowadzenia silnego progresywnego opodatkowania wspomnianych kategorii jest próba osłabienia tendencji inflacyjnych w gospodarce i potrzeba wzmocnienia ogólnego skarb państwa.

Nie negując słuszności tego rozumowania trzeba jednakże uściłowić taki system opodatkowania płac i zysku, by nie powodował on poprzez swoją zbytnią agresywność zaniku motywacji do zwiększenia efektywności gospodarowania. Związane z tym kryzysowej sytuacji szczególnie ważną kwestią jest stworzenie skutecznych zachęt materialnych dla podnoszenia efektów pracy. Dlatego też błędem jest blokowanie owych zachęt przy pomocy drastycznego opodatkowania.

W zreformowanej gospodarce ceny odgrywać będą rolę podstawowego parametru ekonomicznego. Wcielenie się cen w tę rolę



Foto: M. Zajdler

WITOLD KASPERKIEWICZ

Kryzys gospodarczy, a obecnie także wszelkie uciążliwe aspekty poczynają zacierających do jego likwidacji, nie omijają również tych dziedzin działalności społecznej i gospodarczej, które wiążą się z zagwarantowaniem najmłodszym obywatelom kraju należnych im dóbr i praw. Dzieci co prawda na ogół nie zdają sobie sprawy z tej nader trudnej sytuacji — a naszym, dorosłym, obowiązkiem jest ochronienie ich od złych skutków zdobywania takiej wiedzy poprzez możliwie najlepsze zaspokojenie potrzeb.

Jedną z nich jest niewątpliwie potrzeba dobrego, wakacyjnego wypoczynku. Udana wakacja można spędzić pod namiotem, w nieco spartańskich warunkach, na harcerskim obozie lub w luksusowym kurorcie. Nie można — na wybetonowanym podwórku, czekając z kluczem na szyi na powrót rodziców z pracy. Do takiej właśnie sytuacji dopuścić nie wolno — mimo różnorodnych trudności, jakie w tym roku wiążą się z organizacją lata dla najmłodszych — z czego zresztą zdają sobie sprawę wszyscy odpowiedzialni za ten wypoczynek.

Propozycję dotyczącą organizacji tegorocznego letniego wypoczynku najmłodszych lodzian przedstawił „Express Ilustrowany”, pod hasłem: „Dzieci wszystkich łódzkich włókienników muszą wyjechać na kolonie”. Popierając hasło, do udziału w dyskusji na temat nadchodzących wakacji zaprosiliśmy przedstawicieli instytucji i komórek zajmujących się tą sprawą. Uczestniczyli w niej: wicekurator Aleksandra Skonieczna oraz starszy wizytator Kuratorium Oświaty i Wychowania, Stanisław Ciesielka, Karol Klimek — zastępca komendanta Chorągwi Łódzkiej ZHP, Zofia Pietrzak — kierowniczka działu socjalnego i Andrzeja Foka — przewodniczący komisji socjalnej ZPJ „Pierwsza”, Genowefa Jabłońska — kierowniczka działu socjalnego ZPB im. S. Harnama, Janusz Dwornicki — kierownik działu służb pracowniczych ZPW im. 9 Maja oraz Elżbieta Troczyńska — instruktor Wydziału Nauki i Oświaty KE PZPR.

A. Skonieczna: — Traktujemy przygotowanie do letniego wypoczynku dzieci, jak w latach poprzednich. Oświata, zakłady pracy, ZHP — przygotowują akcję już od stycznia. Wiadomo, że obecnie, jak zwykle w tym okresie, musi być określone, dość szybkie tempo — aby ze wszystkim zdążyć na czas. Prace przebiegają jednak zupełnie normalnie, acz nieco trudniej niż w latach poprzednich. Główni organizatorzy robią wszystko, aby w tym roku wyjechało tyle dzieci, ile zwykle uczestniczyło w akcji letniej. Dlatego też — aby cel ten osiągnąć — przeprowadziliśmy w poszczególnych dzielnicach miasta konsultacje ze wszystkimi zainteresowanymi kontrahentami. Z jednej strony przekazywaliśmy informacje i ustalenia Ministerstwa Oświaty i Wychowania, a z drugiej — mogliśmy zorientować się, w jakich rozmiarach zakłady pracy planują kolonie i inne formy wypoczynku dla dzieci. Ogromna większość — na poziomie roku ubiegłego.

W roku ubiegłym wakacje trwały trzy miesiące, obecnie — dwa. Stąd w wielu zakładach decyzje o zorganizowaniu tylko dwóch turnusów. My sugerujemy — o ile to możliwe — zdecydowanie się raczej na trzy krótsze — 19–20-dniowe.

Oświata, jak co roku, finansuje obozy harcerskie oraz wypoczynek dzieci znajdujących się pod opieką państwa, pochodzących z rodzin o najtrudniejszych warunkach materialnych, obozy i kolonie zdrowotne.

Na obecnym etapie szczególnie ważną sprawą jest zgłoszenie przez organizatorów do władz oświatowych liczby uczestników, zadbanie o transport, itp.

W przygotowaniach napotykamy na różne trudności, ale chciałabym zaznaczyć, że rok ubiegły wcale nie był łatwiejszy.

Zakłady pracy przymierzają się obecnie do określenia stawki wyżywieniowej. W roku ubiegłym wynosiła ona 50 i 60 zł, w bieżącym — minimum 120 zł. (Trzeba jednak podkreślić, ponieważ fakt ten budzi niejakie obawy, że jej wysokość będzie ujednolicona — decyzją ministerstwa). Z tym wiąże się konieczność podniesienia kosztów pobytu dzieci. Wstępne wyliczenia określa je na 7–8 tys. zł. Sprawa dyskusyjną jest natomiast wysokość odpłatności ponoszonej przez rodziców. W oświacie i ZHP sprawa jest w zasadzie uregulowana, w zakładach — trwają przymiarki. Trzeba jednak podkreślić — nie ucierpią na tym rodzice o najniższych dochodach.

Nie przewidujemy, aby były jakiegokolwiek dodatkowe kłopoty — kadra pedagogiczna jest zapewniona, z obsługą — są pewne trudności, ale występowały one zawsze. Z konsultacji wynika ponadto, że wszystkie istniejące obiekty kolonijne zostaną wykorzystane. Tradycyjnie, jak co roku, prowadzić będziemy bank wolnych miejsc.

St. Ciesielka: — Koszty — to w bieżącym sezonie problem rzeczywiście poważny. Na pewno potrzeby są wyższe, niż możliwości ich zaspokojenia z funduszy socjalnych. Niemniej zakłady pracy traktują wypoczynek dzieci priorytetowo, przed wczasami, wycieczkami itp.

G. Jabłońska: — W roku bieżącym wypłaciliśmy na zasiłki i inne statutowe formy pomocy 230 tys. zł — z funduszu socjalnego. Dotychczas były one pokrywane z funduszy związkowych. Tego typu działalność poważnie obciąża fundusz i ogranicza możliwości jego rozdysponowania zgodnie z właściwym przeznaczeniem.

A. Foka: — Fundusz socjalny na 1982 rok w naszym zakładzie wynosi obecnie 4,6 mln zł — o około 400 tys. zł mniej, niż w roku ubiegłym. Planujemy w dwóch turnusach 350 miejsc kolonijnych plus oboz młodzieżowy. Pojawia się problem odpłatności za pobyt. Trzeba podwyższyć, ale o ile? Z 500 zł dotychczas do 2 500 zł? Taką wysokość trzeba by zaproponować.

Od jednego z organizatorów — WOSIR w Wieluniu — otrzymaliśmy informację, że jedno skierowanie ma kosztować około 10 tys. zł. Przy wczasach dla dorosłych — około 8 tysięcy.

K. Klimek: — Nasze źródła dochodów to dotacje państwowe, odpłatność rodziców oraz dochody własne drużyn harcerskich. Jeżeli koszt pobytu dziecka na obozie wyniesie około 6,5 tys. zł, na jednego uczestnika brakuje nam w obecnej sytuacji około 4 tys. zł. Nie można przecież ściągnąć tego od rodziców, na to nie

Dzieci muszą odpocząć

pójdziemy. Ale najniższa odpłatność musi wynieść co najmniej 1.000 zł.

Następny problem to obozy szkoleniowe. Zwykle obniżaliśmy odpłatność dla ich uczestników o 50 proc. W tym roku powstaje dyalemat; nie obniżać czy nie szkolić kadry, co może mieć zdecydowanie niekorzystne konsekwencje dla pracy ZHP.

Kolonie i obozy zdrowotne. Od wielu lat np. organizujemy taki oboz w Jarosławcu dla dzieci chorych na cukrzycę. W ubiegłym roku koszt pobytu wyniósł 10 tys. zł, w br. oboz utrzymamy, ale czy nie będzie to już ostatni?

Koszty są wysokie, środków brakuje, wydaje się jednak, że ciagle część z nich marnujemy poprzez niespójne działanie, brak koordynacji poczynają między wszystkimi organizatorami. W tym roku szczególnie liczymy na wyeliminowanie tych zjawisk, a także... na dofinansowanie z zakładów pracy.

A. Skonieczna: — O to właśnie — dofinansowanie z zakładów pracy — szczególnie prosiliśmy w czasie spotkań.

K. Klimek: — Istnieją zresztą w tej mierze odpowiednie przepisy, których organizatorów kolonii zakład może refundować. Należy do nich ZHP.

A. Foka: — Rozumiem, że ze społecznego punktu widzenia pomoc jest bardzo wskazana. Ale z czego dać, gdy nie ma z czego pokryć swoich potrzeb?

Teoretycznie istnieje możliwość wykorzystania pewnych sum z funduszu zakładowego — już na poczet przyszłego roku. Załogi boją się jednak takich decyzji. Zakłady idą „pod planem”, jaki ten fundusz będzie, i czy będzie — nie wiadomo.

St. Ciesielka: — Trzeba chyba zacząć od potrzeb. Jeśli zakład może je zaspokoić we własnym zakresie — w porządku. Jeśli nie — nie można odmówić sfinansowania wyjazdu dziecka na kolonie czy oboz, organizowany przez kogo innego.

K. Klimek: — Przy czym warto płacić odpowiedniemu organizatorowi — np. ZHP. Zdarza się bowiem, że zakład, nie mając własnej bazy, zleca organizację kolonii biurom turystycznym. Koszty są wysokie...

A. Skonieczna: — ...a potem okazuje się na dodatek, że dzieci nie mają właściwej opieki, a nawet dobrych warunków pobytu.

A. Foka: — Nie wiadomo — lepiej zlecać innym czy organizować samemu. Przez 5 lat organizowaliśmy kolonie sami, w Gdańsku — 90 miejsc, w budynku szkolnym. Każdego roku musieliśmy przeprowadzać remont, odno-

wić obiekt, płacić na komitet rodzicielski, itp. W 1980 roku, gdy umowa wygasła — zaproponowano nam inne obiekty — za 12, 16 mln zł.

J. Dwornicki: — Po prostu każdy był zainteresowany podniesieniem stawek, zwiększeniem własnych korzyści. Dochodziło do tego, że zakłady, wypożyczając np. szkołę na okres wakacji, musiały przeprowadzać niemal remonty kapitalne.

Dotychczas załatwialiśmy miejsca kolonijne poprzez byle zjednoczenie. Sprawa ta nadal pozostanie przy pełnomocniku. Ilość miejsc planujemy taką samą, około 130. Odpis na fundusz socjalny zmniejszył się w tym roku z 2,1 do 1,9 mln zł. Aby pokryć wszystkie wydatki, potrzebowałibyśmy drugie tyle. Takiej sumy nie uzyska się podnosząc odpłatność za świadczenia, a zresztą nie możemy pozwolić sobie na „drenowanie” ludzi, zwłaszcza w tym przypadku, gdy mogłoby to odstraszyć ich od wysyłania dzieci na kolonie. W latach poprzednich i tak zdarzały się sytuacje, że trzeba było ich namawiać i zachęcać do wysłania dziecka.

Z góry wiadomo, że będziemy na minusie, jeśli chodzi o fundusz socjalny. Pokryje się to, częściowo przynajmniej, z wypracowanego na koniec roku zysku. Sytuacja w przedsiębiorstwie pozwala na takie posunięcie, trzeba jednak przekonać załogę, że cele, na jakie przeznaczone zostaną te pieniądze, są niezbędne.

Z. Pietrzak: — Został tu poruszony bardzo istotny problem. Fundusz socjalny jest za mały. Tymczasem załoga (a przynajmniej jej część) nie chce zgodzić się na pokrycie niektórych wydatków z funduszu nagród. Fundusz mieszkaniowy natomiast — u nas 17 mln zł — jest zamrożony, nie ma sposobu, aby go ruszyć.

U ub. roku z kolonii, organizowanych przez nasz zakład korzystało 420 dzieci i chcemy tym razem wysłać tyle samo. Potrzebna jest jednak furka, wyjście, aby pieniądze, które są, można było ruszyć, około 3–4 mln przeznaczyć na cele społeczne.

A. Foka: — Jeszcze jedna sprawa: fundusz zawieszonych w tej chwili związków zawodowych. Wypłaciliśmy 220 tys. zł na same statutowe — z funduszu socjalnego. W ciągu roku z funduszu związków zawodowych wydawano na to milion. Ponadto związki w istotny sposób wspierały akcję socjalną. Aby znaleźć jakieś finansowe wyjście, wystąpiliśmy do ludzi, aby — nie placąc obecnie składek

związkowych — dobrowolnie opodatkowali się 1 proc. od zarobków, co dałoby około 3 mln zł na podtrzymanie funduszu socjalnego. Nie zgodził się nikt.

K. Klimek: — Tymczasem pieniądze na pokrycie dopłat do kolonii muszą się znaleźć. Ustalenie wysokich odpłatności odstraszy rodziców, a do tego dopuścić nie można.

G. Jabłońska: — W br. planujemy dwa 28-dniowe turnusy dla 500 dzieci, w pięknym, zakładowym ośrodku. Nasze potrzeby są mniejsze — korzystać więc będą także dzieci z innych zakładów. Potrzeba na to ponad 6 mln zł. Prowizorycznie liczony koszt pobytu jednego dziecka kształtuje się w kwocie około 12 tys. zł (na 14-dniowych wczasach dla dorosłych — około 8 tys. zł).

Ale tkwią tu jakieś źródła oszczędności. Na przykład pracownicy obsługi ośrodka są zatrudnieni przez cały rok, a ośrodek jest sezonowy. Gdyby chociaż ich pensje pokrywane były z innego, nie socjalnego funduszu. A może, co wiązałoby się także z korzyścią społeczną, przekształcić obiekt, nadający się do tego celu, na ośrodek całoroczny, urządzając w nim np. prewatorium dla dzieci z całej Łodzi? Gdyby fundusz socjalny był obciążony kosztem utrzymania ośrodka tylko w tym okresie, gdy jest on rzeczywiście wykorzystany, koszt kolonii byłby około 3 tysiące złotych niższy.

Niezależnie od tych problemów i uwag, robimy wszystko, aby nasze dzieci i młodzież mogły skorzystać z wypoczynku poza Łodzią. Do 10 kwietnia trwają zapisy, potem zorientujemy się, jaki jest rozmiar potrzeb i jak je zaspokoić.

Przewidywane odpłatności wynoszą — od 300 zł przy dochodach poniżej 3 tys. zł na osobę, do 1.800 zł — przy dochodach powyżej 10.000 zł. Przy czym — dotychczas — każde dziecko korzystało z naszych kolonii, bez względu na to, w zakładzie którego z rodziców wypłacany jest zasiłek rodzinny. Tę zasadę utrzymamy także w br.

A. Skonieczna: — Chciałam raz jeszcze podkreślić, że w tym roku, mimo różnych trudności, nie notujemy żadnych opóźnień w przygotowaniu akcji letniej, nie zamierzamy zmniejszyć jej rozmiarów.

G. Jabłońska: — W ubiegłym roku problemów było jeszcze więcej, jak choćby z wyżywieniem, przy początkach systemu reglamentacji...

E. Troczyńska: — Popieramy akcję prowadzoną przez prasę, pomaga to stworzyć właściwy klimat wokół problemu. Pewien niepokój budzą jednak informacje o kosztach, cenach, opłatach, stawkach. Nie są to jeszcze ostateczne ustalenia. Liczymy, że poprą akcję i szerokim frontem włączyć się do organizacji zakładów pracy. Różnie to jednak wygląda, podejście załogi jest zróżnicowane, jak choćby wymieniona przez jednego z uczestników naszej dyskusji niechęć do niewielkiego przecież opodatkowania się na cele socjalne.

Bardzo ważne zadania to objęcie wypoczynkiem dzieci zagrożonych, z rodzin najbardziej niebezpiecznych. Jest to zresztą działalność prowadzona systematycznie, nie jednorazowa, kilkumiesięczna akcja.

Sprawa, na którą warto zwrócić uwagę — to szersze niż dotychczas wykorzystywanie naturalnego zaplecza Łodzi. Wypoczynek, choćby w formie krótkich biwaków, kilkudniowych obozów w miejscowościach położonych niedaleko miasta, można zorganizować stosunkowo tanim kosztem, wykorzystując namioty i inny sprzęt, jaki zwykle jest w zakładach pracy.

Ponadto, już teraz trzeba zainteresować się zgromadzeniem sprzętu kuchennego i innych elementów wyposażenia obiektów kolonijnych. Zwykle działo się to w maju — czerwcu, a tym razem można przewidywać znacznie większe kłopoty stąd potrzeba więcej czasu.

Dużo mówiono tu o stawkach i o funduszu socjalnym. Nie mogą one być zbyt wysokie, aby nie odstraszyć rodziców. Jak ruszyć zamrożony fundusz mieszkaniowy? Sprawa wymaga rozwiązania w skali całego kraju.

A. Foka: — Z praktycznego punktu widzenia — nie należałoby tak drastycznie, jak to ma miejsce w tej chwili, ograniczać działalności socjalnej zakładów. Trzeba uczulić na te sprawy dyrektorów, kierujących obecnie jednostkowo zakładami. Możemy zaprzepaścić zdobycze wielu lat. Tym bardziej, że i wśród załogi trafiają się głosy: z jakiej racji płacić z funduszu socjalnego za kolonie, wczasy, obiady itp. Lepiej te pieniądze podzielić i w formie gotówki przekazać ludziom. Nie możemy brać tych głosów pod uwagę. Wyjście jednak znaleźć trzeba. Stwierdzenie: tyle jest i w tym co jest, trzeba się zmieścić, może przynieść poważne i długotrwałe, negatywne konsekwencje. Jest to chyba, w obecnej sytuacji, problem którym zająć się muszą nie tylko komisje socjalne, lecz także kierownictwa zakładów.

W ubiegłym sezonie wyjechało na kolonie i obozy poza Łódź około 70 tysięcy dzieci. W tym roku organizatorzy planują wypoczynek dla zbliżonej liczby uczniów. Kłopoty są, lecz — sądząc po wypowiedziach uczestników naszej dyskusji — dzieci nie powinny na tym ucierpieć. Zapewnienie im wypoczynku w większości zakładów pracy uznane zostało za jedno z priorytetowych zadań, nawet gdyby oznaczać to miało zmniejszenie zakresu pozostałych usług z dziedziny socjalnej. Znaczny wzrost kosztów wakacyjnego wypoczynku nie powinien ponadto — co podkreślano w dyskusji — stać się barierą, utrudniającą rodzicom wysłanie pociech na kolonie czy oboz. Tych dodatkowych obciążeń nie powinny odczuć zwłaszcza rodziny wielodzietne, znajdujące się w trudnej sytuacji materialnej. Szereg wynikających stąd problemów, np. w jaki sposób pokryć niedobory funduszu socjalnego — organizatorzy zmuszeni będą w tym sezonie rozwiązać w sposób doraźny, zróżnicowany w zależności od sytuacji w zakładzie. Próby takich rozwiązań są już przez organizatorów podejmowane z dobrym skutkiem.

Dyskusję prowadziła i opracowała: TERESA JERZYKOWSKA

Foto: M. Zajdler

W zainteresowaniu przeszłością powinniśmy sięgać również do źródeł szeroko rozumianych, aby móc wyrobić sobie pełniejszy sąd o tych czynnikach, które składały się na naszą teraźniejszość i umieć odnosić się do nich krytycznie. Z tego to powodu prezentujemy Czytelnikom trzy teksty traktujące o najnowszych czasach z historii Polski: odejście z areny politycznej ziemiaństwa widziane oczyma współczesnego

młodego historyka Krzysztofa Baranowskiego; stosunek do kultury szlacheckiej widziany i oceniany oczyma Melchiora Wańkowicza i pierwszą część szkicu współczesnego historyka Zenona Janusza Michalskiego o myśli politycznej Józefa Piłsudskiego i jego miejscu w historii Polski i roli, jaką współcześnie odegrała legenda o Marszałku

Jak ziemiaństwo odchodzili w przeszłość

KRZYSZTOF BARANOWSKI

Wychodząc z warszawskiego Teatru Narodowego, w którym właśnie grano sztukę, opartą na napisanej przed wojną powieści Witolda Gombrowicza „Opętani”, przedstawiającą między innymi specyficzną atmosferę ziemiańskiej degrengolady, usłyszałem przypadkiem słowa:

— Cóż to za obrzydliwe zohydzenie narodowej tradycji!

Wypowiadający je nie był żadnym wiekowym „wapiakiem”, ale dwudziestolatkim. Sądze, że wyrażał pogląd silnie ugruntowany dziś w opinii społecznej, w której tradycja ziemiańska dworu zaliczana jest niemal do narodowych świętości.

Przez trzydzieści kilka lat Polski Ludowej tematyka dotycząca roli ziemiaństwa w dziejach Polski międzywojennej była prawie zupełnie nieobecna w badaniach naukowych. O roli tej warstwy społecznej tak bardzo typowej dla niedalekiej przeszłości pisano mało, najczęściej ograniczając się do powierzchownych negatywnych ocen. Prawem kontrastu w społeczeństwie urastała legenda o pełnych cnót ośrodkach kultury, jakimi były ziemiańskie dwory, czy też o ich pozytywnej działalności z pewnością, tak jak i w wielu innych legendach, znajdowały się w niej okruszyny prawdy, sporo było jednak zwykłej przesady.

Otóż wbrew szeroko rozpowszechnionym poglądom zarówno rola polityczna, gospodarcza, jak i społeczna ziemiaństwa w latach międzywojennych była stosunkowo niewielka. Przedstawiciele tej warstwy uważający się nadal za „sukcesorów wielkich tradycji”, cieszyli się albo dużą popularnością wśród części społeczeństwa, albo wzbudzały niechęć, czy nawet nienawiść. Było to więc środowisko kontrowersyjne, o którym mówiono albo bardzo dobrze, albo bardzo źle.

Znaczny kredyt moralny i polityczny, jaki ziemiaństwo posiadało w przededniu powstania II Rzeczypospolitej, a także w pierwszych latach jej istnienia, a którego nie porało nigdy wyzyskać, wypływał z historycznych przesłanek. Wyidealizowana podczas zaborów dawna Rzeczpospolita była państwem szlacheckim. Co prawda, wielu historyków czy też publicystów obarczało szlachtę winą za upadek Polski, ale większość uczonych i popularyzatorów, również wszystkie niemal podręczniki historii, gloryfikowały „jej najlepszych synów” — przedstawicieli szlachty. Nie bez znaczenia była też sugestywna apologia tej warstwy społecznej, jaką w „Trylogii” dał Henryk Sienkiewicz. Takie poglądy oddziaływały nie tylko na ludzi o zdecydowanie zachowawczych poglądach, ale również na mało wyrobione politycznie środowiska. Dla pewnej części Polaków żyjących w XIX czy też w pierwszych latach XX w., ziemiaństwo było „sukcesorami wielkich tradycji”.

Pamiętano szlachcie jej konstruktywną działalność polityczną w XVI w., czy też jej bojowy animusz z następnego stulecia. W glori sukcesów Kircholmu, Kluszy, Beresteczka, Chocimia czy Wiednia w niepamięć poszła kompromitacja spod Piławic. Zapomniano o warcholstwie szlachty z czasów saskich, ale pamiętano mocno wyidealizowaną partyzantkę Konfederacji barskiej. Najzupełniej niesłusznie przypisywano jej sukcesy Konstytucji 3 Maja. Wojny napoleońskie to także były w pamięci społeczeństwa sukcesy ziemiańskich synów szarżujących w oficerskich mundurach pod Samosierrą. Wreszcie laury powstania listopadowego, w którym udział ziemiaństwa nie był specjalnie duży, przypisywano oficerom częściowo tylko legitymującym się niekiedy już dość wątpliwymi szlacheckimi rodowodami, a nie „chamom”, którzy walczyli pod ich karmem.

A wreszcie przyszło powstanie styczniowe, które legenda najzupełniej niesłusznie przedstawiała jako przejaw ziemiańskiego bohaterstwa. Późniejszy sanacyjny ideolog, Tadeusz Hołowko, tak oto pisał w 1919 r.: „Powstanie 1863 roku to był pański gest, pełen rezygnacji, lecz i godności ludzi tej klasy w Polsce, która schodziła z areny politycznej”.

Istotnie w drugiej połowie XIX w. ziemiaństwo poczęło ustępować z areny dziejowej. Uwłaszczenie chłopów podjęło całą ekonomikę tej warstwy. Przywykły do prowadzenia gospodarki w oparciu o bezpłatną siłę pańszczyźnianą nie umieli ziemiaństwo w swej olbrzymiej większości dostosować się do nowych warunków.

W znacznym też stopniu zmienił się skład ziemiaństwa. Coraz to liczniejsze stawały się wśród niego rodziny mieszczańskie, bardzo często zresztą niemieckiego lub żydowskiego pochodzenia. Nie brak też było wśród nowego ziemiaństwa przedstawicieli dawnych rodzin chłopskich, a więc zubożonych młynarzy, kupców drzewnych czy też spekulatorów rolnych, zamawiających sobie u zawodowych heraldyków fikcyjne drzewa genealogiczne.

Powszechnie przyjmuje się, że wydarzenia z

lat 1905—1907 spowodowały dalsze jeszcze osłabienie pozycji politycznej ziemiaństwa. Otóż co do tego można mieć pewne wątpliwości. Realne niebezpieczeństwo ze strony lewicy zmusiło liczne jeszcze na ziemiach polskich siły zachowawcze do politycznej konsolidacji. Najbardziej prężną gospodarczo wielką burżuazją w większości nosiła niechęć w Polsce widziane niemieckie nazwiska. Inteligencja miejska, w znacznym stopniu wywodząca się ze środowiska ziemiańskiego i często powiązana z nim rodzinnie, nie posiadała jeszcze w tym czasie zbyt dużego autorytetu społecznego. Kosmopolityczna arystokracja miała na swym koncie zbyt wiele grzechów, aby mogła się wysunąć na czołowe miejsce. Wszystkie siły zachowawcze, włącznie nawet z drobna burżuazją, patrzyły teraz z oczekiwaniami na ziemiaństwo, że stanie ono na czele całej skonsolidowanej prawicy polskiej.

W momencie powstania Odrodzonej Polski okazało się, że ziemiaństwu brak ludzi, którzy byliby zdolni do odegrania poważniejszej roli politycznej. Co prawda z tej warstwy wywodził się Józef Piłsudski, ale dawno już stracił bliźsze z nią kontakty. Znakomity ekonomista i mąż stanu, Władysław Grabski, był właścicielem majątku ziemskiego, ale uważał się raczej za przemysłowca niż ziemiańszczyznę, a jako zwolennik umiarkowanej reformy rolnej nie cieszył się sympatią szerokiego rzeszy posiadaczy ziemskich. Wyszukiwani natomiast na czołowe miejsce ziemiańscy politycy okazali się ludźmi małego formatu. Do pierwszych sejmów, jak również i do pierwszego senatu, weszło jeszcze sporo przedstawicieli środowiska ziemiańskiego. Rola ich jednak na tamtym terenie była stosunkowo nikła. Z kolei do następnych sejmów i senatów wchodziło już coraz to mniej ziemian, coraz też mniejsze posładali tam oni znaczenie. Marzenia o zajęciu w II Rzeczypospolitej czołowej roli politycznej zostały więc bezpowrotnie przekreślone.

Następował upadek gospodarczego znaczenia ziemiaństwa. Dość powszechnie utrzymuje się legenda, że przyczyniła się do tego ustawa o reformie rolnej. Otóż dokładna analiza wyników jej realizacji wykazuje, że w niewielkim stopniu dotknęła ona polskie ziemiaństwo. Szlamazarnie realizowana ustawa objęła przeważnie grunta niemieckich właścicieli ziemskich w zachodnich województwach, częściowo należące do arystokracji latyfundi, majątki państwowe, czy wreszcie folwarki przejęte przez banki za długi. W rzeczywistości więc w bardzo niewielkim stopniu dotknęła została reforma rolną średniozamożną warstwę ziemiańską. Natomiast z roku na rok kurczył się jej stan posiadania. Spowodowane to było w znacznej części zyciem nad stan, podziałami rodzinnymi, nadmiernym zadłużeniem. W latach międzywojennych ziemiaństwo rozparcelowało kilkakrotnie więcej gruntów dobrovolnie niż na skutek obowiązujących zarządzeń ustawy o reformie rolnej. Szczególnie kryzys gospodarczy, który zaczął się w 1929 r. i utrzymywał się prawie do połowy lat trzydziestych, bardzo poważnie podciął ekonomiczne podstawy ziemiaństwa.

Porównując stan posiadania tej warstwy (ale nie całej wielkiej własności ziemskiej, gdyż kompleksy leśne należące do arystokracji nie ulegały większym zmianom) okazuje się, że między 1921 a 1939 r. zmniejszył się on o około 30 proc., a uwzględniając tylko użytki rolne o około 40 proc. Jednocześnie przeciętne obciążenie długami w przeliczeniu na 1 ha wzrosło w tym okresie przeszło trzykrotnie. W latach trzydziestych panował pogląd, że gdyby nie moratoria i różnego rodzaju umorzenia zaległych podatków, władze bez większego trudu mogłyby przejąć niemal połowę gruntów ziemiańskich. Coraz to większa liczba majątków była tak zadłużona, że bardzo często zachodziła konieczność przejęcia ich zarządów przez kuratorów sądowych.

Z pewnością w latach 1922—1928 sytuacja materialna ziemiaństwa jeszcze była nadzwyczaj korzystna. Później jednak wyraźnie zaczęła się zmniejszać dochodowość majątków ziemskich. Szczególnie w latach „wielkiego kryzysu”. Poziom życia dworu ziemiańskiego stawał się coraz to niższy. Nadal co prawda nie trzeba było skąpić wydatków na produkty żywnościowe, można było utrzymywać cugowe i wierzchowe konie, zatrudniać liczną, ale nadzwyczaj nędźnie opłacaną służbę, ale jednak nie można było sobie pozwolić na poważniejsze wydatki w gotówce. Przeważająca część dworów ziemiańskich do minimum ograniczała wydatki na cele kulturalne, a więc na książki, czasopisma, wyjazdy do większych miast do teatrów itp. W wielu okolicach poziom intelektualny ziemiaństwa był już znacznie niższy niż pogardzanych przez nich ludowych nauczycieli.

Coraz to częściej mówiło się „O pokrytej błędnym ziemiańskim nędzą”. Pozornie można było jeszcze zadawać szyku przyjeżdżając w targowe dni do sąsiednich miast eleganckimi ekwipażami ze stangretami w liberach. Jednak już około 80 proc. ziemian, posiadających majątki poważnie zadłużone, albo źle gospodarowane, musiało bardzo poważnie ograniczyć wydatki w gotówce, niekiedy nawet rezygnując z nabycia porządnej odzieży, czy też z wysyłania dzieci na wyższe studia.

Pisząc o coraz to bardziej kurczącym się stanie posiadania i dochodowości majątków ziemskich nie można tu brać pod uwagę wielkich posiadłości należących do arystokracji czy też niekiedy najzamożniejszych przemysłowców. Były to przeważnie wielkie kompleksy leśne. A folwarki należące do takich dóbr były zwykle uprzemysłowione i dzięki temu znacznie bardziej dochodowe.

Przy ocenie ziemiaństwa lat międzywojennych nie można jednak pominąć i jego pozytywnych osiągnięć. Pewna część ziemian mimo niezbyt sprzyjających warunków prowadziła wzorowo swe gospodarstwa, osiągała bardzo wysokie wyniki, zarówno w zakresie produkcji rolnej, jak i hodowlanej. Wiele ziemianek z dużym samopoczuciem oddawało się pracy charytatywnej. A wreszcie znajdowały się jednostki, co prawda bardzo nieliczne, które oddawały się literaturze (np. Ludwik Hieronim Morstin, Ignacja Piątkowska), nauce np. (prof. Feliks Wiśniewski, prof. Karol Kurnatowski), zapraszały do swego majątku na dłuższy pobyt znanych artystów (np. Tadeusz Gustaw Jackowski). W porównaniu jednak z okresem przedwojennym w latach II Rzeczypospolitej coraz to rzadziej „gościły muzy z ziemiańskich dworów”.

Niemal wszyscy ekonomiści okresu międzywojennego zwracali uwagę, że kapitał zainwestowany w majątkach ziemskich przynosił znacznie niższy dochód niż ulokowany w przemyśle, handlu czy nawet w nieruchomościach miejskich. Bardzo rzadkie jednak były wypadki, aby ziemianin rozparcelował lub sprzedał swój majątek, a otrzymane pieniądze zainwestował w przedsiębiorstwo przemysłowe lub też w czynszowych kamienicach. Być może pewną rolę odgrywała obawa przed koniecznością przekwalifikowania swej specjalności zawodowej. Najważniejszym jednak czynnikiem, który powodował, że ziemiaństwo wbrew pozorom zaleceniom ekonomiki kurczowo trzymało się swych mało intratnych majątków ziemskich był specyficzny pogląd, bardzo szeroko rozpowszechniony w tamtym okresie, że w utrzymującej się jeszcze wówczas drabinie społecznej stanowisko właściciela ziemskiego, i to w dodatku ziemianina z dziada pradziada, znajdowało się znacznie wyżej niż przemysłowca, kamienicznika lub kupca. Wciąż utrzymywał się pogląd — wywodzący się z pewnością jeszcze z czasów dawnej Rzeczypospolitej, gdy to osiadający w mieście szlachcic, zajmujący się „niegodnym” handlem czy wytwórczością przemysłową tracił swój herbowy klejnot — o wyższej hierarchii zawodu ziemianina. Ten też właśnie specyficzny snobizm, tak bardzo silny jeszcze w latach międzywojennych, powodował, że ziemianin, który by swój niezbyt dochodowy majątek zamienił na przynoszącą duże zyski mieszczańską kamienicę, czułby się zdeklasowany, straciłby swój dotychczasowy prestiż społeczny.

W okresie II Rzeczypospolitej ziemiaństwo wkraczało pełne jeszcze nadziei na odegranie poważnej roli politycznej. Rzeczywistość przekreśliła te marzenia. W ciągu międzywojennego dwudziestolecia prawie zupełnie straciło ono swe polityczne znaczenie. Gwałtownie zmalała jego ekonomiczna rola. Nadal jednak na drabinię społecznej hierarchii, w nieoficjalny sposób utrzymującej się jeszcze w tym okresie, „dziedzice” ziemiańskich majątków, chociażby stojących już na progu bankructwa, zajmowali wysoką pozycję. Nie bez przyczyny też bohaterka „Opętanych” Witolda Gombrowicza, panna z bankrutującego ziemiańskiego dworu, powoli schodząca do roli luksusowej kokoty, za swój klejnot herbowy i powinowactwo z arystokratycznymi rodami otrzymuje od milionera chłopskiego pochodzenia Maliniaka, wielokrotnie wyższe „honorarium” niż dostawała je dziewczyna z innej grupy społecznej. I w tym zakresie prestiż ziemiańskiego dworu był atutem możliwym do wygrania.

Wreszcie 1939 r. na przeważającej części ziem przedwojennej Rzeczypospolitej był końcem ziemiańskiego świata. Jedynie tylko w Generalnej Guberni i to tylko w majątkach nie objętych niemieckim zarządem, utrzymało się ziemiaństwo do lata 1944, czy też na terenach leżących na lewym brzegu Wisły do zimy 1945 r. Był to już jednak zupełnie inny okres dziejów ziemiaństwa. Okres znacznego dobrobytu, niekiedy bohaterstwa szafowania własnym życiem, a niekiedy ocalenia się o gospodarczą kolaborację z okupantem.

Reforma rolna Polski Ludowej zmiotła z powierzchni życia gospodarczego i politycznego warstwę ziemiańską. Jedni z jej przedstawicieli potrafili włączyć się w zachodzące w kraju przeobrażenia społeczne i odegrali znaczącą rolę w różnych dziedzinach życia Polski Ludowej. Inni, nawet jeszcze w drugim lub nawet i trzecim pokoleniu pozostali tylko „bezetami” (skróć od słów: „były ziemianin”) wciąż żyjącymi marzeniami o powrocie do upiekanych rodzinnych legend, dawno już rozparcelowanych folwarków.

Fumy poszła— checkie

MELCHIOR WAŃKOWICZ

Znowu, jak w każdym podejściu do naszych rozmyślań o tym, czym jesteśmy, uderzy nas — dwoistość:

Chłopak pasie krowy i jest pierwsza klasa (ten artykuł był pisany w Rzymie w 1945 r.). Kończy siedmiodziesiątą szkołę powszechną — morowy szprync z konopiastą czupryną — tylko uczyć dalej takiego. Idzie do gimnazjum — spójrzeć na niego i na jego kolegów na boisku — pierwszorzędne chłopaki.

Na uniwersytecie już czasem zaczyna malpieć. Ale po ukończeniu uniwersytetu malpieć na pewno. Ledwo otrzymał dziesiątkę służbową — inny człowiek się robi. Już siad „z tamtej strony okienka”, już odważył uprzywilejowanego dygnitarza, już strzeże „godności urzędu” i jak się tam nazywają te żałostne przywileje, których się dochrapał. „Ten co to nazwisko przybrał — pisze Ksawery Pruszyński w swojej książce — „Droga wiodąca przez Narvik” — chciał się nim wkupić nie w polskość, ale w państwo, przez owo „ski”, przez całą tę „ziemiańskość”. (...) Był to półpanek, podpanek. Tysiące takich ludzi o ekonomicznych duszach wrosło ciągiem wieków w kark ludzki w Polsce, jak wrasta w nie świerzb, jak wgrzyza się giez koński.

Osiadło. Polska się zmieniała, oni trwali”.

Ludzie się już nawet nie dziwią, co się stało z tym „byczym Frankiem”, czy „morowym Staśkiem”. Wiadomo — poszedł już po drodze życia zarobkowego (to niekoniecznie musi być urządek, osiągnął pierwszy szczebel. Widać tak musi być — stwierdzają zrezygnowani Polacy).

Tymczasem wcale tak być nie musi. Na Zachodzie ludzie do końca życia zachowują młodzież, prostotę i życzliwość (...).

Nie sądzę, żeby w „Tom Sawyer” Marka Twaina był lepszy materiał ludzki niż np. w „Latoroślach” Sieroszewskiego. Tymczasem u nas „tyle jest książątek i tak mało z nich zostaje królami” — jak mówi przysłowie francuskie.

Jeśli porównać wytworzenie człowieka w Polsce do jakiegoś procesu fabrycznego, to gdzieś tam u końca taśmy Taylora jest ostatni czan z jakimś niewłaściwym barwnikiem, który wszystko psuje.

W Persji objaśniono mnie, jak poznawać fałszyfikaty pewnego rodzaju dywanów perskich. Mianowicie, nie może w nich być czarnego koloru. Bo w owych czasach czarny kolor zawierał składniki gryzące, które zżerały po kilkudziesięciu latach dywan.

Czan z poszlacheckimi fumami zżerał nasz chłopski narybek.

Jak się psuje człowiek w Polsce?

Jakież to taki składnik gryzący znajduje pierwszorzędna wełna polska w ostatnim czanie?

Znajduje tam — roztwór kultury poszlacheckiej.

Gdzieś w zamierzczkiej przeszłości kultura ta powstała z praw rycerskich, a indygenat wyrastał z krwi. Potem, coraz bardziej, stan szlachecki stał się stanem spożywającym, broniącym przywilejów. Jeśli szlachta lubiła mówić, że jest z ojca miecza, to zapominała dodawać, że jest z matki — sakiewki. Wytworzyła się plutokracja swoistego typu. Nie ta np. wenecka, gdzie patryjusz dobrze musiał się napocić, nim okręcił z korzeniami sprowadził z dalekich Indii. Nie ta typu holenderskiego, gdzie Flamandczyk dobrze się namozolił, nim bezkonkurencyjnie sukna wysłał w świat. Nie ta typu angielskiego, gdzie młodzi ludzie płynęli na ciężkie przygody na morza. Nie skandynewskiego, gdzie energia ludzka dawała to, czego dać nie mogła jałowa ziemia. Raczej ta typu hiszpańskiego, o którym pisze jeden z historyków angielskich, że Hiszpanie chcieli zachować wielkość imperium i wszystkim fumy, ale nie chcieli za to płacić wysiłkiem.

Jednak od losu Hiszpanów zachowało nas — inne położenie geograficzne, zmuszające do wysiłku. I stąd ten czynnik miecza nie sparciał ostatecznie, stąd te tradycje poświęcenia i ofiary, tak żywe w naszym narodzie.

Na co dzień rzeczywistość jednak była inna.

Masa szlachecka, nadająca ton duszy narodowej wytworzyła w wybijającym się Polaku światopogląd, że jego powodzenie polega nie na pracy, a na uciepieniu się skrawka jakiegoś przywileju. Nie było mieszczaństwa polskiego, przez które normalnie idzie fluktuacja żywych sił z dołu do góry. Wiele wygodniejszy dla szlachty byli Żydzi, których można było krócej trzymać niż mieszczaństwo i którzy więcej niż mieszczaństwo nadawali się do spółki eksploatującej chłopów. W Polsce powstały niby dwa narody — szlachecki i chłopski, a między nimi — ściana żydowska. To też znakomicie współdziałało w tworzeniu się dwoistości duchowego oblicza Polski.

Polsce nie dały dzieje tych naturalnych korekt, jakie mają inne narody, kiedy przychodzi rewolucja i automatycznie zrzuca przeżyte formy.

Pierwsza przyczyna — to położenie geograficzne, które nie pozwalało warstwie rządzącej zupełnie się zdegenerować.

Druga — to liczebność tej warstwy, stanowiącej dziesiątą z czubkiem procent i rozbudowaną wieloszczebelowo.

Revolucja więc, wyrzynająca dziesiątą procent narodu i nie mającą zasobów w mieszczaństwie, byłaby zagładą narodu jako takiego.

Trzecia przyczyna — zabory, które skierowały uwagę na zewnątrz.

Każde społeczeństwo miało w swoim czasie odświeżającą rewolucję, my nie. Weszliśmy w dwudziesty wiek po zdjęciu całunów niewoli niemal z nienaruszonymi upodobaniami z epoki saskiej, bo epoka oświecenia nie przeorała narodu, była zbyt krótka.

Zaczęła się infiltracja mas dolnych w górne.

Na Zachodzie to się odbywało tak, że syn chłopca zostawał straganiarzem, jego syn sklepikarzem. Ten sklepikarz miał swoje zainteresowanie i obyczaj — szedł w sobotę na kregle i kufelki piwa, powoli zmieniał atmosferę od pradziada, który tkwił w masie ludowej, po prawnuka, który dostawał się do parlamentu.

U nas było inaczej. Ten chłopczyca pasący krowy, którego powołałem na początku na koronnego świadka, nie miał żadnych kregli po drodze, tylko dostawał się od razu w sferę „jaśnie oświeconych”.

Ci „jaśnie wielmożni” — to była wyrzucona na bruk miejski szlachetczyzna z wszystkimi narowami z przeszłości, ale z urwanymi przywilejami, obrażona na cały świat, poszukująca skrzętnie namiastek jakichkolwiek bądź przywilejów, za które trzeba było nieraz płacić większym wysiłkiem niż za rezultaty rzetelnej pracy.

Cóż miał robić nowo uzyskany adept tej szlachetczyzny, która teraz nazywała się

Trzy spojrzenia w przeszłość

„inteligencja”? Brał te wzory, których się uczył u pani Kowalskiej czy Majewskiej, która wprawdzie utrzymywała ostatniórzedną „stajnię” dla studentów, ale której mąż, nieboszczyk, pisarz magistratu, miał ojca, którego ojciec „jeszcze w powstaniu”, ho, ho... posiadał mityczne dobra ziemskie. W gruncie rzeczy te mityczne dobra to było zwykłe związanie u kłami możniejszych nierobów, którzy znowu związali u kłami jeszcze możniejszych...)

(...) Ta „kolumna duchów”, piętrząca się od waszećcia poprzez wielmożnego do jasnie oświeconych, poczęła się z wolna przemieszczać do miast i formować się od asesora, poprzez naczelnika i dyrektora do ministra. Pan Kowalski, pisarz magistratu, otrzymywał miejsce przez protekcję pana radcy w jakiś sam sposób, jak dziać Kowalski otrzymywał prebendę „officjalisty” u dziadka pana radcy. (...)

(...) „Młodzież chłopska — pisał Józef Chłasiński, omawiając pamiętniki młodzieży chłopskiej — w procesie zdobywania wykształcenia zatracła kulturę macierzystego środowiska, kulturę bogatą w społeczne i materialne wartości zupełnie nie wyzyskane w rozwoju narodu. Toteż inwazyja młodzieży chłopskiej do warstw wyższych, tak jak ona się dotychczas dokonuje, jest zjawiskiem wysoce niepożądanym dla przyszłości Polski. Nie chodzi o ratunek dla szlacheckiej kultury przed chłopskimi synami, lecz chodzi o ratunek chłopskich synów przed kulturą szlachecką”.

Te ciężką prawdę o straszliwym przedziale po latach deklamacji „z polską szlachtą polski lud”, tę prawdę, którą wykazuje zimny skalpel socjologii — czuła bezradnie literatura...

I nie właśnie tak nie maluje tego bezmiaru naszego nieszczęścia, jakim jest niezasilanie kultury narodowej przez warstwy od dołu, jak rozpaczliwa próba Prusa, który wybrał sobie na bohatera tak załosną postać, wyrzekającą się wszystkiego, co mogłoby wnieść ze sobą chociażby od swego opiekuna straganiarza (który znowu musiał być usprawiedliwiony w swym plebejzostwie tym, że był eks-żołnierzem Bema), chociażby od jego żony praczki, tylko łapczywie chłonie drogo przepłacaną namiastkę kultury. (...) Rzecz dziwna, jak przy całej tej polskości kulturze poszlacheckiej sprawy kulturalne były zepchnięte na margines życia mas. To jest bardzo zrozumiałe — skoro się daje namiastkę (pseudokulturę towarzyską), to na długi czas się zamyka popyt na produkt istotny. (...)

Rządy z fumami

Nie ma drobnej wady w życiu społecznym. Każda drobna, a powszechna wada sublimuje się w styl życia, wypierała w narost, pod którym żyć trudno.

Jeśli się mieszka koło ogromnie ugrzeczniłych przy przechodzeniu przez drzwi Polaków, którzy, kiedy człowiek samotny zachoruje, nie mają zwykłego ludzkiego poczucia, żeby mu pomóc — to się uważa za drobną indywidualną wadę. Ale nie należy zapominać, że ci ugrzeczni, a nieuczynni Polacy, przeniesieni na urząd, tę drobną indywidualną wadę za sobą powloką jako prawidłowość życia.

W naszym tulactwie, jeśliśmy zmuszeni byli iść do różnych urzędów, czyniliśmy to ze ściśniętym sercem. Taki kontrast był między rżącym pod znaki narodowe dołem a tą zafumowaną górą. Ilem razy musiał odwiedzić jakiegoś naszego przedstawiciela dyplomatycznego, niemal z reguły poczyniał się telefonicznie tych samych wzorów: telefonowanie bez potrzeby w mojej obecności do najbardziej postawionych cudzoziemców, używanie wszelkich języków, podnoszenie nogi pod nos, żeby pokazać niesłychane w desenu angielskie skarpki, tłumaczenie, jak to różni przedstawicieli innych państw placzą naszem przedstawicielowi w kamizelce, oskarżając się wzajemnie, wysoce inteligentne rozważania o lakach japońskich, pieskach chińskich i czort wie o jakim brekekeksie snobistycznym. A kiedy było nie dać się odstraszyć tymi fumami i przekuć taką dobrze odprasowaną kukłę, to wspanialec wypuszczał szybko powietrze, kapiat i mówił głosem załosnym:

— Proszę pana, cóż my możemy poradzić, w gruncie rzeczy tacy słabi jesteśmy...

Utarł się szablono, styl swoisty, szkoła zakorzeniona — tak urzędować, aby nie napiętnować się zbyt wiele pracy. Personel na placówkach był „słiny, zwarty, gotowy”, aby walczyć z precedensem. Aby, brzo Boże, żadnemu rodakowi nie pomóc, bo narosnie precedens i inni zechcą tego samego.

Ala wróćmy do tego pastuszka z konopiastą czupryną, którego doprowadziliśmy do ostatniego roku na stacji u pani Kowalskiej.

Już się począł opierać, już złapał posadzinę. Niebawem nasz syf chłopski fundował sobie małżonkę. Miał, powiedział, czterysta złotych miesięcznie, ale małżonka już miała swego kocmotucha, na którego mogła spędzać wielkopolskie fantazje, leżąc w brudnym, barczanym szlafroku na kanapie. Stokroć od niej żałośniejsze na Zachodzie obywateli się bez służącej.

Jej małżonek, jeśli na przykład pracował w starostwie, musiał mieć strzelbę, bo wypadało polować. Z budżetem było stale kruczo. Dzieci rosły w atmosferze kwasów, jakich nieokreślonych pretensji do nie dość honorowanej sytuacji życiowej. W biurze swoje zawody życiowe wyżywał pan asesor na patentach. Nie wiadomo było, jakimi słowami, dosyć dostatecznie malującymi szacunek, należało mówić do starosty, do wojewody.

Na inauguracji Uniwersytetu Łódzkiego

powołany na katedrę Józef Chłasiński wygłosił wykład o genezie inteligencji polskiej.

W minionym okresie niepodległości nestor epoki pozytywistycznej, blisko stuletni Aleksander Świętochowski, z młodzieńczą pasją napisał studium „Genealogia teraźniejszości”. Byłoby rzeczą ciekawą, porównać ze sobą te dwa studia, ludzi z innych epok, ludzi mówiących innymi językami, ludzi stanowiących inne szkoły socjologiczne, którzy w gruncie rzeczy stwierdzali to samo. Świętochowski, sięgając do końca XVIII wieku, kiedyś weszli w grób ze wszystkimi narowami posaskimi, pokazuje, jak z tymi narowami wychodziła z grobu Pierwsza Kadłowa. Chłasiński zastanawia się nad gettem kulturalnym, w jakim się zasklepia szlachetność, która przewędrowuje do miast. Była to wielka emigracja wewnętrzna do miast i jak każda emigracja w obcym środowisku oskurpiła się w getto. To getto dbało o zachowanie swoich strojów i obyczajów, (jak Żydzi dbali o zachowanie ogłady, polotu towarzyskiego, pogardy dla zawodów zarobkowych). Pamiętam, jak moja babka lekarzowi, który pochoził ze szlachty, przy podawaniu ręki na pożegnanie, wtykała dyskretnie honorarium jak wstydlivą łapówkę, a tenże zgranił banknot, udając, że go nie widzi. Jedyny zawód godny szlachcica i człowieka „z towarzysztwa” to był urząd. Toteż z tego urzędowania, zwłaszcza galicyjscy poszlacheccy, mający większy dostęp do urzędów, robili misterium wtajemniczonych. To, co było proste, należało niezmiennie skomplikować, bo przecież jedynie na tym mogło się wyżyć poczucie wielkości, nie poza tym nie umiającego robić człowieka, tylko to było glejtem dla zapadającej się klasy, że jest na jakimś polu niezastąpiona. Chłop dochrapujący się stanowiska za okienkiem malował ten styl, bo biurokracizm był jedyną formą życiową wyższą się jako człowieka uprzywilejowanego.

Stąd te niezrozumiałości dla normalnego człowieka „przyjdź pan jutro” w naszych urzędach. Czemu jutro? Czy jutro najjaśniejszy oświecony pan dygnitarz będzie mniej zajęty? Nie, nie podobnego. Jutro tej następnej serii petentów będzie odpowiadał „przyjdź pan jutro”. Bo tak każde system robienia gościa na miękko, wyżywiania się w swojej władzy. Zaraz załatwić? Nie ma tak dobrze... Każdy by tak chciał...

Kiedyś, w czasie wojny, zaniedbałem pojsć do urzędu angielskiego, który mnie wzywał. Po tygodniu otrzymałem ponowne wezwanie, zapowiadające, że jeśli się nie stawię, będę doprowadzony przez policję, i podpisane: your obedient servant. Mój „posłuszny sługa” nie zawahałby się uskutecznić zapowiedzi, więc w te pędy poleciałem do niego. Zostałem przyjęty najgrzeczniej i najrzeczowiej. Urzędnik mnie załatwiający to był istotnie potomek prywatnej administracji, utrzymywanej z funduszy komunalnych, parafialnych, kompanii handlowych, itp., który zależał od swego klienta, i to mu we krwi pozostało.

W tych czasach, kiedy zdarzyło mi się siedzieć „po drugiej stronie okienka”, poleciłem jednemu z urzędów na prowincji przeprosić obywatela, który został potraktowany głupio, biurokratycznie i niegrzecznie. Na pismo mojego urzędu za odpowiednim numerem otrzymałem odpowiedź, że „petent został wezwany i przeproszony”. Ciekaw jestem, ile czasu musiał czekać w poczekalni miejscowego dygnitarza na te przeprosiny. Ten dygnitarz to był potomek rządzących pokoleń uprzywilejowanych.

Proszę spojrzeć na styl rozmowy, jaki przybierała tzw. petent przychodzący po cokolwiek: o założenie księżeczki oszczędnościowej, pobór sortów, wydania karty zaopatrzenia, delegacji służbowej, itp. Załatwiający go „czynnik kompetentny” niechętnie daje sobie cokolwiek wytłumaczyć, z góry wszystko wie, chociaż nie wie, że klient musi mówić: „może pan kierownik będzie łaskaw kazać to załatwić”, bo pan kierownik nie jest od tego, żeby sam załatwiał. A ile słodczy wkłada „petent”, ile ubolewania, że władza ma tyje na głowie, jak chętnie manifestuje, że wie, jak dobre wychowanie każe zachować się w urzędach. (...) W Rosji należało się bać. Strach był konwenansem towarzyskim, formułą grzeczności oddawaną władzy. (...) W Polsce — posuniętej dalej na zachód, ale przecież nie zachodniej — euroazjatycki konwenans płaszczenia się przekształcał się w międzymorsko-szlachecki fason schlebienia i płaszczenia się. Ten styl poszlachecko-uprzywilejowy jest wynikiem przełamania się klimatu kontynentalnego i oceanicznego i niech nikt nie plecie dub-smalonych o Polsce jako reprezentancie Zachodu, bo Polska jest „istnem między oceanami Wschodu i Zachodu” — jak pisał Nałkowski. (...) Tak — fumy polskich półpanów do delia poszlachecka podbiła półwiosłem. (...) Mysłę, że u nas ludzkie ludziom się naprzeczuje, nadyrektoria, nacalują rączek, paskaczka koło drzwi, natraskają w obcas — i najspokojniej nie robią.

I ta cecha, jak inne, wystrzyła się aż do karykatury na emigracji. Jeśli się chce coś w naszym środowisku zrobić, nie można dobrze spełnić zadania w granicach swego fachu, z tym, że inne, dalsze zadanie pochwyca i poprowadzą. Autor nie może się ograniczyć do napisania książki, tylko musi ją pchać przez wszystkie etapy, dowódca kolumny transportowej musi budzić szoferów, szef kasyna omal zmywać talerze, a załatwiający sprawę nie tylko sformułować ją na piśmie, i nadać bieg, ale jeszcze aporować w pysku papier

z biura do biura przez wszystkie instancje. Smiech i rozpacz zbiera na myśl, ile energii nam zajmuje to przepychanie. Z reguły żadna sprawa sama nie pojdzie. Zawsze ten zapominał, tamten nie zrozumiał, ów nie wręczył, tamten nie pokwitował, ów nie przejrzał, tamten nie skontrolował — i sprawa stała bez niczyjej winy specjalną w powszechnym nieklapowaniu. Najgorzej, że w świadomości pono zachodniego Polaka utarł się kismet — przekonanie, że to jest istotny tok rzeczy, że inaczej nie powinno być. (...)

(...) I stąd, z tych fumów ugrzeczniłych, i nadzwyczaj mało kosztownych, z braku istotnego wkładu w stosunek do pracy i do człowieka, rodził się w Polsce przerażający brak szacunku dla cudzej pracy i chamsstwo tak przerażające, że aż zimno w kościach się robi.

W Polsce przedwojennej notorycznie dowiadywali się ministrowie, że już nimi być przestają — z radia albo od własnych sekretarzy.

Jeśli żegnano się z człowiekiem na Zachodzie, prawiono mu komplementy i obdarzano orderem, awansem, listem zwierzchnika. Ale tam patrzono na człowieka jak na sumę zogniskowaną życiowej pracy, która ma walor sama przez się. U nas — patrzono na człowieka pod kątem, jakiej rangi przywiłiej dawał. Więc skoro go pozbawiono przywiłieju, tracił wartość.

W tym wartościowaniu fumami rodziła się bezinteresowna zawiść, o której pisałem. Bo cudzego dorobku pracy trudno zazdrościć. Ale bardzo naturalne, że się zazdrości przywiłieju.

Stąd też brały się inne, cięższe rzeczy.

Melchior Wańkowicz („KUNDLIZM”, Rzym — Londyn 1947).

JANUSZ ZENON MICHAŁSKI

Czas, w którym wzrastał Myśl polityczna Józefa Piłsudskiego

Są w dziejach każdego narodu ludzie, którzy szczególnie dla niego położyli zasługi, są i tacy, którzy mu ciężkie zgłotali klęski. Nazwiska jednych potomni wynawiają z najewiększym szacunkiem i wdzięcznością, drugich z niechęcią czy wręcz pogardą.

Są też i tacy, co do których osąd społeczny nie jest jednolity i ze względu na odmienną interesów grup społecznych i ze względu na to, że oni sami zmieniali poglądy i postawy w różnych okresach swego życia.

Jedną z takich wyjątkowo kontrowersyjnych postaci w naszych dziejach najnowszych jest Józef Piłsudski. Obrócił legendą, pozostał w świadomości narodu przede wszystkim jako ten, który Polskę wywalczył, a szedł — jak pisał Konstanty Grzybowski „...od klęski do klęski, każda klęska była równocześnie jego zwycięstwem, pozostawał po niej młotem Wielkiej Sprawy i młot człowieka-symbolu tej sprawy”.

Po drugiej wojnie światowej o Piłsudskim oficjalnie zapomniano. Nawet setna rocznica urodzin w 1967 roku nie przerwała zakłętę kregu milczenia. W kilka miesięcy później na Nadwyznaczym Walnym Zebraniu Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich Stefan Kisielewski powiedział:

„W tym roku minęło sto lat od urodzin Józefa Piłsudskiego. Cenzura dostata zarządzenie od jakiegoś ciemniaka, że ani jednej linijki w prasie na temat tej rocznicy ukazać się nie może. Można mieć różne poglądy na Piłsudskiego, ale naród, który jest zmuszony wyrzekać się swej historii ze względów politycznych, a raczej bzdurnych, to jest rzecz smutna...”

Forma wypowiedzi Stefanowi Kisielewskiemu chwały nie przyniosła, jako że posługiwano się epitetami to przejaw ogólnie mówiąc, niedostatku kultury, ale w poruszanej sprawie coś jednak było godne zastanowienia. Uznając bowiem klasowy charakter patriotyzmu widzieć w nim trzeba, a szczególnie w jego przejawach — w postawach ludzkich i ludzkim działaniu pewne wartości uniwersalne, które na trwałe wchodzą do historii, by służyć czasem przyszłym.

Wieloletnie pomijanie osoby Józefa Piłsudskiego w rozważaniach nad dziejami najnowszymi mogło więc budzić uzasadnione wątpliwości, chociaż, z drugiej strony, trudno się dziwić ludziom, którzy w połowie lat czterdziestych stanęli u steru władzy mając za sobą z racji swej politycznej działalności lata więzienia czy piekło Kartuskiej Berez, że zdecydowanie negatywnie oceniali działalność dw-

tatora.

Czas niedawny przyniósł ze sobą odrodzenie kultu Piłsudskiego. W rozlicznych drukach ulotnych jawił się społeczeństwu Wielki Marszałek jako bojownik o niepodległość, obrońca suwerenności państwa, a nawet rzecznik i obrońca demokracji.

A tak naprawdę to chodziło o jedno. O stosunek Piłsudskiego do Rosji, zdecydowanie wrogi, zrodzony w dzieciństwie, ukształtowany powstającymi tradycjami rodzinnego domu, latami zesłania i konspiracji, a także faktem, że pod rosyjskim zaborem znalazła się większość ziem Polski Jagiellonów.

Gdyby Piłsudski przyszedł na świat w zaborze pruskim, być może walkę swą podjąłby przeciwko Niemcom. Urodził się jednak na ziemi litewskiej, w warunkach szalejącego popowstaniowego carskiego terronu i te warunki w sposób przemocy ukształtowały jego osobowość.

Klęska powstania styczniowego, represje, jakie zastosowały władze carskie, spowodowały w społeczeństwie polskim niewiarę w możliwość odzyskania niepodległości. Idee walki wyzwoleniczej zastąpiło hasło pracy organicznej, zakładającej gospodarczą i kulturową rozwój społeczeństwa. Podobnie było i w pozostałych zaborach.

W Galicji stronnictwo konserwatywne ślało adres do cesarza Franciszka Józefa: „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy...”. „Należy wyprzeć się ostatniego ruchu — pisał Paweł Popiel do Jerzego Lubomirskiego — uznać go i potępić jako zgubny, odrzucić ludzi, którzy mu przodowali, albo potakiwali...”

W tym samym czasie biskup poznański, Florian Stablewski, stwierdzał: „czujemy się pruskiemi poddanymi, istniejący stan prawno-państwowy uznaliśmy bez zastrzeżeń. Co będzie za takich dwieście, trzysta lat, tego nie wiemy i nikt nie może nam bronić odmalować sobie daleką przyszłość podług naszego upodobania. Senny ten obraz przyszłości nie będzie nam przeszkadzał w radośnym i pilnym spełnianiu naszych obowiązków wobec Państwa...”

Nie wszyscy kapitulowali. W młodych szeregach dworaków, gdzie mniej było wielkiej polityki, a wiele żałoby po poległych i zesłanych, kulturowo powstańcze tradycje i wychowywano w ich duchu młode pokolenie.

W jednym z takich dworaków przyszedł na świat 5 grudnia 1867 roku Józef Klemens Piłsudski. Urodził się w Żuławie, niedaleko Wilna, dokąd jego ojciec — Józef Piłsudski herbu Kościuska, powstaniec z 1863 roku, komisarz Rządu Narodowego na Zmudzi, musiał przenieść się uchodząc przed represjami z rodzinnego majątku w Kowieńszczyźnie. Piłsudski, gdy dorósł, będzie często mówił o patriotycznej atmosferze rodzinnego domu, o konspiracji rodzinnej, w której dojrzewała myśl walki z najeźdźcą.

W 1874 roku, po pożarze dworu żuławskiego, rodzina Piłsudskiego przeniosła się do Wilna i w tym samym roku Józef Piłsudski rozpoczął naukę w pierwszym gimnazjum wileńskim, gdzie odczuł bezpośrednio rusyfikacyjną politykę caratu. Napisał później: „...dla mnie epoka gimnazjalna była swego rodzaju katorgą... Wolowej skóry by nie starczyło na opisanie bezustannych poniżających zaczepek ze strony nauczycieli, hanbienia wszystkiego, co się przyzwyczaił szanować i kochać...”

W takich warunkach zaczęły się kształtować poglądy polityczne Józefa Piłsudskiego. Po kilku latach powiedział: „...Nazwałem siebie socjalistą w roku 1884... Byłem wówczas w gimnazjum wileńskim, należałem do kółka „Spójnia”, zawiązanego kilka lat przed tym i razem ze swymi kolegami uległem modzie socjalistycznej, którą nam przywieźli starsi koledzy, studenci uniwersytetu petersburskiego. Otwarcie wyznałem, że była to moda, bo inaczej trudno mi nazwać ówczesną epidemię socjalizmu, która ogarnęła umysły młodzieży rewolucyjnie, czy tylko opozytywnie usposobionej. Ogarnęła zaś do tego stopnia, że nikt z inteligentniejszych i energiczniejszych młodych kolegów nie uniknął w swym rozwoju przejścia przez etap socjalistyczny...”

W 1885 roku Piłsudski rozpoczął studia medyczne na uniwersytecie w Charkowie. Po roku złożył prośbę o przeniesienie na uniwersytet w Dorpacie, a oczekując na decyzję władz, wrócił w 1886 roku do Wilna.

Bardzo znamienne były jego wspomnienia z tamtego okresu: „...marząc ciągle o powstaniu, zacząłem się zastanawiać, czemu dotychczasowe się nie udawały. Książek odpowiednich nie było... ze szczególną więc ciekawością czytałem to, co mogłem dostać o rewolucji francuskiej. Podłoża społecznego tego ruchu naturalnie nie rozumiałem, natomiast byłem zachwycony zapalem i żądzą do rewolucyjnej i rewolucyjnej walki wielkich mas ludowych. A dlaczego u nas tego nie było?”

Analizując tragiczne powstania narodowe, zaczął Piłsudski dochodzić do wniosku, że w walce o niepodległość trzeba postawić nie na szlachtę nie mogącą do siebie dojść po klęsce ostatniego powstania, a na środowisko robotnicze. Zwrócił się więc ku socjalizmowi, już nie dla mody, a z uświadomioną potrzebą. Zaczął czytać dzieła Marksa, Liebknechta i innych teoretyków socjalizmu, myśląc nad wykorzystaniem tej doktryny w przyszłej walce o niepodległość.

W marcu 1887 roku grupa terrorystyczna Narodnej Woli dokonała w Petersburgu niedanego zamachu na cara Aleksandra III. Wśród „straconych spiskowców” znalazł się brat Lenina — Ułjanow. Natomiast studiującego w Petersburgu brata Piłsudskiego — Bronisława, skazano na 15 lat ciężkich robót na Sachalinie i dożywni pobyt na Sybirze. Józef Piłsudski, chociaż niczego mu nie udowodniono, został skazany w drodze administracyjnej na pięć lat zesłania na Syberię.

Zesłaniem szlakiem rozpoczął 20-letni Józef Piłsudski swą drogę do Polski Niepodległej.

IX Radomska Wiosna Literacka

W dniach od 1 do 3 kwietnia br. odbyła się w Radomiu kolejna, już dziewiąta, Radomska Wiosna Literacka.

Impreza ta, organizowana corocznie, przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną oraz Wydział Kultury Urzędu Miejskiego, udowodniła ponownie potrzebę podobnych spotkań twórców z czytelnikami, czego dowodem było szerokie zainteresowanie mieszkańców Radomia, a zwłaszcza młodzieży.

Oprócz dziewięciu pisarzy zaproszonych z Warszawy, Łodzi i Kielc w spotkaniach autorskich wzięli także udział przedstawiciele świata kultury z zaprzyjaźnionego z Radomiem Magdeburga.

Warto także odnotować fakt, że na otwarcie imprezy ukazał się Radomski Almanach Poetycki, prezentujący twórczość ponad 20 poetów. Almanach ten, w nakładzie 1500 egzemplarzy, w pięknej formie edytorskiej, ukazuje szeroki wachlarz poetyckich zainteresowań młodych twórców ziemi radomskiej, wykazujących, zwłaszcza w ostatnich latach, widoczny rozwój ich talentów.

O dużym zainteresowaniu poezją świadczy fakt, że na tradycyjny już konkurs poetycki, towarzyszący każdej Wiosnie napłynęło ponad 250 wierszy nadesłanych przez 80 autorów.

Od czterech lat stałym punktem programu Wiosny było ukazywanie dorobku edytorskiego ostatnich lat naszych największych oficyn wydawniczych. Trzy ostatnie imprezy organizowane były przy współudziale „Czytelnika”, „Iskier” i PIW-u. Na tegoroczną zaś swoje osiągnięcia zaprezentowała Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Ogromna zasługa zarówno w organizacji poszczególnych imprez towarzyszących, konkursu poetyckiego oraz tegorocznej Wiosny Literackiej należy przypisać całemu zespołowi Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, kierowanemu przez entuzjastę wszelkich inicjatyw w zakresie kultury służących ziemi radomskiej, dyr. Czesławowi Zwolskiemu.

Jury konkursu w osobach: Igor Sikirski — przewodniczący, Jan Koprowski, oraz wicedyrektor Biblioteki — Danuta Tomczyk — sekretarz postanowiło przyznać trzy nagrody oraz cztery wyróżnienia.

Część nagrodzonych utworów prezentujemy naszym Czytelnikom, składając jednocześnie gratulacje laureatom konkursu poetyckiego IX Radomskiej Wiosny Literackiej.

(IS)

ix radomskiej wiosny literackiej



I NAGRODA

Moja wyspa

TERESA OPOKA

Moja wyspa jest tak maleńka
że mogę na niej stanąć
tylko na jednej nodze.

Na mojej wyspie rośnie
jedna trawka — jakoś
doszliśmy do porozumienia.

Czasem przylatują tu białe
ptaki i odpoczywają na moich
ramionach. Szepczą mi do ucha:
— leć z nami do Itaki.

Nie jestem więc na swojej
wyspie samotna a mam też
pewne możliwości.

Nie mam jednak zamiaru
opuszczać mojej wyspy
bo świetnie nadaje się
pod uprawę marzenia.

II NAGRODA

Ona

HENRYK MORAWSKI

Niewolnica kolejek
lupy wciąż nowe
z triumfem ściga
do schronu

który rygluje starannie
dla egoizmu we dwoje

W ciszę co ściany rozsada
otulona
kładzie na cierpkie godziny
freski w czekanie bogate

Clagle od nowa buduje dom
uparta penelopa
podsyca ogień niepokojem
rachunków nie zapłaconych
o których nie chce słyszeć
odys
czuły na śpiewy syrenie

III NAGRODA

Mazurska improwizacja...

BARBARA
WOJDAN-MASIEJEWSKA

Tam daleko nad pękniętym obłokiem
Coś zapowiada już jutrzejszy ranek!
Nim noc melancholii rozepnie na drzewach
Nie zapomni polsku śpiącego jutra.

Ty i ja, doczekamy tych ptaków o świecie
Będzie znów na jeziorze, pełno wodorostów,
Płynących pod włosiem ku dalekim drzewom.
A nurki czarne głowy zatopia na chwilę
By powstać ku słońcu dymiący pióry...
Mily mój! To lato jeszcze się nie kończy.
Mily mój! Na wodzie są wczorajsze ślady.
To nie, że słońce zmęczone się topi.

Słuchaj, czarownicy myją ciepłe dionie...
Tylko w wieczór, je można podchodzić na
palcach...
Słuchaj, sosny się w mroku przebijają
chłopców
śpiewających ku trzcinom, pieśni zapomniane.

Tyle wieczoru obok nas się tworzy.
Tyle twarzy powoli na ścieżkach zanika...
Już za chwilę wpadniemy w wydrążoną
studnię.

Zostawiona przy brzegu,
Dla Ciebie i dla mnie!

I WYRÓŻNIENIE

Lotna świadomość

WŁADYSŁAW KOKA

Kiedys stało tu drzewo
powalił je wiatr
ten sam co je posiał

kiedys była tu rzeka
pod niebo wyszła
tam gdzie zbiera się deszcz

na koniec i my
wrosnąć we wszystkie świata strony
szukamy tu pod nogami gruntu.

WYRÓŻNIENIE

Moja Miłość

GENOWEFA OSTREGA

Ponad ludzką wyobraźnię,
Ponad wszelką świata miarę
Moja miłość
W zgrzebnej chuście,
W świętokrzyskiej zapasce,
Na bosaka
Po twych tropach.
Po twych szlakach
Drepcze
Goni...
Od powietrza, głodu, ognia i wojny
Pragnie, Synu, cię obronić.

WYRÓŻNIENIE



ADAM ZDZISŁAW KRZEMIŃSKI

Spójrz, za oknem śnieg biały przysypał
listopad.
Zimną koldrę rozstania narzucił na ziemię
Zmroził czystą toń czasu, trwożną łapą dopadł
Ostatni przebieg światła, ostatnie marzenie.

Patrz, myśli nasze krążą jak te płatki śniegu,
Otulają wspomnienia podśniegowej ciszy.
A i życie się gubi, zwolniło już biegu
Jeszcze idzie, lecz wszystkich kroków swych
nie słyszy.

Albo my się tak dobrze ukryć potrafimy,
Ze nawet sen nie krzyczy topielą pamięci
A może my za cicho radością stoimy?

I jesteśmy już dawno cisy taflą cieci.
To dobrze moja droga że uśmiech na twarzy
Jest uśmiechem... a może tylko mi się marzy.
10.11.81

Można by oczywiście podejrzewać KAZIMIERZA DEJMKĘ o to, że pragnąc możliwie jak najszybciej podnieść poziom warszawskiego Teatru Polskiego realizuje on ów szczytny zamiar w sposób dla siebie najłatwiejszy i najbardziej ryzykowny, tzn. przez wprowadzanie na kierowaną przez siebie scenę sztuk, które z pełnym powodzeniem wystawił uprzednio w łódzkim Teatrze Nowym. Istotnie bowiem zarówno „Uciechy staropolskie” jak i „Vatzlav” już w swych prapremierowych łódzkich inscenizacjach odniosły tak wielkie sukcesy, że pomysł ponownej realizacji tych tytułów mógł zrodzić się z absolutnej pewności pełnego a łatwego zwycięstwa.

Wnikliwsza jednak analiza decyzji repertuarowych nowego szefa Teatru Polskiego każe zwrócić uwagę na szersze i poważniejsze aspekty i kierunki jego działań. Analiza ta — której dokonywać trzeba w kontekście całej dotychczasowej działalności teatralnej Kazimierza Dejmkę, działalności stanowiącej niezbyt długi, ale główny i podstawowy zajęciem tego artysty jest nieustanna walka o kształt i godność polskiej, a więc narodowej sceny — dziś o tyle niezbyt jest trudna, że w momencie obejmowania dyrektora tego teatru Dejmek prezentował i częściowo uzasadniał swe plany artystyczne tak w czasie specjalnie zorganizowa-

a niezbyt potrzebnie, wskazał motywację działań i postaw, które i tak zupełnie jednoznacznie wynikają z sytuacji zgodnie z intencją autora interpretowanych przez publiczność. Znamy Dejmę szacunek dla autorów (żeby nie być gołosłowną znów posłużę się fragmentem jego wypowiedzi: „Musimy sobie uświadomić i raz na zawsze powiedzieć, że o teatrze stanowią teatralni pisarze, my zaś jesteśmy tylko ich i publiczności sługami.”), nie pozwolił mu zapewne wykreślić tego dialogu, choć takie cięć nie przyniosłoby moim zdaniem nazbyt wielkiej szkody.

Dejmek zaprezentował „Vatzlava” w nieskazitelnym formie scenicznej. Reżyseria — podobnie jak w łódzkim spektaklu — urzeka celnością rozwiązań sytuacyjnych, precyzją rysunku poszczególnych scen, które mimo luźnej przebiegu konstrukcji układają się w organiczną całość, wykwintnym dowcipem sytuacyjnym, znakomitym prowadzeniem aktorów. Przedstawienie ma dobre tempo, które zapewne jeszcze się rozwinie. W swej plastycznej formie warszawski „Vatzlav” — jest — równie jak w Łodzi — udaną próbą rekonstrukcji osiemnastowiecznego teatru, w czym znaczną zasługę ma KRZYSZTOF PANKIEWICZ, twórca niezwykle wysmakowanej scenografii.

Znakomitą, bardzo współczesną postać stwo-

EWA PANKIEWICZ

„Vatzlav” 82 — recenzja z cytataми

wanej konferencji prasowej, jak i w całym szeregu wypowiedzi udzielanych dziennikarzom i publicystom. W jednej z takich wypowiedzi stwierdził Kazimierz Dejmek: „Należy już tylko do teatru”, w innej: „Miałem niejednokrotnie okazję mówić o tym, i zresztą w jakimś sensie moja teatralna działalność tego dowodzi, iż kwestia najistotniejszą dla mojego rozumienia teatru, a więc tak to nazwiemy: dla mojego teatru, (każdy z nas ma taki teatr, na jaki sobie zasłużył), jest kwestia repertuaru. To oczywiście bardzo staroświeckie i od wielu lat niemodne, ale ja przy tym mniemaniu trwałem, trwam i trwać zamierzam”. Zapytany o to czy w Teatrze Polskim będzie budował scenę narodową, czy będzie obowiązywała go tradycja dwustu lat narodowego teatru, odpowiedział: „Znajomość przeszłości, jej rozumienie, stosunek do niej to obowiązki pracownika teatru i warunkiem jego świadomej działalności. Trzeba nam wiedzieć skąd idziemy, by próbować się domyślać dokąd iść należy (...). Arnold Szyfman uważał, iż najistotniejszym czynnikiem dla działalności Teatru Polskiego jest repertuar. Podzielał ten pogląd. Mój program repertuarowy określał następujące założenia: będzie się on składał z najlepszych polskich sztuk klasycznych i współczesnych; o wyborze tych ostatnich będą decydować wartości literackie i sceniczne danej sztuki oraz moralne i obywatelskie (...).”

Fragmenty wypowiedzi Dejmkę cytuję tu — w razbyć może obfitym jak na rozmiary recenzji teatralnej wyborze — z tej tylko przyczyną, iż w moim przekonaniu świadczą one o jego pełnym oddaniu się teatrowi, poczuciu głębokiej wobec polskiej sceny odpowiedzialności oraz o wysoce rozwiniętej świadomości artystycznej i obywatelskiej. Jeśli dodamy do tego powszechnie znany krytycyzm Dejmkę wobec własnych dzieł to suma tych przymiotów jego osobowości artystycznej odsunie od niego podejrzenia o chęć łatwych zwycięstw przemawiających za sobą, iż wprowadzenie do repertuaru Teatru Polskiego „Vatzlava” Sławomira Mrożka jest aktem świadomego wyboru motywowanego przeświadczeniem o wartości i znaczeniu tego utworu w współczesnej dramaturgii polskiej, wyboru dokonanego z wielką rozważą i namysłem. Namysł to musiał być tym większy, że w innym, jakże już odmiennym czasie i przez pryzmat innych doświadczeń obywatelskich niż te, jakie były naszym udziałem trzy lata temu, gdy odbyła się prapremiera „Vatzlava” przychodzi nam dziś oglądać i przeżywać ten spektakl, w którym wszystko jest takie same i wszystko mniej lub bardziej odmienne. Ten sam, a przecież nie taki sam jest w stosunku do pierwszej inscenizacji „Vatzlava” Mrożka i Dejmkę ich „Vatzlav” Arno Domini 1982.

Jeśli uznać (czego nie uznać po prostu nie można), że ostatelny wyraz emocjonalny każdemu spektaklowi nadaje ów pryzmat, przez który patrzy nań publiczność, że w zasadniczy sposób waży na kształcie spektaklu filtr nie tylko artystyczny, ale i polityczny, obywatelskiej świadomości odbiorcy, to stwierdzić trzeba, iż pryzmat ten w naturalny sposób zaostroszony wydarzeniami ostatnich dwóch lat i miesięcy znacznie wystrzyli i pogłębił spojrzenie widzów. To zaś — możliwe do przewidzenia przez świadomego funkcji i zadań teatru twórcę spektaklu pozwoliło mu, a może nawet nakazało pogłębić sferę znaczeń i emocji jakie niesie przedstawienie. I ta różnica, bynajmniej nie antagonistyczna w stosunku do prapremierowego kształtu „Vatzlava”, ale znacznie bardziej czująca jego emocjonalny wyraz sceniczny wydaje mi się najistotniejsza. Spektakl warszawski tą właśnie różnicą wnosi w historię inscenizacji dramatu Mrożka dodatkową wartość jego pogłębionej wymowy, poszerzonej interpretacji literackich, historycznych, filozoficznych symboli, odniesień i aluzji oraz jeszcze większej nośności emocjonalnej. Znaczące zintensyfikowanie tej ostatniej było możliwe dzięki pogłębieniu przez czas jaki minął od prapremiery „Vatzlava” nośności dramaturgicznej tego utworu.

Wszelkstronnym i nader skutecznym (także na gruncie teatru) działaniem czasu zawierzył Dejmek i bacznie wsłuchując się w nakazy chwili — wygrał. Mniej widać ufnym Mrożek „dla wszelkiej pewności” dopisał długi dialog Barbara z Geniuszem i choć nie przegrał, to nie wzbogacił dramaturgicznej konstrukcji utworu, nie posunął akcji, a jedynie dodatkowo,

rzył w roli Vatzlava JAN ENGLERT. Mniej może finezyjny od pierwszego wykonawcy tej roli jest bardziej żywiołowy i właśnie „współczesniejszy”. Spontaniczne i w pełni zasłużone owacje publiczności wzbudzał BOGDAN BAER i JAN MATYJASZKIEWICZ tworzący znakomity doprawdy duet Przeciorki i Macieja. Parą tytułową — dostojnych, co okrutnych Nietoperzy byli JUSTYNA KRECZMAROWA i IGNACY MACHOWSKI. W postaci ich zbudowanego syna, rewolucjonisty o zapale neofity — Józia z pełnym powodzeniem wcielił się DAMIAN DAMECKI. Powtórny i zasłużony sukces odniósł RYSZARD DEMBINSKI grający Barbarę także w łódzkim przedstawieniu. Z mniejszym niż zwykle powodzeniem wystąpił ANDRZEJ SZCZEPKOWSKI, któremu reżyser powierzył rolę Geniusza. LAURA ŁĄCZOWNA jako Justyna zachwycała pełnią urody odsłaniając tyleż wdzięku, co i niewielkich, ale jednak rzucających się w oczy braków warsztatu aktorskiego. Ciekawej barwy i znaczenia nabrała rola Edypusa, w której wystąpił MACIEJ MACIEJEWSKI. W warszawskim przedstawieniu „Vatzlava”, być może przez jego gorętszą temperaturę emocjonalną, znacznie większą zwraca na siebie uwagę celne, dowcipne i obdarzone zarówno nastrojowo-illustracyjną, jak i dramaturgiczną funkcją opracowanie muzyczne będące dziełem ANNY PŁOSZAJ. Choreografię (wielokrotnie w czasie spektaklu nagradzaną brawami) opracował JÓZEF MATUSZEWSKI.

Filozoficzna, piękna i dowcipna bajka o człowieku szukającym sprawiedliwości i wolności, o człowieku gubiącym się w tych poszukiwaniach, o jego nadziejach, złudzeniach, zwycięstwach i klęskach, o upadkach i wzlotach, o ludzkiej słabości i sile weszła na stołeczną scenę, a kształt jaki nadali jej twórcy widownia pozwoliła zająć utworowi Mrożka znaczące miejsce w kanonie dramaturgii polskiej, na scenie polskiego teatru, na liście sztuk teatru narodowego.

Można by oczywiście podejrzewać Kazimierza Dejmkę o to, iż w sposób dla siebie najłatwiejszy i pozbawiony ryzyka, z absolutnej pewności pełnego i łatwego zwycięstwa... z ambicją...

Na koniec posłużę się jeszcze jednym fragmentem wypowiedzi reżysera: „Nie mam ambicji tworzenia „teatru Dejmkę”, bo jestem na to za stary, za doświadczony. Naprawdę, moją jedyną ambicją będzie stworzyć w miarę godziwy, w miarę interesujący dla publiczności i w miarę zawodowy teatr. Jeżeli by nam się udało zrobić(...)”.

Warszawski „Vatzlav” jest ponad zwykłą miarę interesującym i co najmniej godziwym, a już na pewno zawodowym teatrem. Udało się! Co było do przewidzenia.



Kazimierz Dejmek
Foto: W. Mątek

Moje sympatyczne koleżanki po recenzentkim piórze rozpięły się odrobinię dłużej niż przypuszczałam, oba sąsiadujące z niniejszymi uwagami teksty wydają się jednak tak interesujące i godne polecenia, że z prawdziwą przyjemnością ustępuję paniom miejsca... Dziś przypomnę jedynie, że w gęsto cytowanym przed tygodniem esejem Jerzy Stempowski przyrównał recenzenta do degustującego wino kiperą, z tą wszakoż różnicą, iż recenzje — acz czytane — nie mają większego wpływu na wybory dokonywane przez teatralną widownię, gdy osady kiperą znajdują odzwierciedlenie chociażby w cenie trunków. Znaczący byłoby to, że współczesna publiczność nie udziela już recenzentom pełnomocnictw do oceny sztuki, nie udziela ich też wydawca umiarkowanie zainteresowanym tym, czy felietony teatralne w ogóle gościć będą na łamach pisma. Jedynie i prawdziwe oparcie — konkluduje Stempowski — znaleźć może tedy recenzent w samym teatrze.

Uwagi te — opublikowane w schyłku międzywojennego dwudziestolecia — w niczym, moim skromnym zdaniem, do dziś się nie zestarzały. Gdyby któraś z gazet codziennych zechciała dokonać eksperymentu i przestała zamieszczać jakiegokolwiek teatralne recenzje, ograniczając się — powiedzmy — do zwięzłych zapowiedzi premier, czytająca publiczność najprawdopodobniej w ogóle by nie zareagowała, natomiast żywe protesty posypałyby się ze strony samych teatrów. Teatrom bowiem — pisałem o tym znacznie wcześniej na tychże łamach, ale się powtórzę — potrzebna jest dokumentacja, wiedza bowiem, jak okrutnie ulotna jest uprawiana przez nie dziedzin twórczości, potrzebne jest lustro, nawet jeżeli niekiedy lustro to odbija fałszywie, potrzebny jest wreszcie cały system komunikowania się z publicznością, informowania potencjalnych widzów o tym, co się na scenie dzieje.

Podczas premiery „Drewnianej miski” Edwarda Morrisa w Małej Sali Teatru Nowego (spektakl trudno niestety zaliczyć do udanych, choć niezawodnemu Ludwikowi Benoit w roli Lona Dennisoha bardzo udatnie partnerowała Krystyna Tolewska jako Suzie) porozmawiałem sobie w antrakcie z przedstawicielami teatru. Uważano się, że z musicalu Młynarskiego i Derfla „Wesołego powszedniego dnia” ukazała się jedna jedyna recenzja — a jedna dlatego, iż tylko „Głos Robotniczy” trafił podówczas do kiosków — i w rezultacie część widzów w ogóle nie wie, że w teatrze grana jest jakaś sztuka z piosenkami Wojciecha Młynarskiego.

Otóż to, recenzja — jeżeli przypominam sobie dobrze — nie była nazbyt entuzjastyczna, ale jednak była, niosła jakąś wiedzę o spektaklu, a wiedza ta potrzebna jest iżby widł mógł się przynajmniej zacząć zastanawiać, czy się przypadkiem na przedstawienie nie wybrać. Natomiast sądy recenzenta są już rzeczą mniej ważną, bywa iż tanie pochlebstwa kwitowane są w teatrze wzruszeniem ramion, napastliwość — acz w pierwszej chwili wywołuje zrozumięcia odwruch obronny — zostaje najczęściej szybko darowana, prawdziwie cenna i znacząca jest dopiero pochwała, która zbiega się z wcześniejszym pozytywnym osądem samego środowiska. Wówczas rosną niejako obie strony, chwalony i chwalcący, że się na tym pierwszym poznają.

Wszystko to nie zbliża nas wszak do odpowiedzi na pytanie, dlaczego sądy recenzenta tak mało ważą u publiczności, o tym porozmawiamy sobie jednak w przyszłym tygodniu.

**JERZY
PANASEWICZ**

I rzeczywiście, Kurosawa przetwarzając historyczny wątek zaczerpnięty z dzieł szesnastowiecznej Japonii w brzmieniu wcale nie anachronicznie dyskurs o życiu i śmierci, o prawdzie i iluzji, o uwikłaniu jednostki w filozofię cynu, stworzył arcydzieło. Mit związany z jakże odległymi w czasie napięciami wewnętrznymi, które poprzedziły wykrystalizowanie się cesarstwa japońskiego, przywołany w osobliwej poetyce samurajskiej opowieści zachwycił symbiozą tradycyjnych motywów tkwiących głęboko w japońskiej kulturze i nowoczesnego języka filmowego. Mistrz odniósł „wysokie” zwycięstwo. A przecież w jego dziele nie ma rzeczy nowych, odkrywczych w sensie warsztatowym. Doszukać się w nim można wątków znanych z wcześniejszych utworów, dopatrzyć znamion charakterystycznych dla jego stylizacji. Ale po kolei...

2.

Akiro Kurosawa z równą łatwością wypowiada się w filmie współczesnym, jak i historyczno-samurajskim, gatunku cokolwiek egzotycznym dla Europejczyka. „Wykorzystując szeroko tradycje kina i sztuki japońskiej, przetwarza je jednocześnie i nadaje im niepowtarzalny wyraz. Jego twórczość to proces nieustannej uniwersalizacji tradycyjnych wartości — przeciwstawianie się im, rozszkapywanie ich — a jednocześnie asymilowanie i stapianie ich z własną indywidualnością, własną wiedzą o świecie, o człowieku, o dziejach” — napisał przed laty Jacek Fuksiewicz. Dodajmy: nawet wtedy, gdy Kurosawa odwraca się ostentacyjnie od tradycji, gdy łamie jej konwencje, jak to jest w filmach współczesnych, żeby wymienić choćby znane i w Polsce obrazy: „Piłany anioł” i „Zły śpi spokojnie”, odnajdziemy typowe dla tego twórcy operowanie środkami o silnej ekspresji.

W cyklu samurajskim, który nas tutaj w związku z „Sobowtorem” interesuje najbardziej, motyw egzystencjalny przybiera kształt mitycznej przypowieści, romantycznej rycerskiej ballady. Już „Rashomon”, który był odkryciem kina japońskiego dla światowej widowni, ujął jego odrębność, a zarazem uniwersalność. Uniwersalność kryła się w podjęciu spraw o znaczeniu fundamentalnym dla ludzi żyjących pod każdą szerokością geograficzną — względności pojęć: „dobro” i „zło”, „przestępstwo” i „krzywda”, „wina” i „kara”. Odrębność — w sposobie kreacji świata wywodzącego się wprost z tradycji ludowej sztuki japońskiej — w gwałtownym obrazie namietności ludzkich, patosie uwznioślającym ludzkie przeżycia, jakości gry aktorskiej, jakby niekontrolowanej, żywiołowej, wreszcie stylizacji urzekającej pięknem plastycznego wyrazu.

W „Siedmiu samurajach”, opowieści o wynajętych zubożonych szlachetach, broniących zbiorów chłopskich przed bandytami, pierwszy raz u Kurosawy zaczyna spełniać istotną rolę historia. Sytuując akcję tej przypowieści w końcu XVI w., okresie wyjątkowo krwawych walk domowych, symptomów rozpadającego się feudalizmu, twórca przenosi akcenty merytoryczne z przeżyć jednostkowych na mechanizmy historii. Epoka historyczna nie jest już tylko tłem, scenografią zdarzeń, ale także ich animatorem. To pozwala Kurosawie nie tylko przywołać pewne procesy sprzed wieków i ocenić je z perspektywy dzisiejszej, ale także na swój własny sposób interpretować.

„Tron we krwi”, następne wielkie dzieło Kurosawy, ujawnia nowe wartości tkwiące w jego twórczości. Prezentując kto wie, czy nie najlepszą adaptację szekspirowskiego „Makbeta”, przenosi w niej scenografię walk o władzę w japońskich księstwach dzielnicowych gwałtowny i okrutny dramat ludzi poddanych okrutnym regułom gry politycznej. Szekspirowski jest tu nie tylko tragizm ludzkiego losu, ale także spojrzenie na doświadczenia człowieka uwikłanego w czyn, młotającego się między ambicją a zaleźnością od praw historii, wkręconego w tryby feudalnego porządku społecznego i krępowanego skalą wartości kodeksu rycerskiego.

„Ukryta forteca” to znów kolejny epizod walk o władzę,

usytuowany w tej samej epoce co „Siedmiu samurajów”. „Tron we krwi” i wreszcie „Sobowtór”. I znów spotykamy wartości immanentnie tkwiące w twórczości Kurosawy. Rozpad starych struktur i walka o godność w imię ustalonego porządku aż do końca. Niezwykłość ludzkich czynów, obnażenie uczuć i emocji aż do skrajności, balansowanie na krawędzi tragizmu i... śmiechomości.

3.

Nie było rzeczą przypadkową, że 71-letni twórca, jak gdyby sumujący swoją twórczość, w „Sobowtór” powraca do wielokrotnie eksploatowanego przez siebie schyłku XVI wieku. Czas ten zapisał się przecież musiał najkrwawszymi chybami wojnami domowymi w całych dziejach Japonii, stając się tematem tyleż fotogenicznym co nośnym w sensie intelektualnym. Zafascynowany nim Kurosawa w latach pięćdziesiątych napisał scenariusz o wodzu klanu Takedów — Shingenie, lecz jego realizacja zajął się ktoś inny, nie dając powodów do zadowolenia. Jak zobaczył ten temat i tego bohatera stary mistrz po dwudziestu przeszło latach?

Anegdota filmu, z pozoru krystalicznie prosta, zamyka się w wydarzeniach lat 1573—1576. Trwają walki między trzema potężnymi klanami. Na czele najsilniejszego z nich i dotąd nie pokonanego stoi wódz Shingen siejący postrach w szeregach wrogów. Dla ratowania życia przed przypadkową kulą zasłania się na polu bitwy sobowtorem. Zgodnie z jego rozkazem, jeszcze w 3 lata po śmierci wodza, ma stać na czele rodu podobny do niego człowiek. Kiedy więc dosięga go przedwczesna śmierć, w wodza wciela się pospolity złodziej, złoczyńca, który po 3 latach musi odejść...

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, iż Kurosawa zdokumentował na ekranie pewien epizod z dziejów Japonii, że zafascynował go przebieg walk rozgrywających się w tym czasie. Całą swą uwagę skupia na postaci sobowtóra. Interesuje tutaj twórcę sprawa tożsamości człowieka, który wcielając się w postać innego, zaczyna żyć jego życiem. I jak w jego najwybitniejszych filmach samurajskich bohaterem jest człowiek postawiony w sytuacji krańcowej, nie mający wyboru — niezgoda na decyzję członków elity rodu jest skazaniem na śmierć. Wyrażenie zgody także — nie można mieć żadnych wątpliwości, iż po wykonaniu zadania sobowtór zostanie odrzucony. Dochodzi więc tu do głosu motyw tak silnie eksponowany w twórczości Kurosawy — zdeterminowanie życia jednostki przez los, wpłatanie w tryby historii bez jakiegokolwiek możliwości wyboru.

Ale przecież obserwujemy rzecz zgoła niezwykłą. Po pierwszej udanej próbie wcielenia się w postać Shingena złoczyńca przestraszywszy się ogromu zadań, wycofuje się z gry. I zaraz potem sam podejmuje decyzję na tak. „Wchodzenie w skórę władcy” zaczyna traktować jako szansę odzyskania godności. Działanie, nawet jeśli pozbawia go własnego imienia, staje się jedyną możliwością istnienia. Czyż nie odnajdujemy w tej postawie cech, które znamy z wcześniejszych filmów Kurosawy? Czyż to podjęcie czynu po zmarłym władcy nie uwzniośla go, nie nadaje mu znamion wielkości? Czyż nie wpływa na niego samo, czego dowodem może stać się choćby bezinteresowna więź uczuciowa, jaka rodzi się między nim a małym chłopcem, wnućkiem zmarłego wodza? I czyż nie wskazuje na to choćby scena końcowa — śmierci sobowtóra w tej samej wodzie jeziora, w której zatopiono prochy Shingena? Ta śmierć jest zresztą naturalną konsekwencją poprzednich działań — człowiek wyniesiony tak wysoko, przeżywałcy tym wyniesieniem swoistą ekspansję, nie może już wrócić do własnej twarzy. Nie ma „bezkarne go” powrotu do siebie samego, jeśli na tak długo i w takich okolicznościach utracił się własną tożsamość.

Jest też w tym filmie Kurosawy tak częsty w jego wcześniejszych obrazach motyw cynu i „zapłaty”. Człowiek jest tyle wart, na ile jest potrzebny innym. Spełniwszy swoje zadanie staje się nikim. Pełna upokorzenia dla sobowtóra scena, w której walczył mu w ręce pieniądze wyrzuciwszy za bramę nawet bez pożegnania z

wnućkiem”, pokazuje całą nikczemność ludzkiej egzystencji. Wielkość sąsiaduje z małością, szlachetność z upodleniem, i nawet nie może być żadną poeciową fakt, iż ci, którzy odrzucili go po 3 latach od siebie, giną w bitwie, która doprowadza do upadku klanu Takedów. Moralność rządzi się swoimi nieubłaganyymi prawami, moralność, której prawa wyznaczają ci, którzy mają władzę. Oni też kształtują zgodne z ich własnymi potrzebami poczucie sprawiedliwości. Ale tym, co animuje zdarze-

nia są w głównej mierze mechanizmy historii. Walka o władzę zwycięzcom daje aureole, pokonanych strąca na samo dno.

Jest w pierwszej scenie „Sobowtóra”, jeszcze przed chwilą filmu, charakterystyczna rozmowa, jaką odbywają żyjący jeszcze wódz Shingen i członkowie rady rodu ze schwytanym na gorącym uczynku przestępcą. Shingen „przynajmniej się” do zbrodni zabójstwa „nie żałuję” i wyraża swoją ojcą. Czymże to jest w porów-

naniu do przestępstw złodziejaszka? A jednak to działanie jest uwzniośnione przez cel — setki zabitych i okaleczonych nie liczą się jako przestępstwo w sensie moralnym, jeśli służą mającemu zjednoczeniu kraju, jeśli mówią o nich zwycięzca. W ten sposób Kurosawa stawia kwestię względności ocen moralnych, a jednocześnie formułuje pytanie o moralny sens życia.

Przywołać trzeba jeszcze jedną kategorię wartości, której twórca poświęca wyjątkowo dużo uwagi. To problem kłamstwa czy też raczej iluzji ucieleśnionej w postaci sobowtóra. Jego działanie sprowadza się przecież jedynie do biernego naśladowstwa gestów postaci zmarłego wodza, on sam nie jest w stanie stworzyć w kategoriach intelektualnych niczego nowego, ani rozwiązać żadnego dylematu. Ale jednak przedłużając „sztucznie” życie wodza, zapewnia ciągłość trwania jego idei, stwarza wrażenie, iż świat nadal ma swój ustalony porządek i rządzi się określonym wcześniej systemem wartości. Przekonanie o tym, że niezwykły wódz jest nadal obecny wśród żywych jest elementem niezbędnym w kształtowaniu morale wojska, a jego imię powstrzymuje przed nieprzemyślanymi atakami wrogów.

Kurosawa stawia tutaj niezwykle ważne pytania: czyż nie ważniejsze od rzeczywistości jest wyobrażenie o niej? Taki kształt świata, w jaki chcemy wierzyć sami? Czyż nie wszystko — w większym lub mniejszym stopniu — jest iluzją?

4.

Film ten, tak wieloznaczny i czytający się na wiele sposobów jest również kontynuacją formalną dotychczasowych dokonań Kurosawy. Jego styl błądzący również wizją świata, przejawia się w sposobie narracji, która eksponuje najbardziej ważne dramaturgicznie sytuacje posługując się skrótami o dużym nasyceniu emocjonalnym, nadaje wielki wymiar zdarzeniom, wypełnia przedstawioną rzeczywistość poezją. Można by powiedzieć, że „Sobowtór” zbudowany jest na kontraście pomiędzy tym co statyczne (hierarchicznie uporzędkowane postacie podejmujące decyzje) a tym, co jest samą istotą ruchu (pełne rozmachu, gęste od nagromadzenia detali, dynamiczne sceny masowe).

Z zestawienia tych dwóch wartości bierze się poczucie niezwykłej harmonii plastycznej wizji wspomaganą wycelowanym rytmem przepływu obrazów („zawsze montuje filmy w tym samym rytmie co oddychanie” — powie Kurosawa w jednym ze swoich wywiadów). Każda scena ma swój malarski wyraz, w jej zakomponowaniu odgrywa istotną rolę układ postaci i barwa jako czynnik dramatyczny. Szczególne wrażenie robi scena końcowa bitwy, w której twórca zestawiał spowolniony rytm ruchu wewnątrz kadrowego i niezwykle szybki montaż obrazów z nagromadzonymi ciałami ludzi i koni, błota i krwi, promorców i dzid. Są to sceny — alegorie, pełne poezji umierania, wzbudzające podziw dla wyobraźni reżysera.

A przecież niemal każda z sekwencji winna doczekać się swego osobnego omówienia. Ot choćby zrealizowana we najłepszych zasadach dramaturgii kina scena przywołania posłańca z wiadomością o odcięciu dopływu wody do zamku wroga. Kamera prowadzi, ani na chwilę nie spuszczając z oka człowieka, który przedzierając się przez grupy podrywających się wojowników, przemierza fosy twierdzy. Jak! muzyczny rytm montażu towarzyszy działaniu posłańca, jak bogata jest to scena w sensie wizualnym...

Tak, jest rzeczą pewną, iż „Sobowtór” stanowi jedno z najdoskonalszych dokonań Akiro Kurosawy. Stary mistrz i tym razem znalazł formułę, która pozwalał połączyć w jedną całość odwieczne motywy egzystencjalne zaczerpnięte z tradycji narodowej kultury japońskiej z doświadczeniami nowoczesnego języka filmowego. A przede wszystkim nasyć ten świat poezją, która jest czytelna dla widzów pod każdą szerokością geograficzną...

**MAŁGORZATA
KARBOWIAK**

ODGŁOSY 9

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Kurosawy tragedia losu



Związek Radziecki, który chciał wyjść naprzeciw żądaniom konsumpcyjnym społeczeństwa, musiał rozwijać bazę paszową dla hodowli bydła i gospodarki mięsnej. Największe nadzieje związane z zagospodarowaniem nowych ziem w Kazachstanie (pod względem powierzchni republika ta blisko dziewięć razy przewyższa obszar Polski). Dla każdej ze stref glebowo-klimatycznych opracowano tam optymalne warunki siewu zbóż i najlepszą technologię uzyskiwania wysokich urodzajów. Mimo to, większość zbioru ziarna waha się tu w poszczególnych latach od 12 do 26 milionów ton. Wpływa na to klimat charakteryzujący się dużymi zmianami temperatury, ogromna niekiedy zmienność opadów i w niektórych latach suchymi wiatrami; w 1971 r. „suchowój” zniszczył 18 milionów ton zboża. Obecnie Kazachstan — główny spichlerz Związku Radzieckiego, decyduje o tym (a właściwie decydują kaprysy aury), jakie sa w tym kraju zbiory: rekordowe, zwykłe czy niskie.

Bez porównania korzystniej-

przyrost naturalny. Głód i eksplozja demograficzna są bowiem ściśle ze sobą związane; jak mówi latynoskie przysłowie — stół biedaków jest skąpy, ale łożo płocone.

Wysilki, jakie dotychczas podjął świat w obronie tych, których dotyka największy głód, są znikome. „Miliony ludzi są zagrożone w swej egzystencji, a co więcej, doświadczanie wykazuje, że głód nie jest wyłącznie następstwem, niekorzystnych warunków geograficznych, klimatycznych czy rolnych. Jest powodowany również przez samego człowieka, przez terror i ucisk systemów i ideologii, nieludzkie praktyki” — mówił Jan Paweł II na XX Konferencji FAO (Organizacji d.s. wyżywienia).

W ostatnich latach stworzono system szybkiego ostrzegania i globalnej informacji, które umożliwiają śledzenie produkcji żywności i ocenianie wielkości potrzeb. Cóż z tego, skoro mimo ogromnych wysiłków FAO, nie może doczekać się realizacji projektu zorganizowania efektywnego systemu rezerw, pozwalającego stawić czoła rozleg-

gdzie przeważająca większość zawodowo-czynnej ludności jest zatrudniona w rolnictwie musi panować głód? I czy rzeczywiście przyrost demograficzny prowadzi do ubożenia i nędzy?

Nie ma jakichkolwiek uzasadnień dla malthusjańskiego rozumowania (przyrost ludności zawsze będzie wyprzedzał przyrost żywności), tak jak i nie ma jakichkolwiek racjonalnych podstaw dla twierdzenia, że ludzie z racji położenia geograficznego muszą głodować. Przecież temu doświadczenie wielu krajów, przeczy temu sytuacja świata nawet w najbardziej kryzysowych okresach. Wiadomo, że w czasie szczytu kryzysu żywnościowego w latach 1972/1973 ziarna zbóż było w bród, problemem tylko był brak pieniędzy w krajach ubogich na zakup niezbędnej żywności. Nie ma też korelacji między przyrostem naturalnym a głodem — najlepiej dowiodły tego Chiny, które mimo miliardów ludności stały się państwem samowystarczalnym w zakresie wyżywienia. Nie ma też współzależności między fizycznymi u-

nowych, wysokowydajnych zbóż właśnie udowodniła, że korzyści z postępu czerpią jedynie ci, którzy posiadają ziemię i pieniądze, ci którzy mają dostęp do kredytów i którzy korzystają z wpływów politycznych. Wielkie fermi rujnują małe gospodarstwa, niedożywienie wsi obraca się w głód.

Na przeszkodzie w rozwoju rolnictwa w krajach tzw. Trzeciego Świata stoi wadliwa struktura własności: według statystyk ONZ, 2,5 proc. właścicieli ziemskich w krajach rozwijających się posiada 3/4 obszarów uprawnych, a w niektórych krajach jak w Bangladeszu, Indii i Indonezji ponad połowa gospodarstw posiada nie więcej niż jeden hektar gruntów.

Bezsłownie od lat omawianym problemem jest też sprawa olbrzymich strat w rolnictwie krajów Trzeciego Świata, strat spowodowanych przez niewłaściwe metody magazynowania zbóż i niszczenie ich przez różne szkodniki. Przeciętnie ulega zniszczeniu 10 proc. zbiorów, a w niektórych państwach straty te dochodzą do 40 proc.

Co znajduje się pod lodami Antarktydy

Antarktyda — nieskończony biały świat, otoczony przez lodowate wody, na których wiatry, wiejące z prędkością 100 mil na godzinę, nie są czymś niezwykłym. Aż do XIX wieku żaden człowiek nie postawił tu swojej stopy; nawet dziś rejon ten stanowi wielkie niebezpieczeństwo dla nieostryżnych i niedoświadczonych podróżników. Temperatury sięgają regularnie minus 100 stopni Fahrenheita, często nawet niższe. Olbrzymie szczyty, pojawiające się niespodziewanie w lodzie pochłaniają niejednokrotnie ludzi i maszyny. Niespodziewane silne wiatry i zadymki śnieżne powodują zacieranie się granicy między ziemią a niebem, sprawiają, że tragiczny finał staje się często udziałem nawet najbardziej doświadczonych lotników.

Miał chyba rację brytyjski badacz polarny i podróżnik, Robert Scott, który w czasie swego tragicznie zakończonych wycieczki do Bieguna Południowego, w roku 1912 nazwał Antarktydę „miejscem strasznym i budzącym lęk”. Z drugiej jednak strony przyznać trzeba, iż „biały kontynent”, półtora raza większy od Stanów Zjednoczonych, jest również światem o niezwykle i okazałej wrecz piękności. Poza wielkim płaskowyżem centralnym, gdzie grubość lodu przekracza dwie mile, na Antarktydzie spotkać można wyniosłe góry, wulkany i lodowce; te ostatnie wielkością dorównujące Rhode Island, pełną nieubłagania ku morzu z prędkością do dwóch mil w ciągu roku. Na tym białym kontynencie występują też osobliwe, beznadziejnie piękne doliny; znajdujące się w nich skały, poddane działaniom wiatrów, przybrały dziś różne surrealistyczne kształty.

Choć na Antarktydzie notuje się mniej opadów niż na Saharze (poniżej 5 cm), mimo to prawie dwie trzecie światowych zasobów wody pitnej „uwiecznionych” jest w tej polarnie czapie lodowej. O ile w śnieżnym „interiorze” z trudem utrzymać można przy życiu bakterie, o tyle już nadbrzeżne rejony obfitują w niezliczone ilości fok i pingwinów, nie mówiąc o wielorybach, które przebywają tu z całego świata, by przeczłoniwać w lodowatych i bogatych w białko wodach antarktycznych.

Ten odstraszaający i wyglądający groźnie kontynent stał się jednak ostatnimi czasy czymś więcej, aniżeli tylko terenem badań dla naukowców poruszających się przy użyciu mechanicznych pojazdów, czy nawet jeszcze drewnianych san. Dziś oczy wszystkich zwrócone są przede wszystkim na bogactwa mineralne, o których eksploatacji mówiono się nie tak dawno, że jest zbyt droga i skomplikowana. Geolodzy potwierdzili ostatecznie, że na Antarktydzie występują olbrzymie ilości rudy żelaza oraz bogate pokłady węgla. To tu znajduje się prawdopodobnie największe na świecie złożo węglowe, długości 1500 mil, ciągnące się wzdłuż Gór Transantarktycznych. Naukowcy posiadają konkretne dowody na występowanie również wielu innych skarbów. Ponad 200 milionów lat temu, kiedy to następowało rozdzielanie się poszczególnych kontynentów, wówczas Antarktyda połączona była z Ameryką Południową, Afryką, Indiami i Australią. Stanowiła z nimi jeden wielki obszar nazywany przez uczonych „Gangaea”. Biorąc pod uwagę podobieństwo warstw geologicznych, Antarktyda, podobnie jak południowo-wschodnia Australia oraz „kontynent” Ameryki Południowej, może posiadać złoża uranu.

Podczas 6-miesięcznego lata polarnego, kiedy to na Biegunie Południowym słońce świeci nieprzerwanie 24 godziny na dobę, geolodzy z USA, Australii i Nowej Zelandii badali skaliste góry, położone w Ziemi Wiktorii. Odkryli oni występowanie tak cennych metali, jak tantal i lit, stosowanych do produkcji stopów o wysokim stopniu wytrzymałości. W Masywie Dufeka, w Górach Pensacola, które w swej budowie geologicznej podobne są do gór na południu RPA, stwierdzono ślady rud platyny i chromu — metali posiadających olbrzymie znaczenie strategiczne. Największą niespodzianką może być jednak ropa naftowa. Na przełomie lat 1973/1974, podczas wierceń, przeprowadzonych ze statku poszukiwawczego „Glomar Challenger”, w dnie Morza Rossa wykryto obecność metanu, etanu i etylenu, a więc związków, które wskazywałyby na występowanie ropy. Jeden z szelfów potężnego koncernu naftowego USA, Gulf Oil Corporation, ocenia zasoby ropy naftowej, zalegającej pod dnem morza Rossa i Weddella na 50 miliardów baryłek; porównać je można z zasobami tego surowca na Alasce. Obecnie wydobycie ropy naftowej byłoby z pewnością zbyt drogie, jednakże geolodzy przekonani są iż już wkrótce wierceń na Antarktydzie nie będą stanowiły żadnego technologicznego problemu; staną się codzienną praktyką.

Ekolodzy zastanawiają się dziś nad skutkami, jakie dla „kruchej” bądź co bądź środowiska naturalnego Antarktydy, wywołać mogą eksploatacja ropy i związane z nią nieuchronnie katastrofy ekologiczne. Kto jest właścicielem tych bogactw i jak należy uregulować wyścig do ich wydobycia? Na początku tego wieku roszczenia terytorialne do poszczególnych „kawałków antarktycznego tortu” zgłaszało siedem państw, pretensje trzech z nich, to jest Argentyny, Chile i Wielkiej Brytanii, pokrywały się „terytorialnie” ze sobą. Ani Stany Zjednoczone, ani też Związek Radziecki nie przyznały sobie żadnego obszaru na Antarktydzie, nie uznaly również roszczeń innych krajów. Na razie sytuacja wygląda następująco: wszelkie „sprzeczki” terytorialne zostały prawnie zamrożone na mocy porozumienia międzynarodowego z 1961 r., zwanego Układem w sprawie Antarktyki. Zgodnie z jego postanowieniami, sygnatariusze układu — 14 państw, w tym USA i ZSRR — zobowiązały się do przestrzegania trzech kluczowych warunków: kontynent będzie rejonem wolnym od broni nuklearnej; nie będą prowadzone na jego obszarze żadne działania wojenne; państwa — sygnatariusze układu — wyznaczą między sobą informacje naukowe. Układ stwierdza też, że żadne państwo nie będzie w sposób jednostronny dochodzić swoich roszczeń.

Jednakże układ, który obowiązywać ma do 1991 roku, już dziś zdaje się być zagrożony. Słysz się nawet głosy o potrzebie jego rewizji. W miarę jak geolodzy dostarczają nowych wciąż dowodów na występowanie na Antarktydzie bogactw mineralnych, coraz głośniejsze i natęższe w niektórych państwach podnoszą swoje pretensje do wszelkich zasobów mineralnych i biologicznych, odkrywanych na „ich” terytorium. Chodzi tu przy tym zarówno o ląd stały, jak i wody przybrzeżne. Te ostatnie na przykład roją się wrecz od niezliczonych ilości kryla, niewielkiego, ale za to bogatego w białko skorupaka, który nie tylko stanowi główny pokarm zimujących tu wielorybów, lecz również jest przedmiotem intensywnych połowów, dokonywanych przez statki rybackie Związku Radzieckiego, Japonii, RFN i Polski.

FREDERIC GOLDEN „TIME”

Ciąg dalszy ze str. 1

Na światowym stole

sze warunki dla uprawy zbóż mają Stany Zjednoczone. Na obszarze spichlerza USA, tj. stanów Kansas, Dakota Północna i Iowa praktycznie nie notuje się większych wahań pogody. Są tu wyjątkowo dobre gleby i sprzyjający klimat: w promieniu 800 mil od Kansas City, gdzie też znajdują się największe w świecie giełdy i firmy zbożowe, zbiera się 80 proc. pszenicy w USA, 90 proc. kukurydzy, 93 proc. sorgo i 89 proc. soi. Bez przesyady można stwierdzić, że te trzy stany wyrównują niedobory zbóż na świecie.

Wielki postęp w amerykańskim rolnictwie sprawia, że kraj ten dostarcza około 60 proc. wszystkich zbóż znajdujących się w obrocie międzynarodowym (wraz z Kanadą 75—80 proc.) i że uzyskało z tego tytułu co roku 40—50 miliardów dolarów wpływów. Amerykanie, którzy są niebawem dumni z nowoczesności i wydajności swego rolnictwa, obawiają się jednak, że tak intensywny sposób eksploatacji gleb coraz bardziej będzie oddziaływał na nie destrukcyjnie i że być może już w niedalekiej przyszłości trzeba będzie ograniczyć pogoń za wysokimi zbiorami. Z drugiej strony ekonomisci przestrzegają, że rosnące ceny nawozów i energii mogą wpływać na wzrost cen zbóż, a to z kolei stopniowo ograniczy możliwości potencjalnych nabywców — w USA powstana nadwyżki zbożowe, za które rząd federalny będzie musiał płacić farmerom i korporacjom.

... I WIELCY IMPORTERZY

Prawie sto krajów spogląda dziś na Amerykę Północną z nadzieją na uzyskanie stamtąd dostaw żywności. W liczbie tej znajduje się przede wszystkim 38 państw, które zmagają się z katastroficznymi niedoborami żywności. Są to kraje Sahelu — strefy ciągnącej się od Senegalu do Sudanu, niektóre kraje Azji Południowo-Wschodniej oraz szereg republik na subkontynencie latynoamerykańskim. Następnie wielka grupa importerów stanowią te państwa, w których w ostatnim dziesięcioleciu, względnie wcześniej, zarysował się deficyt niektórych zbóż. I wreszcie trzecia grupa — państwa socjalistyczne, zakupujące zboża głównie na pasze dla rozwoju gospodarki mięsnej.

Najbardziej tragiczny w swej wymowie jest fakt, że kraje położone w strefie chronicznego niedoboru żywności z zewnątrz nie mają pieniędzy ani na dzwignięcie swego rolnictwa ani na zakup żywności. W wspomnianej strefie żyje około 1,5 miliarda ludności, w tym — jak zgodnie badają różne organizacje międzynarodowe — około półmiliarda rzesza mieszkańców cierpi na głód dla życia niedożywienie. Pogłębia jeszcze sytuację wysoki

mu kryzysowi żywnościowemu. Na przeszkodzie stoi egotizm producentów zbóż, egotizm agrobiznesu. Eksperti stwierdzają, że gdyby dziś wskutek dużych wahań klimatycznych, tak jak to miało miejsce w okresie 1972/1973, wystąpił wielki niedobór żywności, rezultaty tego kryzysu doprowadziłyby nie tylko do głodu, ale i do buntów społecznych w kilku rejonach świata.

IMPAS

Świat znajduje się w impasie. W niepokojącym bowiem tempie rozwierają się nożyce między stanem zamożności społeczeństw. Na domiar złego — 90 proc. przyrostu ludności przypadnie w najbliższym dziesięcioleciu na najuboższe rejony — Azję, Afrykę i Amerykę Łacińską. Ten stan rzeczy prowadzi do coraz większej zależności żywnościowej krajów rozwijających się od kapitalistycznych państw wysokouprzemysłowych, do zależności między polityką i żywnością. (Import zbóż krajów rozwijających się wynosił: w latach sześćdziesiątych — 20 milionów ton, w połowie lat siedemdziesiątych — 50 mln, w roku 1981 — 85 mln t., a w latach dziewięćdziesiątych, jak się szacuje, osiągnie ponad 150 milionów ton).

Jeszcze w poprzedniej dekadzie państwa zachodnie wyrażały pogląd, że rozwój gospodarki krajów ubogich całkowicie leży w interesie świata uprzemysłowionego — otworzy bowiem rynki dla produkcji zachodniej i zachęci do inwestowania kapitał zachodni. Cel zakładał, że obie strony podporządkują swoje korzyści doraźne interesom długofalowym, że wzrost gospodarczy świata będzie traktowany jako wspólna sprawa. W ostatnich jednak latach pod wpływem przekonania, że zapasy energii, surowców i żywności są ograniczone — czy to pod względem czysto liczbowym, czy ich dostępności uzależnionej od czynników politycznych i gospodarczych — kraje bogate spoglądają na kraje biedne z obawą, że ich rozwój pociągnie za sobą eksploatację zasobów potrzebnych państwom wysokouprzemysłowym. Stąd też międzynarodowa pomoc ostatnio wyraźnie schodzi na drugi plan. „Obecny system świata przypomina dżunglę, w której silniejsi coraz pełniej wykorzystują swą przewagę nad słabszymi” — powiedział dyrektor generalny FAO Eduardo Saucma.

WYJŚCIE

Niedobór żywności w krajach rozwijających się jest jednak paradoksem. Czyż właśnie tam

warunkowaniami, a kwestią wyżywienia — zdumiewają w ostatnim czasie doświadczenia Indii, Pakistanu i Tajwanu. Brak zatem logiki w postulatowaniu, by kwestie zapewnienia światu żywności rozwiązywać li tylko poprzez bardziej sprawiedliwą redystrybucję tego co wytwarza świat wysokouprzemysłowy.

„Rządy w wielu krajach są bliżej tych, którzy potrzebują, samochodu niż tych, którzy nie mają co jeść” — powiedział na jednej z międzynarodowych konferencji prezydent Tanzanii, Nyerere. Ta prawda obala mit — mit, według którego za stan niedożywienia w wielu strefach ponoszą winę tylko bogaci. Nie wystarczy bowiem zachodnie technologie i inwestycje, nie wystarczy nawet zachodnie kapitały, jeśli miejscowe elity władzy nie dadzą pierwszeństwa planom rozwojowym w rolnictwie i jeśli uzyskiwane wpływy państw nie będą wzbogacać tylko bogatych. „Zielona rewolucja” czyli wprowadzenie

Refleksja nad dzisiejszą sytuacją żywnościową świata nie jest możliwa bez zrozumienia szeregu aspektów tego problemu: z jednej strony polityki państw kapitalistycznych, które coraz częściej wiążą dostawy zbóż z uzależnieniami politycznymi, a z drugiej strony całego spłotu zagadnień związanych z systemami społecznymi, które panują w krajach ubogich. Przyczyną głodu i niedożywienia nie jest natura. Nasza planeta może wyżywić nie 4 a 5,6 i wiele więcej miliardów ludności. Przyczyny, nędzy, w tym najokropniejszego, nieszczęścia — braku pożywienia, związane są tylko z wyborem odpowiednich dróg rozwoju, ze sprawiedliwością społeczną, z likwidacją tego wszystkiego co stoi na przeszkodzie rzeczywistemu postępowi ludzkości.

HENRYK SROCYŃSKI



Jechałem z Temy do Akry samochodem przedstawiciela Polskich Linii Oceanicznych. Droga biegła wzdłuż wybrzeża, mineliśmy jakąś dużą wioskę, a potem zauważyłem pustą strzelnicę na plaży — stertę piachu i wbite w nią tarcze z ogromnymi numerami: JEDEN, DWA, TRZY, CZTERY...

To właśnie tutaj — z rozkazu Jerry'ego Rawlingsa, rozstrzelano publicznie dwóch byłych prezydentów i sześciu wiernych reżimowi generałów. Dotyczy to najnowszej historii kraju.

1

Jeszcze niedawno, wiosną siedemdziesiątego dziewiątego roku, Jerry Rawlings był postacią nieznaną. Syn Ghanajki i Szkota, trzydziesto-dwuletni kapitan lotnictwa (wykształcony skądinąd w najlepszych brytyjskich uczelniach) wszczął wówczas batalię przeciwko sferom rządowym. Była to zwykła paplanina. Ale miał o czym paplać. No więc paplał gdzie się dało: o przekupnym sądownictwie, o skorumpowanej policji, o złodziejskich ministrach i dyrektorach, o generalicji wojskowej, która błyskawicznie dorabiała się milionowych fortun drogą rozmaitych spekulacji, o rozpasanych notabłach stawiających sobie po kilkanaście willi i pałaców (w Ghanie panował wtedy straszliwy pęd do budownictwa, podczas gdy biedota syiała i umierała na ulicy)... Paplał o synach notabli, rozbijających się po mieście luksusowymi samochodami i o butnych, obwieszonych złotem córkach, które wyjeżdżały na zakupy za granicę. Paplał o nigdy nie ujawnionych morderstwach i ludziach, którzy znikał z powierzchni ziemi bez śladu. Paplał wreszcie o samych prezydentach pochodzących bez wyjątku z arystokracji wojskowej i zmieniających się co parę lat na zasadzie: „Dobra, już się nachapałeś, teraz ja umoczę dziób!”

W ten sposób podobno ostatni prezydent Akuffo zmienił przedostatniego prezydenta Achemponga. Oczywiście, potrzebny był pretekst. I znalazł się pretekst. Zona Ignatio Achemponga poleciała na weekend do Londynu i wydała tam jednorazowo na swoje potrzeby dwa i pół miliona funtów. Sprawę dałoby się zresztą zatuzować, ale sensacyjny zakup odnotowały brytyjskie gazety, parę numerów przemycono do kraju, lud zaczął szemrać, generał Akuffo zaczął działać. Wszedł do pałacu prezydenckiego z pistoletem w garści i powiedział: „Wojsko na dziedzińcu, nie jesteś już prezydentem. Ubieraj się, helikopter czeka!” Achempong przeraził się. W Ghanie znana była technika usuwania oponentów za pomocą samolotu, który wywoził skazanych z miasta i strącał ich wprost z pokładu w morze; po kilku dniach fale wynosiły zwłoki na brzeg. Akuffo miał wtedy pocieszyć swego byłego przyjaciela i władcę: „Nie bój się, odstawię cię do willi. Tylko przestań mieszać i przystąp już trochę żonę”.

O wszystkim tym paplał kapitan Rawlings tak, że wkrótce został aresztowany i postawiony przed sądem za obrazę majestatu. Proces miał przebieg szybki i jednoznaczny. Jednakże zarówno władze, jak i przekupny sąd oraz przekupna prasa popełniły w wypadku młodego kapitana nieobliczalny w skutkach błąd. Otóż, nadsławszy sprawę niebawem rozgłos. Wymieniono nieopatrznie wszystkie postawione Rawlingsowi zarzuty. Nazwano go pozbawionym skrupułów kłamcą, który rzuca kalumnie na niewinnych, oddanych narodowi dygnitarzy, nazywając ich bandą cynicznych łotrów i złodziei. Wedle obojętnych życzeń, miało to skompromitować Rawlingsa i przetrzeć wszystkich tych, którzy mają zbyt długie języki. Miliony Ghańczyków myślały jednak inaczej. Co za odwaga! Wspaniały facet. No i mówi prawdę. Tak oto nieznanym nikomu trzydziestolatek stał się pod koniec procesu powszechnie znanym bohaterem narodowym. Nikt oczywiście nie miał wątpliwości, jaki będzie wyrok.

2

Sąd zamierzał ogłosić wyrok czwartego czerwca. W przeddzień, trzeciego czerwca, tydzień dziewięć siedemdziesiątego dziewiątego roku, przyniesiono Rawlingsowi do celi złowie-szczy podarek Biblii. A więc śmierć i to zapewne już jutro. Ghańska sprawiedliwość nie lubiła zwłoczyć — jak jest papier, można walić w łeb.

Plotka o biblij obiegła całą stolicę. Dotarła także do koszar wywołując ogromne wzburzenie. Niewielka grupa niższych oficerów, kolegów Rawlingsa, zdecydowała późnym wieczorem:

— Nie damy Jerry'emu zginąć! Od tej pory wypadki potoczyły się błyskawicznie. Czwartego czerwca, o godzinie pierwszej w nocy, pod bramę więzienia w centralnej Akrze zalechał wojskowy samochód. Przyjaciele Rawlingsa sterrorzyli strażników, wdarli się do celi i w chwili później „oswobodzony” kapitan podził już z piskiem opon na lotnisko. Tam, będąc doświadczonym pilotem, wskoczył w przygotowany zawieszony samolot i wzbił się nad miasto. Nie po to jednak, aby uciekać. Na pokładzie samolotu była radiostacja. O godzinie trzeciej nad ranem setki tysięcy Ghańczyków usłyszały w odbiornikach jego głos. Nawoływał do powstania. Wszelkich — żołnierzy i społeczeństwo. Mówił, trzymać w jednej ręce ster, a w drugiej mikrofon. Pod pachą miał również kolbę maszynowego karabinu. Krążył nisko nad ziemią i kiedy policja zaczęła do niego walić, odstrzeliwał się gęsto. Jeden z wystrzelonych przez niego pocisków trafił w zniszczony ulewą dach, pod którym mieszkał Ksawery Kocot, wspomniany już przedstawiciel P.O. Przebił sufit i utknął w ścianie. Oglądał ten sufit i te ściany. Siedząc w wygodnym fotelu ze szklanką mrożonej wody w ręce; przewlądał się również pociskowi, splaszczonej kulceczce metalu, którą Kocot trzyma na pamiątkę w małym pudelku.

Powrót Jerry Rawlingsa

KORESPONDENCJA Z GHANY

ANDRZEJ MAKOWIECKI

GHANA — państwo w Zachodniej Afryce, nad Zatoką Gwinejską. Obszar: 238,5 tysięcy km kwadratowych. Ludność: 10,5 miliona. Stolica Akra. Język urzędowy: angielski. Jednostka monetarna: cedi — 100 pesewa. Ludność Ghany wyznaje w 43 proc. chrześcijaństwo, w 38 proc. — animizm, w 12 proc. — islam.

Od XV wieku terytorium dzisiejszej Ghany znalazło się w kregu zainteresowań kupców portugalskich. W XVI i XVII wieku napływali tu również kupcy francuscy, holendercy, angielscy. Handlowano głównie niewolnikami i złotem. Stąd też obszar ten uzyskał nazwę Złotego Wybrzeża. W XVI wieku wydobywano tu około 35 proc. złota, jakie pojawiało się na ówczesnych rynkach.

W XVII wieku powstało afrykańskie państwo Aszanti ze stolicą w Kumasi. Istniało ono do 1896 roku. Stopniowo wśród europejskich kupców handlujących z Aszanti przewagę zdobywali kupcy angielscy. Ich przewaga ugruntowała się w połowie XIX stulecia. W 1843 roku ustanowiono urząd gubernatora angielskiego, który podlegał władzom angielskim w Sierra Leone. W 1874 roku wybuchła wojna z Aszanti. W 1896 roku Anglicy zdobyli Kumasi i nastąpił koniec Aszanti. Od 1901 roku Ghana jest oficjalną kolonią angielską.

Od 1897 roku zaczyna kształtować się ruch wyzwoleniczy. Powstało wówczas Stowarzyszenie Obrony Praw Tubylców. W 1947 roku Zjednoczony Konwent Złotego Wybrzeża, a w 1949 roku — Ludowa Partia Konwentu z Kwame Nkrumahem. W 1951 roku Ghana otrzymała autonomię. W 1952 roku powstał rząd autonomiczny z K. Nkrumahem na czele. W 1960 roku Ghana otrzymała niepodległość. Weszła w skład ONZ.

3

Powstanie wybuchło. Walki toczyły się do godziny drugiej po południu. Rawlings, już z ziemi, podjął atak na rozgłośnię radiową, która była jeszcze w rękach rządowych. W pewnym momencie zabrzmiął w odbiornikach władcy bas generała Willingtona, obwieszczający wszem i wobec, że powstanie zostało stłumione. Generał nakazywał żołnierzom obu stron zaprzestanie walki i niezwłoczny powrót do koszar. Rawlings miał się natychmiast poddać, za co generał przyrzekał mu ponowny, sprawiedliwy proces. Na zakończenie swego wystąpienia Willington zapowiedział, iż wygłoszony przez niego komunikat powtarzany będzie rytmicznie aż do wieczora, dokładnie co trzydzieści minut.

I rzeczywiście. Zapisany na taśmie tekst rozległ się w pół godziny później ponownie. Ale był to głos zła grobu. Sam Willington już nie żył, padł z bronią w ręku niedaleko radiostacji. Nawiasem mówiąc, kiedy chowano go po kilku dniach, z wielkimi honorami, Rawlings był jednym z tych, którzy nieśli trumnę na własnych ramionach. Podkreślano męstwo i

honor poległego generała; był wrogiem, ale nie poddał się, nie zdradził. Tak to już jest. Najłatwiej podziwiać tych, którzy odeszli na zawsze. Z żywymi było inaczej. Po błyskawicznym zwycięstwie powstańców, ostatni prezydent, Akuffo, uciekł na prowincję. Ukrywał się krótki czas w domu jakiegoś misjonarza. Mógł zapewne robić to dłużej, ale nerwy nie wytrzymały. Zgolił wasy, które miały go kamuflować i dobrowolnie oddał się w ręce nowych władz. Prosił o litość, podobnie jednak, jak poprzedni prezydent, Achempong i sześciu najwyższych rangą generałów, został skazany na śmierć przez rozstrzelanie.

Ksawery Kocot widział, jak prowadzą go na plac kaźni. Szedł pieszko, w asyście obstawy wojskowej. Ktoś powiedział:

— Przed śmiercią krótki spacer nie powinien mu zaszkodzić.

Wokół ustronnej strzelnicy nad morzem zgromadziły się nieprzebrane tłumy.

Publiczne egzekucje wywoływały protesty w wielu krajach świata. Rawlings nie był mściwy, należał raczej do grona umiarkowanych, ale jego otoczenie ciągle domagało się nowych ofiar. Trzeba wykończyć jak najwięcej starych rządów i wojskowych; tylko wtedy utrzymamy zdobycze powstania. No więc strzały padały dalej. Wyroki ferowane były naprzęd, bez dostatecznych dowodów w świetle prawa. Nikt

nie wie dokładnie, ilu ludzi zeszło w ten sposób z widowni, w każdym razie — tysiące. Po protestach opinii światowej, listy ofiar nie ogłaszano otwarcie, niesłuchanie jednak wydłużała się rubryka zgonów w dwóch najważniejszych dziennikach akrańskich: „Daily Graphic” i „Ghanaian Times”.

Trzydziestodwuletni Jerry Rawlings, uwielbiany tak, jak swego czasu uwielbiany był w Ghanie tylko Kwame Nkrumah, został, przy powszechnej aprobacie narodu, kolejnym prezydentem państwa.

4

Władzę sprawował tylko przez trzy miesiące. Był młody; nie miał doświadczenia w rządzeniu; wiedział, że szybko może stracić swoją ogromną popularność. Niezależnie od tego, jaki rząd nie przejąłby władzy, należało liczyć się z poważnymi kłopotami ekonomicznymi. Kraj za byłych rządów i prezydentur został straszliwie splądrowany, zaniedbany socjalnie, ogołocony z dewiz i wszelkich dóbr materialnych. Od czasów Nkrumaha, który był wielkim budowniczym Ghany, nie pozostał ani jeden gmach użyteczności publicznej. Niszczali domy i ulice, kruszzyli się jezdnie; jeśli ktoś coś budował (dla siebie, rzecz jasna), to jedynie wąski krąg ludzi uprzywilejowanych: generalicja, pracownicy ministerstw, spekulanci.

Wobec ogromu trudności Rawlings zdecydował się ustąpić. Rozpisano nowe wybory do parlamentu i nowe wybory prezydenckie. Zwyciężyła People's National Party (nawiązująca w pewnym sensie do idei Nkrumaha), a jej lider, Dr Hilla Limann, został pierwszym od wielu, wielu lat cywilnym prezydentem państwa.

Po roku rządów, w drugiej połowie 1980 roku, sytuacja niewielkiego afrykańskiego kraju przedstawiała się krytycznie. Szalała spekulacja. Ale szalały także bojówki antyspekulacyjne. Za kadencji Rawlingsa podpalano bezwzględnie każdą willę i dom, w którym znalezione większy skład żywności. Rawlings dowiedział się o tym z gazet i położył temu kres. Ktoś mu doradził:

— Po co podpalać budynki? Przecież to jest samobójstwo. Czyż nie lepiej uwieźć albo wywłaszczać spekulantów, zaś ich mienie przekazać społeczeństwu — na żłobki, przedszkola, mieszkania dla bezdomnych?

Zabrakło żywności. Pracownicy ambasad i zamożniejsi Ghańczycy zaopatrywali się w pieczywo na terenie ościennego państwa Togo. Zamiast mięsa jedzono ślimaki, hodowane przezornie w wielu ogrodach. W cenie była każda paczka waty, każdy skrawek materiału, każdy litr benzyny. Brakło prądu, nawalał transport, w Temie na redzie stało tygodniami wiele zagranicznych statków, czekających na ładunek kawy i kakao. Cuda zaczęły się dziać z miejscową monetą — cedidem. Oficjalny, bankowy kurs wynosił przed rewolucją 1,20 cedisza za dolar, a po rewolucji — 1,75. Na czarnym rynku natomiast, z chwilą dojścia do władzy cywilnego rządu Limanna (za rządów wojskowych handel pieniędźmi karany był tak okrutnie, iż ustął) dolar zdrożał z zawrotną szybkością — najpierw 8 cedisów, później, kolejno: 10, 15, 20, 25, 30, 35, 40, osiągając w końcu zawrotną cenę 45 cedisów, a więc szesnastokrotną wartość kursu legalnego. O alkoholu nie mogło być nawet mowy. W tropikalnym klimacie dawała się we znaki kompletna nieobecność napojów chłodzących. Niedożywiona społeczność częściej niż zwykle chorowała i umierała. Prezydent Limann atakowany był nieustannie w parlamencie przez opozycję i związki zawodowe.

5

Limann utrzymał prezydenturę do końca 1981 roku. Warto zresztą wtrącić, że swoje cywilne rządy zawdzięczał wojskowemu, tym samym, choć niższemu rangą, który nieprzerwanie władał Ghaną od czasów Nkrumaha (jedynym wyjątkiem była tu krótka kadencja cywilnego prezydenta „Busi”).

Z chwilą objęcia rządów doktor Limann w sposób delikatny, ale konsekwentny starał się rozproszyć zgrupowanych wokół Rawlingsa oficerów — jego współpracowników i doradców, i w pewnej mierze zrealizował ten plan. Proponował im po prostu intratne synekury za granicą, rozmaite „studia”, „stypendia”, „urlopy” i „praktyki” w Europie. Sam Rawlings nie chwycił jednak przynęty. Jako była głowa państwa przyjął tylko skromną prezydencką emeryturę; usunął się pozornie ze sceny, choć w dalszym ciągu cieszył się sympatią ludu, a przez ekipę rządzącą traktowany był jako żywe zagrożenie.

Rawlings patrzył. Taka była sytuacja, kiedy opuszczałem Ghanę.

W trzy tygodnie po moim powrocie do Polski, dokładnie ostatniego dnia starego roku, agencje światowe doniosły, że kapitan Jerry Rawlings ponownie zdecydował się przejąć władzę.

Walki nie trwały długo. Dowodzona przez Rawlingsa Tymczasowa Narodowa Rada Obrony zamknęła granicę, wyłączała z ruchu międzynarodowego lotnisko w Akrze, przerwała wszelką komunikację telefoniczną oraz wprowadziła godzinę policyjną. Dotychczasowy prezydent, Hilla Limann, został aresztowany. Wobec podejrzenia o malkwersację, zamrożono ponad tysiąc kont bankowych czołowych prominentów byłego okresu władzy. Ludność została wezwana do zdeponowania wszelkiej amunicji i broni na posterunkach policyjnych. Według Agencji Associated Press, kraj opuścili wszyscy cudzoziemcy, w tym około półtora tysiąca Amerykanów.

W przemówieniu radiowym Jerry Rawlings oświadczył, że główną przyczyną zamachu była katastrofalna sytuacja ekonomiczna kraju.



Ghana. Czytelnia dla dzieci w nowej Bibliotece Centralnej w Akrze, stolicy kraju.

Monte Carlo - godzina dziesiąta

BRUNO LEWI

Nie bardzo przypominam sobie, kiedy dokładnie narodził się ten pomysł. Było to na pewno w czasie mego afrykańskiego przygodu, ale tkwiło to we mnie od dawna, jak rak usłpiony w organizmie, którego podrażnia i budzi do działania jakiś duży, najcięższy przykre przeżycie.

Jako pewne zewnętrzne oznaki i ostrzeżenia o dręczącej umysł idee fixe można by uznać ogólny pociąg do hazardu, a ze szczegółów chociażby ulubione powiedzenie Jaremy Stępińskiego (badał go wtedy w szczytowej formie) w którejś z operetek: "Trante quarante Monte Carlo" — powtarzane ciągle, gdy wyjeżdżał ze swym panem, który w ten sposób dawał upust swym namiętnościom. Ja również często, urzeczony jego wspaniałą vis comica, używałem tej frazy w sytuacjach, gdy trzeba było okazać swą postawę bon vivanta. Mimo że w tym czasie niebył dokładnie wiedziałem, gdzie to mityczne Monte Carlo leży.

Pisząc to, zaczynam coraz bardziej selektywnie dokopywać się w mojej pamięci do tych czasów. Tak, sprawe wywołał, dał pierwszy bodziec, mój przyjaciel ze studiów Jan J. Odwiedził nas wtedy niespodziewanie, przylatując z niedalekiej Libii, gdzie również pracował jako specjalista przy budowie tego kraju. Jego architektoniczne wizje miały tam wyjątkowo szanse na szybka realizację, gdyż Kadafi nie żałował, a wręcz zasypywał budownictwo petrodolarami.

Janek, wysuszony alkoholowo w Libii, a nigdy za kolnier nie wylewał, w czasie tygodniowej wizyty praktycznie nie trzeźwiał, gdyż w naszym kraju, również muzułmańskim, prohibicja była zdecydowanie łagodniejsza. Niektóre alkohole można było dostać, jedynie kilkakrotnie drożej niż w Europie. Ale kto się wtedy liczył z kosztami!

W czasie tych biesiad, jak to między mężczyznami, każdy przechwalał się swymi sukcesami w różnych dziedzinach.

O damskiej przemiłości, ale między innymi Jasu — tak go w gronie przyjaciół nazywaliśmy — opowiadał o swym pobycie w Monte Carlo, o wizycie w kasynie, o tym, jak początkowo wygrywał, a potem na skutek interwencji żony przegrał wszystko. Narzucił również ruletkę i opisał zasady gry, a ja te kartki zachowałem. Co prawda, jego system gry okazał się później zupełnie błędny, co wyszło przy najbliższej okazji, ale ziarno zostało zasiane.

Pracując jako doradca naczelnego architekta Algieru, obciążenie robotą mieliśmy bardzo nierównomiernie. Czasem trzeba było siedzieć, jak się to mówi, dzień i noc, żeby wypchnąć projekt, a czasami tygodniami nie było konkretnej roboty. Wtedy dyskutowało się, jakże dogłębnie, wszystkie problemy. Nie było chyba dziedziny, której byśmy nie poruszyli.

Ponieważ wszyscy byliśmy dość zapalonymi brydżystami, a nawet poker nie był nam obcy (kto z byłych studentów przez to nie przeszedł), w którymś momencie przypomniałem sobie o kartce Jasu z ruletą. Sprawa stała na wokandy. Henryk K. skłócił tu dość powszechnie znaną zasadę m. in. z gry w oczko o podwajaniu za każdym razem przegranym stawki — wtedy nie można nigdy przegrać, a wygrywa się zawsze stawkę początkową. Zasada ta pasowała jak ulał do ruletki. Tak się przynajmniej nam wtedy wydawało.

Ustalliliśmy więc, że grając na przykład na numery parzyste — nieparzyste lub kolor czarny — czerwony przy minimalnej stawce dziesięć franków i mając w zapasie około tysiąca franków, powinno się zawsze wygrywać. Zakładaliśmy, że nie powinien powtórzyć się więcej niż siedem razy ten sam kolor lub parzyste czy nieparzyste liczby. Problem przyszykowany i odłożony ad acta z braku aktualnych możliwości wyjazdu. Ale w moim nieszczęsnym umyśle został zakodowany.

Czy zadzielił ten kod gdzieś za rok czy dwa, gdy planowaliśmy z rodziną krótki urlop turystyczny wiosną, bodajże 75 roku — trudno odpowiedzieć to dzisiaj. W każdym razie zaplanowaliśmy ten problem z Algieru do Marsylii, potem przez Lazurów Wybrzeże do Monte Carlo, powrócił przez Prowansję, Carcassonne, Pireneje przez Andorę i Hiszpanię do Alicante, skąd kursował prom z powrotem do Oranu. I trasa ta została z aplauzem przyjęta. Ktoż by i o co by mógł mieć przeciwko takiej trasie i to na początku maja? I — mając w dodatku wystarczające środki, aby po drodze nie handlować, nie oszczędzać na jedzeniu, parkingu, ubikacjach. Nie mówię tu, oczywiście, o rozrzuconości, która w każdym wypadku jest bez sensu.

Pod Monaco znaleźliśmy się już późnym popołudniem, a trzeba było zobaczyć chociaż najwspanialsze miejsca znane z literatury: pałac księcia z barwnymi wewnętrznymi, Muzeum Oceanograficzne, stare miasto. A jeżdżąc w samochodach, będąc po raz pierwszy i to w czasie deszczu — naprawdę nie jest łatwo kilkakrotnie wyrzucić nas poza granice księstwa. Przypomniało mi to trochę układ dróg w Algierze — takie samo położenie na zbieżności i serpentynie ulic — ale tam uczyłem się poruszać prawie rok. W końcu wyładowaliśmy jednakże i przed kasynem.

Wolnoitko nasza limuzyna zrobiłem chyba że trzy czy cztery okrążenia dookoła centralnego klombu, ale ani mowy nie było o miejscu na zaparkowanie. Wreszcie przystaliśmy się gdzieś z boku wykorzystując walory gabarytowe naszego 128 p, który zresztą swym paradoksalnym zestawieniem arabskiej rejestracji i konstrukcyjnej skromności, jeśli nie prymitywu, wzbudzał nie tylko w Monte Carlo niemalą sensację. Późna pora, zmęczenie, głódna rodzina, w tym nieletnie dziecko, nie ustalony nocleg, nie pozwoliły mi na targowanie więcej niż 45 minut dla siebie na Casino. Jeszcze tylko zmieniłem wycieczkę w wiatrak na marynarkę — czyżbym, biorąc ją, przewidywał te wizyty?

Portierzy? Strażnicy? Służba? — w generalskich mundurach podejrzliwie spojrzeli na mnie, którego jeśli tuż nie ubiór (wymieciłem spodnie), to wystraszono spojrzeniem, musiało budzić nieufność. Ale nie zatrzymano mnie.

Wiedziony chyba intuicją, w tych ogromnych, pałacowych komnatach odnalazłem właściwy kierunek do sal gier. Jeszcze tylko bilet wstępu (20 franków i do dziś nie podroża) — co jest chyba ewenementem), dokładna lustracja przez ostatnią barierę strażników — wewnątrz już w czarnych smokingach i otworzyły się drzwi Eden czy Inferno lub obu naraz.

To, co ujrzałem, nie zawiódło oczekiwań! A zdarza się to rzadko z miejscami, zabitykami, dziełami sztuki czy nawet filmami, które zna się wcześniej z literatury, uczyło się o tym, czy wiele słyszało. Najcięższej spotyka nas przykre zawód, gdyż zbyt wiele obiecywałem sobie. Pamiętam w tejszej samej podróży, jakie przykre wrażenie zrobił na mnie podmadrycki Aranjeuz, którego to nazwa utkwiła mi w głowie z motta jakiejś zapomnianej książki, a którego fragment brzmiał: "...w cudownych ogrodach Aranjeuzu..." Otóż ogrody te o tak cudowne dźwięczne nazwie, mimo że królewskie, okazały się parkowymi alejami, wysypanymi grubym żwirem, ani umywalcami, ani nawet zaskakującymi, jak nieznajomy tylko z bardziej egzotycznymi drzewami, co nie znaczy piękniejszymi. Albo muzeum Prado. Albo Soho w Londynie. Albo "Człowiek z żelaza", o którym wcześniej nazywałem się laurek.

W pierwszej sali nie było nawet zbyt tłoczno. Dwa stoły z kręcącymi się kołami ruletki otoczone były kilkunastoma graczami. Trzeci stół z dziwnymi liniami i wyciekającymi, znużonymi dżentelmenami w szaroniebieskich smokingach Szeroko otwarte drzwi do następnych salonów, pustych, przegrodzone były jedwabnymi sznurami. Takie jedynie wrażenie zostało u mnie z tego pierwszego wejścia na nieco galaretowatych nogach. Dopiero za następnym pobytom okazało się, że była to uświęcona pora francuskiej obiadu kolacji, dlatego tak mało ludzi, ten stół z geometrycznymi

figurami służy do Trente et quarante, a ci dżentelmeni to też krupierzy.

W rogu, za rzeźbionymi barierami, urzędowali kasjerzy-wymieniacze żetonów. Nie będąc pewnym jednak swego systemu, chciałem się jak najtaniej wykpić z tej złotej putapki, zamiast tysiąca wymienilem jedynie dwieście franków — na najtańszą 10-frankową żeton Wybrałem na co będę grać; nieparzyste. Skorzystałem z wolnego krzesła, stojącego obok pola "impair" — i tak się zaczęło.

Ekipa krupierów była sprawną — gra toczyła się szybko. Zgodnie z zasadami wygrywałem — parzyste padały nie częściej jak po dwa, trzy razy po kolei, tak, że nie musiałem bardzo powiększać stawek — mieszcili się w moich 200-frankowych możliwościach. Po kilkunastu minutach miałem już kilkanaście żetonów wygranych. I nagle, gdy musiałem obstarwić chyba dwadzieścia franków, wyszło zero. Na to nie byłem teoretycznie przygotowany, a właściwie sadziłem, że jest to przegrana. Dziś z zażenowaniem wspominam moją dziewczą nieświadomość w tej materii.

Krupier-zgarniacz z cyrkową zreżnością zebrał grabkami wszystkie żetony obstarowane na numery, natomiast moją stawkę przesuwał tylko nieco i zostawił na polu impair. To mnie zaskoczyło. Odwołałem me do zdrowego, chłopięcego rozsądku — co nie odbierało to moje — i dyskretnie przesuwałem stawkę do mych żetonów na stole; było to jedynie kilkanaście centymetrów. Nikt nie zaprotestował. Wywnioskowałem, że takie są przepisy — za kilka minut miałem się przekonać, że tak nie jest. Następnym kilka, jak by to po polsku najlepiej określić: kręcenie, ciągnięcie, tur? przegrywałem — musiałem dublować i doszedłem chyba do 80 czy 160 franków. I znów to piekielne zero. Krupier ponownie poprawia nieco moją żeton i pozostawia na polu. A ja ponownie wyciągam rękę i ciągnę do siebie. Ale tym razem rozpętało się piekło — tak ja to przynajmniej odebrałem.

Wszyscy krupierzy, to jest trzech plus szef, zaczęli na mnie krzyżować w swym zawodowym slangu — nie bardzo dla mnie zrozumiałym. Przywołali nawet inspektora, który, już w cywilnym ubraniu, krążył po sali. Szef, widząc mój osłupiały i wystraszony wzrok, zapytał wreszcie spokojnie i zrozumiale: dziele czy zostawiam? Ochłonąłem już trochę i resztą kontensu, chcąc się nieco odegrać na zbyt pewnych siebie krupierach, odpowiedziałem nonszalantko:

— Jeśli pan (wy) chce (chcecie), to ja mogę zostawić. Dla mnie to drobiazg, ale ja nonszalancja drogo mnie kosztowała. Byłem tak zdenerwowany moją nieświadomością i tym wysiłkiem, żeby nie dać poznać po sobie, że po przegranej następnej turze nie zdublowałem już stawki, przegrywałem wszystko. Zostało mi jedynie kilka żetonów. Jeszcze raz całym wysiłkiem woli skupilem się, na zimno pomyślałem, co dalej robić i doszedłem do wniosku, że bez wyjaśnienia, jakie przepisy obowiązują w przypadku wyjścia "zero", nie mogę dalej grać bez narażania się na przykrość lub co najmniej śmieszność, co dla mnie byłoby jeszcze dołkliwsze.

Odszedłem od stołu, przeprosiłem grzecznie tegoż inspektora i nalegałszy francuszczyzną na jakąś miłą stać, poprosiłem o wyjaśnienie tych zasad, tłumacząc się, że jestem tu pierwszy raz, od kilkunastu minut i niezupełnie znam reguły gry. Równie grzecznie pan inspektor, wyglądający na rasowego artystę, wyjaśnił mi co jest co. Zrozumiałem też, dlaczego krupier "poprawiał" moje żetony — to właśnie przesuwał je na specjalną linię oznaczającą zablokowanie stawki do następnej tury. Jeśli byłaby zwycięska — stawka zostaje odblokowana. Istnieje druga możliwość po wyjściu zera — wycofanie połowy. Czyli moje zgarnięcie całej stawki było próbą wydłubania i ogromnym nieaktym według tutejszego savoir-vivre'u o czym się przekonałem dość późno.

Społojniejszy już wróciłem do stołu. I tylko ogromnemu szczęściu, a nie systemowi zawdzięczam, że nie straciłem resztki żetonów, a wprost przeciwnie raz po raz wygrywałem. Gdy podliczyłem, że mam 25 żetonów, to znaczy wygrałem 50 franków spojrzeliem na zegarek — właśnie upływało umówione 45 minut. Ponieważ jestem z zasady słowny i w dodatku w tym momencie byłem "na plusie" — z podniesioną głową wstałem od stołu, ustępując miejsca już bardzo licznyemu nowo przybyłemu graczom.

W międzyczasie niby wróciłem z tej jaskini lwa do Algieru, do pracy. Problem został obgadany, przeniesiony na wszystkie strony, ale wkrótce zarzucono jako nieużyteczny, bo okazało się, że przy kilkunastu próbach ciągnięcia para — niepara wyszła dziesięć razy po kolei para, co w tym systemie eliminuje z gry i prowadzi do totalnej klęski. Gdy zapamiętałem na szczęście tabliczkę wiszącą nad stołem: minimalna stawka 10 franków, maksymalna — 8.000. Czyli ewentualna wygrana niewielka, a ryzyko duże.

Po powrocie do kraju, po wieloletniej nieobec-

ności, masa rzeczy do załatwienia, a już epoka sukcesu zaczynała chylić się ku upadkowi, skąd dodatkowe kłopoty. Zmiana klimatu czy może mikroklimatu spowodowała, że rozchorowałem się, może nie tyle ciężko, co przewlekło. Po wyczerpaniu dostępnych książek zacząłem się jeśli nie nudzić, to mieć czas na rozmyślanie. Wtedy też ożyły w mojej pamięci obrazy z Monte Carlo, tak kontrastujące z szalejącą zimą.

Przypomniałem sobie i o ruletce. Postanowiłem jeszcze raz praktycznie sprawdzić naszą teorię, czy jednak nie da się jej stosować, jakie jest prawdopodobieństwo wpadki.

Stworzyłem sobie matematyczny odpowiednik — model ruletki i przeprowadziłem około tysiąca ciągnięć zapisując wszystkie wyniki. Następnie rozpocząłem ich analizę — było się przecież niezłym matematykiem na studiach. Po pierwsze — potwierdziło się niebezpieczeństwo systemu podwajania stawki — przy ograniczonej stawce maksymalnej. Ale nieoczekiwanie zaczęła mi się kształtować pewna prawidłowość wyników ciągnięć. Skrupulatnie podliczyłem wszystkie przegrane i wygrane w tej metodzie — wyszło ponad dwadzieścia stawek na korzyść gracza. Postanowiłem bawić się dalej — nie dowierzałem metodzie praktycznej, bo mogło to być jedynie przypadek. Musiałem sprawdzić to przy pomocy teorii prawdopodobieństwa. Niewiele z tej dziedziny pamiętałem ze szkół. Po wyzdrowieniu wyszukałem w bibliotece kilka książek matematycznych. Jak mi się do dzisiaj wydaje, znalazłem odpowiednie rozwiązanie matematyczne mojej metody.

— Drodzy Czytelnicy! Nie mieliście, przypuszczam, nadziei, że za te kilka czy kilkanaście złotych dowiecie się szczegółów tej metody, której odkrycie kosztowało mnie tyle wysiłków. Któż zresztą dobrowolnie ujawniał swe formuły na kamień filozoficzny czy alchemiczne metody produkcji złota?

I tu matematyka potwierdziła, że prawdopodobieństwo jest na korzyść gracza, a ilościowo dość dokładnie sprawdziło się z praktyką. Teraz już bakały podkładał na dobre. Jeszcze raz, już na udoświadczonym modelu przeprowadziłem ogromną ilość prób — ilość zalecaną przez matematykę, taką ilość, aby odpowiednio reguły prawdopodobieństwa zaczęły działać. I nadal potwierdzała się moja metoda!

Teraz nie pozostawało nic jak tylko potwierdzić to w sferze hazardu — Monte Carlo!

Na razie było to niemożliwe — liczne problemy rodzinne do załatwienia oraz rozpoczęty projekt nowego osiedla nie pozwalały nawet marzyć ani o dwutygodniowym urlopie. Ale konsekwentnie, uparcie robiłem wszystko, aby w przyszłym roku, na wiosnę, móc wyjechać.

Całą zimę i wczesną wiosnę ciężko pracowałem, urządziłem nowe mieszkanie, zabezpieczyłem materialnie rodzinę, aby mieć czyste sumienie — i na początku kwietnia byłem gotów.

Jeszcze tylko wymagane formalności i w drogę — przez Austrię, Szwajcarię i Włochy, Turcję była nieważna, w pamięci pozostała jedynie cięga huśtawka pór roku i klimatu. Co wspierałem się wyżej — to zimą ze śniegiem, co zjechałem w dół — to wiosną z rozkwitnymi łakami; liczył się tylko cel ostateczny podróży, a złocista kopuła Casino prowadziła tam jak gwiazda bielejamska.

Już nie ten wystraszony nowicjusz, nieumiejący się poruszać, zachowujący któregoś zera doprowadziło do rozpaczy. Inne samopoczucie dawała również kleszeń kosztu wypchna pięćsetfrankowymi, starannie zapiętą na guzik — to że wzięli dowód bezpieczeństwa. Tyle się naczytałem w gazetach francuskich o napadach na Cole d'Azur.

Gdy postanowiłem zagrać va banque. Wziąłem całe moje pozostałe oszczędności dewizowe — trzy tysiące dolarów, co po wymianie na franki dało około trzynastu tysięcy. Moja metoda nie była błyskotliwa, była to metoda raczej drobego ciulacza. W ciągu czterech do pięciu godzin gry, pozwalała wygrać około czterech, pięciu stawek — tak to teoretycznie wyliczyłem. Nie była to jednak metoda pozwalająca na gre mechaniczną, bezmyślną; duża rola odgrywała tu odpowiednia taktyka, którą należało potwierdzić i udoskonalić dopiero w boju, oraz jednakże trochę szczęścia lub raczej uniknięcia jakiegoś nieprawdopodobnego, paradoksalnego pecha. Dlatego, aby wykorzystywać tę metodę, czas i okazje, postanowiłem zagrać stawkami maksymalnymi, na jakie pozwalały mi zasoby. Z moich rozważań wynikało, że należy wprowadzić do gry dziesięciokrotność stawki. A więc zagrać żetonami tysiącfrankowymi.

Po przeleżeniu czarnorynkowym na złotówki mogło się zakreślić w głowie...

Dlaczego chciałem zagrać „na calość”? Mimo, że aż do wyjazdu do Afryki borykałem się ciągle z kłopotami materialnymi i to na najprostsze potrzeby, a zawsze liczyłem każdy grosz dwa razy

przed wydaniem, tu nagle rzucałem tak pokąźną kwotę na jedynkę ryzyko, bo moja metoda wcale nie dawała stuprocentowej pewności.

Ano, postanowiłem rozstrzygnąć raz na zawsze; albo moje wyliczenia są słuszne i po miesiącu dojdę do takiej fortuny, że dopiero zakreśli się w głowie, albo okaże się, że wiekowe doświadczenia księcia i jego sług są silniejsze, wyjadę goły, wyleczony z iluzji, a w kraju wezmę się za uczciwą pracę, zbierając grosz do grosza, premie do premii, a tego typu fanaberie przestana mi chodzić po głowie, bo to i nie ten wiek, i wystyd w rodzinie. Z tego cieszyłaby się najbardziej moja żona.

A więc stawka, nie tylko we frankach, była wysoka. Jednakże pierwszego dnia dla sprawdzenia metody, dla rozgrzania się postanowiłem zagrać cienko — po sto franków. I dlatego też miałem mniejszą treść siadając z dziesięcioma żetonami żetonami do pierwszego stołu, przy którym gra toczyła się już w najlepsze.

Dziś, żeby przypomnieć sobie szczegóły z tych pierwszych dni siegam do zapisów — bo z każdego gry prowadził dokładne zapisy wychodzących numerów, kolorów, czasu — na specjalnych firmowych tabelkach, jak gdyby specjalnie przygotowanych dla takich maniaków jak ja. Zresztą dla mojej metody zapis był konieczny. I zapisy takie prowadziła znaczna ilość graczy — prawdziwie maniaków, jak się później zdołałem przekonać.

ŚRODA, 30 KWIEŃNIA, GODZINA DZIESIĄTA TRZYDZIEŚCI

Przez pierwsze pół godziny nie gram, notuję. W tym czasie pięć razy wychodzi mój układ, na który powinienem grać. Trzy razy przegrałbym, dwa razy wygrał — bilans minus jeden.

Mimo, że jestem jedynie obserwatorem, napięcie rośnie. Jak na studenckiej giełdzie przed decydującym egzaminem, gdy zdają poprzednicy i większość obawia.

Trzęsącymi się rękoma zapalam papierosa — mimo że w zasadzie nie palę. Postanawiam zrobić przerwę dla wewnętrznej mobilizacji, dla podjęcia decyzji — czy uciekać czy skoczyć w nieznaną głębie. Jak przed pierwszym zjazdem z Kasprowego, jak przed pierwszym wyjazdem syrenka do miasta, gdy praktycznie nie umiejąc jeździć, przez pół godziny, spocony mimo mrozu, siedziałem za kierownicą w bramie.

Biorę się w garść. Obserwuję z dystansu współgraczy. Przeważa trzeci wiek i kobiety. Raczej starszaki. Im też trzęsą się ręce, gdy stawiają, a jeszcze bardziej gdy biorą wygrane żetony. Stawki są niskie. Nie widzę żetonów większych niż dwadzieścia franków — czerwonych.

Jeden gracz odbiegał jedynie wiekiem od pozostałych. Mógł być moim rówieśnikiem, a nawet młodszym. Miał rozłożony duży blok na brzegu stołu, po każdej turze coś pilnie liczył, czasami stawał po kilka żetonów.

Minał kwadrans, uspokoiłem się na tyle, żeby pozbyć się paniki, ścisnąłem w rękę żeton zielony zbliżyłem się do stołu. Przecież tyle przygotowałem nie może pójść na marne. Niech się dzieje co chce.

GODZINA JEDENASTA PIĘTNASTIE

Za trzydzieści minut wychodzi 23. Tak, to mój układ, poza tym moja szczęśliwa liczba. Teraz muszę obstarwić. Jeśli następna będzie parzysta — wygram. Przechodzę na drugą stronę stołu — stając przy polu „pair”. Nie kładę żetonu od razu. Nie dowierzam krupierom. Położę dopiero, gdy kulka zacznie się kręcić. To już wiem, że „Rien ne va plus” nie jest takie kategoryczne, że obstawiać można dopóki kulka jest w ruchu.

Stół jest już w większości pokryty jasnymi dziesięciofrankowymi, pozostało kilku graczy, którzy tak jak ja stawiają w ostatniej chwili. Krupier — maszynista zatrzymuje kręcące się koło rulety z kulką na polu „23” (zawsze musi startować z poprzedniego numeru), wyjmując kulkę, obraca koło z numerami w przeciwną stronę, a kulkę z dużą siłą puszca po nieruchomym dookołnym bieżniku. Robi się cisza, wszyscy wstrzymują oddech. Trwa to kilkanaście sekund.

Wreszcie kulka wpada na koło z numerami. Ale nie zatrzymuje się od razu na końcowej cyfrze; przeskakując z jednej na drugą, niezdeterminowaną, wypada na zewnątrz, wraca, aby po kilku spazmach zapadł jedną z nich i uspokojona, przytulić się do tej wybranej.

Stycha oddech ulgi. Krupier-spiker recytuje bezbłędnie: trente deux, rouge, pair, passe.

A więc wygrałem! Wycofuję dwa żetony, ale czy to dobrze wygrać za pierwszym razem? Czas pokaze.

Za kilka minut znów wygrana, potem na przemian, po czterdziestu minutach mam już wygranych czterysta franków. Dalej passa się zmienia, schodzę na minus jeden, minus dwa. Po kilku godzinach oscyluje ciągle koło zera. Jestem już bardzo zmęczony. Postanawiam po wyciągnięciu się na plus przerwać grę.

Dwa razy po kolei wychodzą moje układy — oba wygrane, jeśli następny wygram — odchodzi od stołu. Po „21” stawiam na parzyste. Odracam się, oglądając obojętnie (pożornie) inne stoły, przysięgam, że jeśli będzie par, na dziś koniec. Sięsz — osiemnastę. Uf! Co za ulga zgarniam dwa zielone, jest godzina piętnasta piętnastie — po pięciu godzinach wygrałem trzysta franków. Bilans niezbyt rewelacyjny, ale w tym momencie rodzi się mój System, który składa się z Metody i Taktyki. Postanawiam wycofać się od razu gdy dojdę do plus trzech! Wszystko co genialne jest takie proste!

Jestem zbyt rozgrzany aby zaraz odejść od stołu. Głód już minął wraz z porą obiadu. Dla statystyki notuję dalsze cyfry. Potwierdza się mój System — za dwie godziny byłbym znów na minusie!

Już spokojniejszy, zaczynam się dokładniej przyglądać memu rówieśnikowi który nadal pracowniczoś liczy, skreśla. Notuje jego wyniki. Na dwie tury wygrane ma przeciętnie tylko jedną przegraną — dla mnie to rewelacja, pięćdziesiąt procent szans. Zaczynam stawiać dokładnie tak jak on. Lecz w tym momencie jego metoda się załamuje. Po godzinie wygrywa zaledwie sto franków. Ledwie trzymam się na nogach, jest siedemnasta. Bezanalacjonalnie postanawiam wyjść.

Mój matematyk również ma dość. Idzie wymienić żetony na pieniądze. Widzę, że jest to znaczna suma. Bieram się na odwagę i zagaduję go. Przechodzę na temat metod gry. Domyślam się, że system opiera się na matematyce. Jest sympatyczny — twierdzi, że nie ma ściśle matematycznych sposobów gry, on wymyślił coś pośredniego, na dzieś się gier przeciętnie ma jedną stawkę wygraną — to bardzo dużo. Jutro postanawiam podzielić go dokładnie. Niestety, spotkałem go dopiero po trzech latach.

Teraz dopiero zauważam, że wszystkie stoły są już obleżone, że zupełnie inny skład graczy. Że stawki idą już w tysiące, a do nocy jeszcze daleko. Na zewnątrz oślepia mnie niskie wiosenne słońce. Po porannym deszczu zieleń aż bucha, a kwiaty i rośliny wydzielają ten jedyny, śródziemnomorski, gęsty zapach.

O tej porze w restauracjach francuskich nie się nie zje. Kunuje dwa casse-croûtes, kilo bananów. Jęde do hotelu w Menton ta cudowna nadmorska trasa. Wypijam szklankę wina. Jestem prawie szczęśliwy.



(cdn)

W „CENTRALU” kupisz za pół ceny, sprzedasz ciuch po amerykańskiej cenie i szate obłubienicy. Pohandlujesz ile wola tylko wejść... i odczekaj swoje w długim ogonie.

Dyrektor „CENTRALU”, Lech Sosnowski umyślił zorganizować stoisko kupna — sprzedaż rzeczy używanych. Wydział kacy, delegował personel i... ruszyło. Poszła fala klientów chętnych do kupienia tańszych spodni dla syna albo przebraniowej sukienki do komunii dla córki, ale więcej było tych, co chcieli sprzedać. Okazuje się, że nieprawdą jest jakoby Polacy nie mieli głowy do interesów.

Wielki dom towarowy, prężnie prowadzony i — jak na nasze warunki — niezłe zaopatrzone, postanawia pomóc tym, których budżet rodzinny nie pozwala na zakup rzeczy nowych i stale drożejących. Pomóżmy sobie sami — takie mogłoby być hasło tego pomysłu. Mogłoby być. Czy jest? Zobaczmy.

Skup od klientów odbywa się w małym pokoiku używanym przez agencję PKO. Obsługa — dwie osoby (w tym jedna stażystka), a naorzęciwko zwarty tłum sprzedających.

Klienci są różni. Na początku, tuż po otwarciu stoiska, walił tłum tych, co chcieli zrobić kokosowy interes. Przeważali młodzi, kręcący panowie dźwigający ciężkie nesesery. Pierwsze towary oferowane do sprzedaży rekrutowały się przeważnie z zamorskiej kontrabandy. Równolegle spływały gesto efekty niedawnej histerii w rodzinnym handlu państwowym. Jeden po drugim nesesery ujawniały na przykład dzinsy — prosto ze Stanów, w firmowym opakowaniu... no cymes! Zaczynały się dialogi na cztery nogi:

- Ile pan chce za to?
- Sześć...
- Czego? Stów?
- Coś pani?, chora na głowę? Sześć tysięcy.
- Panie! Za portki?

— Kochana, to jest amerykański sztruks. Pani wie ile to chodzi w dolarach?

— Mogę dać panu tysiąc pięćset. Więcej nie.

— Orzesz... takie ci interesy to sobie sama robi!

Stojący za kontrahentem tłumek, podbuzowany proponowaną wyceną, wzbiera jak burza. Fruwają w powietrzu miśskie epitety pod adresem państwowego handlu. Dostaje kto się nawinie, nawet Bogu ducha winna kasjerka agencji PKO, przewodnicząca w swoim kaciuku. Wszyscy patrzą na kierowniczkę tego interesu z nieskrywanym politowaniem.

— Pani! pani! widziała kiedy porządny interes? Co wy tu macie? szmiele galanterijny dla elegantów z Wołowa? A to jest ciuch!!!

Nieugięta szefowa obstała przy swoim, więc rozindyczony klient zbiera swoje amerykańskie sztruksy i wychodzi.

Za drzwiami stoi grupa takich samych handlowców pomstujących na cały świat. Ktoś proponuje rozgoryczonemu, żeby wstawili swoje łaski do prywatnych sklepów, tam przecież idzie tylko zagraniczny towar. Tak ale tam czekasz na oieniądże, aż ktoś kupi a poza tym ci ohydni kapitaliści mają pełne półki, ceny i owszem mają wyskokowe tyle że chętnych mało. Stać nad ładą pełną niechodliwego luksusu — żaden interes „CENTRALU” tym przebiega prywatny handel, że płaci od reki, a tu święta idą grosz potrzebny jak nigdy.

Kierowniczka stoiska kupna — sprzedaży, pani Elżbieta Sklabania, wzrusza ramionami: — co tu mówić. Tu wielu przychodzi takich, którym pomylili się przeliczniki walutowy. Kupili towar, przeliczając 450 zł za dolara i w żaden sposób nie mogą pojąć, że państwowy sklep honoruje kurs po 80 zł. Skutek sama pani widzi. Przecież „Central” to nie prywatny bazar, ceny obowiązują państwowe i żadne inne. Tu kupują przeciętni ludzie z przeciętnymi pensjami, dla nich

przede wszystkim jest to stoisko. Z początku najczęstszymi gośćmi byli ci co ulokowali kapitały w wykupywanych historycznie towarach, tzw. luksusowych. Dużo jest kożuchów, futer, płaszczy i kurtek skórzanych. Przynosi taki pan skórzany płaszcz damski, kupiony 3-4 miesiące temu w państwowym sklepie za państwową cenę 19 tysięcy, a teraz chce nam to sprzedać za 30-35 tysięcy. Kiedy tłumaczę mu, że to przecież towar z państwowego handlu i nie może dać, ile żąda, na to slysze, że przecież nowy, nie używany i tyle jest wart na bazarze. To idź pan na bazar.

I wtedy zawiedziony dzentelmen bluzga pietrowa wiazanką okolicznościową. Ot, ludzie.

Stojąc w kolejce chętnych do sprzedania, sama widziałam możliwość odziana damę, wywołującą z torby, w gronie przegranych znajomych z kolejei futro damskie — chyba z nutrii. Powiada, że niżej 90 tysięcy nie weźmie: — no bo, patrz pani, jaki połysk, jakie miękkości, ale nie pod włos, kochana, nie pod włos, bo się zmechaci...

Przy ładzie usłyszałam, że takie same wiszą dwa stoiska dalej i niech sobie sprawdzi, p. ile. Dama rozdarta się na to, że jakże, że nowe, że kupiła

rezerwy i „trzynastki”, ludzie zaczynają liczyć. Wola przeczekać, niż przepłacać u chytruska. No i zamrożony w wykupionych towarach kapitał zaczął marnieć. Na bazar z tym — niebezpiecznie. Można wpaść na kontrolę polującą na spekulantów. A nawet jeśli nie, to kto kupi za te wyśrubowane ceny? Każdy ma teraz płótno w kieszeni, więc na bazar przygania tylko najwyższa konieczność. To nie to, co alkohol czy papierosy, te zawsze pójdą, za każdą cenę, zwłaszcza w imię niny na przykład sasiada. Dlatego inicjatywę „Centralu” uznali za opatrność losu. Skoro państwowy handel chce kupować od prywatnych osób, no to musi kiepsko z nim. I będzie można żyłować. Tymczasem nie z tego, ceny dają standardowe, przysiadają się uważnie, czy nie ma plam i dziur. Jak więc ma się zwrócić kapitał zakładowy? No jak?

Po kilku dniach największego naporu, opadła fala tych, co chcieli sprzedać towar zagraniczny i tych, którym się marzył dyktat cenowy dla państwowego sklepu. Dzisiaj tacy klienci trafiają się rzadziej.

— Przez pierwsze dni — jak mówi kierowniczka — można było oszaleć. Czołówek po paru godzinach nie wiedział już, ile jest 5 dodać 2, jak się nazywa

i skoro używane, to musi być taniej. Stąd tak wielu sprzedających odchodzi z kwilkiem. Akcja „Centralu” nie może być traktowana jako okazja do odkucia się niefortunnych handlowców prywatnych. Wszyscy mamy przecież w domach ubrania po wyrosłych dzieciach, nigdy nie noszone sukienki czy swetry. Cheesz się tego pozbyć, przyjdź, ale... można nad stoiskiem zawiesić hasło: „Porzucicie wszelkie nadzieje, którzy tu wchodzą. Nadzieje na zarobienie kokosów na ciuchu po babci”.

O ludziach też słyszę dziwy dziwne. Na ogół bez pudła można założyć, że gdy przed ładą staje wypucowany elegant lub zamożnie wyglądająca kobieta, to z kufra pojawiają się towary jak wyżej, albo niedopranie, wyszargane łachy. W obu przypadkach można usłyszeć przykre uszczypliwości, a częściej namolne „wciśnięcie kitu”. Wiele ludzi, zdaniem pani Elżbiety, potraktowało ofertę „Centralu” jako jedyną okazję

— Ludzie — mówi kierowniczka — ciężko przyjmują do wiadomości fakt, że to nie jest działalność charytatywna, lecz interes, na którym chcą zarobić obie strony. Klient, bez zastanowienia tka brudne ciuchy i żąda za to ceny, jaką zapłacił ongiś kupując nową rzecz. A przecież i sklep chce mieć pewność, że znajdzie się chętni do kupienia rzeczy używanych.

Na szczęście są też oferenci, którzy przynoszą rzeczy wartościowe, czyste, w dobrym stanie i na pewno chodliwe. Tacy są najprzyjemniejsi w obsłudze, grzeczni, spokojni, rzeczowo oceniają wartość przyniesionych artykułów. Nie targują się o 50 złotych na ciuchu, którego i tak już nie używają, pożytku z tego nie ma, a tylko zawala szafę.

Pytam kierowniczkę o różne „naj”. Otóż najbardziej deneguje ją zdanko używane jako ostateczny atut, zwłaszcza przez odrzuconych oferentów: „Macie to kupić, bo ja nie będę wracać

Zdarzają się także nagłe ośnienia, jak na przykład towar wyłożony przed naszę oczy przez jednego z klientów. Po tej stronie lady wszyscy się ciut najczyli, podejrzejając jeszcze jednego „potrzebującego pomocy z PCK”. Okazuje się, że nie. Że to po prostu kochani zagraniczni wujciowie przysiali paczkę a że trochę dużą, więc oferent chce państwu odpalić część dóbr. A dobra są! Mój Boże, te szyneczki, te sardynki, kawka, herbatka, kakao, te mydelka... Siedząca kobiety żalownie wspominały ostatnią widzianą w sklepie paczkę herbaty „Popularnej”, albo te kostki mydła na dwa miesiące...

Ech, iza się w oku kręci, ale ceny proponowane i tak okazały się ponad możliwości państwowego handlu. Cóż, jakiś sklep kolonialny da pewnie więcej.

I tak idzie sobie handel według nowego pomysłu. Mimo wszystko jednak interes jest dobry. „Central” zrobił już na rzeczach używanych niezły obrót, a i klientom wygoda. Tylko... ano, właśnie.

Idea sklepów komisowych też była niegłupio pomysiana, miała „wzbogacić ofertę rynkową” o towary wstawiane przez indywidualne osoby, a pochodzące z różnych źródeł. Jednakowoż szybko komisary przekształcili się w miejsca legalnie i półlegalnie upychanej prywatnej kontrabandy. „Oferowane” ceny rychło też odstraszyły tzw. przeciętnego klienta, a już źródłem względnie regularnych zakupów komis na pewno nie są. Toteż wykorzystanie pomysłu komisowej sprzedaży na masową skalę, z pierwszeństwem rzeczy używanych i natchmiastową wypłatą pieniędzy było dobrym pociągnięciem i od dawna bardzo potrzebnym. To znaczy pomysł był trafiony, tyle że nie wykończony. Idea umożliwiająca ludziom pozbycie się zalegających szafy rzeczy nie używanych, a nadających się do dalszej eksploatacji, snuła się od dawna. Zwykle materializowała się w eksperymentalnym komisie rzeczy używanych, ten zaś szybko przestawał się w normalny komis z bardzo drogimi, bardzo zagranicznymi i bardzo nowymi towarami. Wiece co? Wzięcia nie było, czy jak? Ależ było, było, tylko nikomu nie opłacało się sprawy przypilnować. Dobrze, że wpadło na to kierownictwo „Centralu”, tyle że znów popeliono te same błędy.

„Central” jest wielkim domem handlowym, zaopatrywanym przez dostawców uspołecznionych. Tego rodzaju akcja jest więc tylko i wyłącznie akcją. Nie jest, bo nie może być stałym punktem programu, z dwóch podstawowych przyczyn. Nie ma na to miejsca na halach głównych i personel aktualnie obsługujący stoiska kupna — sprzedaży został czasowo tylko delegowany do tej roboty. Co prawda, dyrektor Lech Sosnowski marzy o anektowaniu sąsiednich budynków pod działalność handlową. Ale jest to jeszcze śpiwka przyszłości. A poza tym, dwukrotnie zwiększenie przestrzeni na ogół idzie w parze z geometrycznym przyrostem ilości klientów, czego najlepszym dowodem są wielkie centra handlowe Warszawy czy Poznania.

Wyjścia są dwa. Albo zaniechać pomysłu, co byłoby ze szkodą i dla handlowców, i dla klientów, albo... pomarzyć razem z wicedyrektorem do spraw handlowych „Centralu”, panem Szatkowskim. Marzenie wygląda tak, żeby — póki sytuacja rynkowa jest, jaka jest, wykreślić zielejące pustką sklepy i zatrudnić szwendających się bezczynnie personel, któremu i tak trzeba płacić pensje. Wykorzystać właśnie na rozszerzenie handlu rzeczami używanymi. Popyt jest pewny. Pan Szatkowski widziałby to jako wspólną akcję „Centralu” i prasy, żeby zrobić akcję propagandową, żeby wskazać puste sklepy, żeby... Przytyk pojęłam, tylko nie wiade powodu, dla którego mielibym odbierać chleb wysokim urzędnikom aparatu handlowego. Płacić się im za to, żeby mieli pożyteczne pomysły, więc do nich przede wszystkim adresuję niniejsze uwagi.

JOLANTA WRÓŃSKA

Kupno—sprzedaż z PCK i po babci

ledwo dwa miesiące temu i ani razu nie wiozła. To po co pani kupiła, kiedy niepotrzebne?

Leci spojrzenie pełne wyskokatunkowej pogardy. Trzaśnięcia drzwiami nie ma tylko dlatego, że w drzwiach ścisł, błok, wszyscy chcą zobaczyć, sprawdzić, zapytać. Siedząc obok szefowej przyjmującej towar do wyceny i ewentualnego kupna, słucham smętnych refleksji. O ludziach, o pracy w handlu, o życiu w ogóle. Pani kierowniczka uważa, że otwarcie tego punktu, całkiem ubocznie, okazało się przydatną nauką dla tych, którym marzą się kokosowe interesy, tylko, panie tego... głowa nie ta. Ci, co wykupywali namłnie co tylko się dało, ubrania, buty, ciuszki dziecięce, liczyli chytrze, że pustka na rynku zmusi potrzebujących do lewych zakupów. A wtedy oni podkują ceny, że ho... albo jeszcze więcej. Tymczasem przyszła podwyżka, kończą się

i jakim tramwajem ma wracać do domu. W głowie szumiało od wrasku i od oferowanych cen. No i jeszcze ta potworna biurokracja. Wielki arkusz z kopią przez kalkę, każdego klienta osobno wyszczególnia się, co sprzedaje, za ile, jaka marża sklepu (20 procent) i jaki podatek do skarbu państwa, od uzyskanej sumy (10 procent), dane, parafy, pieczątki. Obłęd.

Chyba nikt z kierownictwa i personelu nie oczekiwał takiego gigantycznego nalotu. Dlatego też szybko stracili wzięcie ogoniaste i falbaniaste suknie ślubne, czy sukienki do komunii z bistoru — bo dzieci, jak na złość, nie cierpią bistoru.

Rychło też trzeba było ustalić sztywne wymagania co do przyjmowanych towarów. Po pierwsze — zgodnie z sezonem, bo kto miałby odkurzać do jesieni stopy futer, kożuchów i jesionek. Po drugie — czy klienci to kupią. Nikt nie weźmie przybrudzonego łacha. No

upchnięcia skutków solidnych porządków świeżących. Przeglądam się nieprawdopodobnym szatoni balowym z epoki prababki Iaraonów, a w lokalu rozchodzą się woń naftaliny. Są też radosne berety a'la Tycian — po amerykańskiej cenie, a klasowo-koronkowe bluzeczki z dawno minionej epoki luksusowych bankietów. Są własnoręcznie udziergane szydełkiem cacka we wszystkich kolorach tęczy, no, raj. Tylko brać, wybierać, kupować. Niedrogo. Oceniająca zadaje w takich wypadkach trzy rzeczowe pytania.

— Kiedy to było prane?

— Czy pan (pani) uważa, że ktoś to kupi i za ile?

— Czy pani sama kupiłaby to w takim stanie, w jakim jest?

Odpowiedzi bywają różne. Czasem miałam wrażenie, że sprzedający wszystkich potencjalnych nabywców miał za bardzo bogatych klientów.

z ciężką torbą”. Przypomina się matryszka zastaniający się przed dociekliwym belfrem, że... tego nie przerabialiśmy...

Drugie „naj” jest z obszaru patologii społecznej, jest po prostu czymś obrzydliwym. Pani Elżbieta przypomina sobie kilkanaście przypadków, kiedy przed sobą na ładzie zobaczyła zawartość paczek otrzymywanych w ramach pomocy ludziom potrzebującym. Były panie próbujące sprzedać odżywkę i odzież dziecięcą, byli renciści ze stosami PCK-owskich wiktualów, sanitariatów itp. Ludzie potrzebujący nie wyzbywają się przecież wspomagających darów, więc kim są ci klienci? I zawsze powtarzała się w takich sytuacjach ta sama scena. Kierowniczka najpierw zdumiewała się zawartością oferty, a potem... ceną, jakiej żądano. Handel czyjaś bieda, czy bezgraniczna głupota? Jak to jest? Dobrze byłoby zbadać sprawę, co poddaje kompetentnym czynnikom pod rozwagę.



Foto: M. Zajder

W kręgu fantastyki

KIRYL BUŁYCZOW

Dziewczyna, której nigdy nie stanie się nic złego

Jutro Alisa idzie pierwszy raz do szkoły. To będzie nadzwyczaj interesujący dzień. Dziś od rana wideofonują przyjaciele oraz znajomi Alisy i wszyscy jej gratulują. Zresztą Alisa już od trzech miesięcy nie daje nikomu spokoju — ciągle opowiada o swojej przyszłej szkole.

Marsjanin Bus przysłał jej jakiś bardzo dziwny piórnik, którego jak dotąd nikt nie zdołał otworzyć. Ani ja, ani moi współpracownicy, wśród których nawiasem mówiąc było dwóch doktorów i główny mechanik ogrodu zoologicznego.

Szusa powiedział, że pójdzie do szkoły razem z Alisą i sprawdzi czy jej nauczycielka ma wystarczające doświadczenie.

Zdumiewająco dużo zamieszania. Mam wrażenie, że kiedy ja szedłem pierwszy raz do szkoły, zamieszania było znacznie mniej.

Teraz jakby trochę ucichło. Alisa poszła do ogrodu zoologicznego, żeby pożegnać się z Brontkiem.

Póki w domu panuje spokój, postanowiłem zanotować kilka historii z życia Alisy i jej przyjaciół. Pośle te wspomnienia nauczycielce Alisy. Uważam, że powinna wiedzieć, z jakim niepoważnym człowiekiem będzie miała do czynienia. Być może te nagrania pomogą nauczycielce w edukacji mojej córki.

Początkowo Alisa była dzieckiem jak inne. Mniej więcej do trzech lat. Dowodem niech posłuży pierwsza historia, którą zamierzam opowiedzieć. Ale już w rok później, kiedy poznała Brontka, w jej charakterze pojawiła się skłonność do robienia wszystkiego na odwrót; znikania w najbardziej niestosownych momentach i nawet przypadkowo dokonywała odkryć, które przekraczały możliwości naszych najwybitniejszych uczonych. Alisa potrafiła wykorzystywać to, że jest lubiana, a jednak ma wielu oddanych przyjaciół. Ale nam, jej rodzicom, bywa nieraz ciężko. Nie możemy przecież bez przerwy siedzieć w domu — ja pracuję w ogrodzie zoologicznym, a nasza mama buduje domy i to często na innych planetach.

Chcę zwrócić uwagę nauczycielce Alisy — ona także nie będzie miała łatwego życia. Jako dowód niech posłuży te absolutnie prawdziwe historie, jakie zdarzyły się z Alisą w ciągu ostatnich trzech lat w różnych punktach Ziemi i kosmosu.

Nakręcam numer

Alisa nie śpi. Dziesiąta godzina, a ona wciąż jeszcze nie śpi. Mówię do niej:

- Alisa, masz natychmiast spać, bo inaczej...
- Bo „inaczej” co, tatusiu?
- Bo inaczej zwideofonuję do Baby Jagi.
- A kto to taki Baba Jaga?
- No, takie rzeczy dzieci powinny wiedzieć. Baba Jaga to straszna wiedźma, która zjada małe niegrzeczne dzieci.
- A dlaczego?
- Dlatego, że jest zła i głodna.
- A dlaczego jest głodna?
- Bo w jej chatce na kurzej nóżce nie ma kanalu spożywczego.
- A dlaczego nie ma?
- Dlatego, że jej chatka jest bardzo stara i stoi daleko w lesie.
- Alisa tak się zainteresowała, że aż usiadła na łóżku.
- To ona pracuje w rezerwacie?
- Alisa, natychmiast spać!
- Ale przecież obiecałaś mi zawołać Babę Jagę. Proszę cię, tatusiu najdroższy, wezwij Babę Jagę!
- Dobrze. Ale gorzko tego pożałujesz.
- Podszedłem do wideofonu i nacisnąłem na chybili trafil kilka guzików. Miałem cichą nadzieję, że połączenia nie będzie i Baby Jagi nie zastane w domu.
- Niestety pomyliłem się, ekran wideofonu pojaśniał, mocno rozbrzmiał, rozległ się trzask, ktoś przycisnął guzik odbioru na drugim końcu linii i zanim zdążył się pojawić obraz usłyszałem senny głos.

— Ambasada Marsjańska, słucham.

— No i jak, tatusiu, przyjedzie? — zawołała z sypialni Alisa.

— Ona już śpi — odpowiedziałem gniewnie.

— Ambasada Marsjańska, słucham. — powtórzył senny głos.

Odwrociłem się. Z ekranu spoglądał na mnie młody Marsjanin o zielonych pozbawionych rzęs oczach.

— Pan wybacz — powiedziałem. — Zapewne pomyliłem numer.

Marsjanin uśmiechnął się. Patrzył nie na mnie, ale na coś za moimi plecami. Oczywiście Alisa wylaża z łóżka i teraz stała boso na podłodze.

— Dobry wieczór — powiedziała do Marsjanina.

— Dobry wieczór, dziewczynko.

— Czy to u pana mieszka Baba Jaga?

Marsjanin spojrzał na mnie pytająco.

— Rozumie pan — powiedziałem — Alisa nie może zasnąć, więc chciałem zwideofonować do Baby Jagi, żeby ją ukarała. Niestety, pomyliłem numer.

Marsjanin znowu się uśmiechnął.

— Dobry nocy, Alisa — powiedział. — Trzeba spać, bo inaczej tatusi zawoła Babę Jagę.

Marsjanin położył się i wyłączył aparat.

— A teraz już pójdziesz spać? — zapytałem.

— Styszałaś, co powiedział ten pan z Marsa?

— Pójde. Ale weźmiesz mnie kiedyś na Marsa?

— Jeśli będziesz grzeczna, polecimy tam latem.

W końcu Alisa zasnęła, a ja znowu siadłem do roboty. Zasiadłem się do pierwszej w nocy. W pewnym momencie coś cicho zatrzeszczało w wideofonie. Nacisnąłem guzik. Patrzył na mnie Marsjanin z ambasady.

— Daruję pan, że niepokoję go tak późno w nocy. Ale pański wideofon nie był wyłączony, więc pomyślałem, że jeszcze pan nie śpi.

— Proszę, o co chodzi?

— Czy nie mógłby nam pan pomóc? — poprosił Marsjanin.

— Cała ambasada nie śpi. Przejrzeliśmy wszystkie encyklopedie, sprawdziliśmy książki wideofoniczne, ale nigdzie nie możemy znaleźć, kto to taki ta Baba Jaga i gdzie mieszka.

O pewnym widmie

Latem mieszkamy we Wnukowie. Jest to bardzo wygodne, ponieważ chodzi tam jednoszynowa kolejka, a od przystanku do naszego domu jest pięć minut drogi. W lesie, po przeciwnej stronie szosy, rosną opienki i koziaki, ale jest ich znacznie mniej niż zbieraczy grzybów.

Przyjechałem na letnisko prosto z zoo i zamiast wypocząć, wpadłem w kłopoty wir miejscowego życia. Jego ośrodkiem był chłopczyk sąsiadów, Kola, słynny na całe Wnukowo, ponieważ zabierał innym dzieciom zabawki. Przyjeżdżał nawet do niego psycholog z Leningradu, który potem napisał pracę naukową o chłopczyku Koli. Psycholog studiował Kola, a

Fantastyka (zwana wcześniej literaturą fantastyczno-naukową, choć z biegiem lat wszelki pozór naukowości zaczął gubić się coraz to bardziej...) ma równie zapalonych zwolenników — dowodem: natychmiastowe znikanie wszelkich nowości z księgarni — co wrogów. Ci ostatni nazywają ją stekiem bredni, zapisywanych nadto niemalże hermetycznym językiem z jakowymys „polami siłowymi”, szybkościami pod-, a nawet nadświeślnymi (jakby podobna szybkość w ogóle mogła istnieć w naszej fizyce), zaś w praktyce — nie czytają tego typu książek w ogóle.

Przeciwników S-F chcielibyśmy przekonać, że na istotnie nad wyraz zachwaszczonym polu fantastyki wyrastają wszelako niekiedy kwiaty rzadkiej urody, a za przykład niech posłuży kilka drobnych, uroczo baśniowych, poetyckich opowiadań Kiryla Bułyczowa, zaczerpniętych z tomu „Ludzie jak ludzie”, Iskry, Warszawa 1976.

Kola jadł konfitury i marudził przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przywiozłem mu z miasta trzykołową rakietę fotonową, żeby wreszcie przestał.

Oprócz tego przebywała tam babcia Koli, która lubiła rozmawiać o genetyce i pisała powieść o Mendlu, babcia Alisy, chłopczyk Jura, jego mama Karma, trojaczki z sąsiedniej ulicy, które chórem śpiewały pod moimi oknami i wreszcie widmo.

Widmo mieszkało gdzieś pod jabłonią i pojawiało się stosunkowo niedawno. W widmo wierzyli Alisa i babcia Koli. Nikt więcej.

Siedzieliśmy z Alisą na tarasie i czekaliśmy, aż nowy robot produkcji szczelkowskiej fabryki ugotuje miannę kaszę. Robot już dwa razy się przepalił, więc Alisa i ja wymyśliśmy fabrykę, ale nie chciało nam się brać do gotowania, a nasza babcia pojechała do teatru.

Alisa powiedziała:

— On dziś przyjdzie.

— Kto on?

— Mój widmo.

— Widmo, ono — poprawiłem ją automatycznie, nie spuszczając oczu z robota.

— Dobrze — Alisa nie zamierzała dyskusować. — Niech będzie mój widmo. A Kola zabrał trojaczkom orzechy. Czy to nie jest okropnie zdumiewające?

— Okropnie. Więc co ty mówiła o widmie?

— On jest dobry.

— Twoim zdaniem wszyscy są dojrzy.

— Prócz Koli.

— No, powiedzmy, oprócz Koli. Myślę, że gdybym przywiózł smoka zięjącego ogniem, to też byś się z nim zaprzyjaźniła.

— Na pewno. A czy on jest dobry?

— Nikt jeszcze nie zdołał porozmawiać z nim na ten temat. Smok żyje na Marsie i pluje kłopotliwym jadłem.

— Na pewno ktoś go skrzywdził. Po co zabrałście go z Marsa?

Na to pytanie nie mogłem odpowiedzieć. To była święta prawda. Nikt nie pytał smoka o zdanie, kiedy go wywożono z Marsa. A smok w czasie podróży pożarł ulubionego psa sąsiadki „Kaluha”, czym zaskoczył sobie na nie-nawisć wszystkich kosmonautów.

— A więc co z tym widmem? Do czego ono jest podobne?

— Ono chodzi tylko wtedy, kiedy jest ciemno.

— Rozumie się. Tak jest od wieków. Nasłuchiwałaś się bajek babci tego Koli.

— Babcia Koli opowiada tylko o historii genetyki. Jak prześladowano Mendla.

— Ale, ale, jak reaguje twoje widmo na pianie koguta?

— Nijak. A dlaczego?

— Rozumiesz, przywołuje widmo ma obowiązki zniknąć przy akompaniamencie straszliwych przekleństw, kiedy kogut zapieje.

— Zapytałem go dzisiaj o koguta.

— Dobrze.

— I dzisiaj pójdę później spać. Muszę porozmawiać z widmem.

— Proszę bardzo. No dobrze, dosyć tych żartów. Robot już na pewno całą kaszę rozgotował.

Alisa siadła do kaszy, a ja do Zeszytów Naukowych Gwianskiego Ogrodu Zoologicznego. Był tu wyjątkowo interesujący artykuł o ukusmach. Przewrót w zoologii. Udało im się doprowadzić do rozmnażania ukusamów w niewoli. Małe rodziki się ciemnozielone, chociaż pan-cerze rodziców były niebieskie.

Ściemniło się. Alisa powiedziała:

— No to ja idę.

— Dokąd?

— Do widma. Przecież obiecałaś.

— Myślałem, że żartowałaś. Ale jeśli tak bar-

dzo chcesz, to idź do ogrodu, tylko włóż sweter, bo zrobiło się chłodno. I nie idź za daleko. Najwyżej do jabłoni.

— Po co mam iść dalej? On tam na mnie czeka.

Alisa wybiegła do ogrodu. Patrzyłem za nią spod oka. Nie chciałem się wdierać w świat jej fantazji. Niechże ją otaczają widma, wróżki, odważni rycerze, dobre wielkoludy z bajkowej błękitnej planety... Oczywiście pod warunkiem, że będzie chodziła spać o właściwej porze i regularnie jadła.

Zgasilem światło na werandzie, żeby lepiej obserwować Alisę. Podeszła do starej rozłożystej jabłoni i stanęła.

I wtedy... od pnia jabłoni oddzielił się błękitny cień i ruszył na spotkanie Alisy. Cień jakby płynął w powietrzu nie dotykając trawy.

Schwyciwszy coś ciężkiego biegiem w dół po schodach, przeskakując po trzy stopnie. To mi się nie podobalo. Albo czyjs głupi żart, albo... Co mianowicie „albo” nie wymyśliłem.

— Ostrożnie, tatusiu! — powiedziała głośnym szeptem Alisa. — Spłoszysz go.

Złapałem Alisę za rękę. Tuż przede mną rozplynęła się w powietrzu błękitna sylwetka.

— Coś ty zrobił, tatusiu! Przecież ja go prawie uratowałem.

Alisa haniebnie szlochała, kiedy ją niosłem na taras.

Co to było pod jabłonią? Halucynacja?

— Dlaczego to zrobiłeś? — szlochała Alisa. — Przecież obiecałeś...

— Nic takiego nie zrobiłem — odpowiedziałem. — Widma nie istnieją.

— Przecież sam go widziałeś. Dlaczego mówisz nieprawdę? A przecież on nie znosi ruchu powietrza. Czy ty nie rozumiesz, że do niego trzeba podejść powoli, żeby go wiatr nie zdmuchnął?

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Jednego byłem pewien — jak tylko Alisa usnie, pójdę z latarką i starannie przeszukam ogród.

— A on mi dał list do ciebie. Tylko ja ci go teraz nie oddam.

— Jaki znowu list?

— Nie dam.

Teraz dopiero zauważyłem, że zaciska w piastce kawałek papieru. Alisa spoglądała na mnie, ja na nią, i jednak dała mi tę kartkę.

Na kartce moim charakterem pisma był zanotowany harmonogram karmienia czerwonych krumsów. Szukałem tej kartki już trzy dni.

— Alisa, skąd wzięłaś moje notatki?

— Odszła kartkę. Widmo nie miało papieru, to ja mu dałam swoją.

Na drugiej stronie nieznany charakterem było napisane po angielsku:

„Szanowny panie profesorze!

Ośmieliłem się zwrócić do pana, ponieważ znalazłem się w nieprzyjemnej sytuacji, z której wyjście mogę znaleźć jedynie przy postronnej pomocy. Niestety, nie mogę również opuścić Kręgu o promieniu jednego metra, którego środkiem jest jabłoni. Zobaczyć mnie w moim obecnym godnym pożalowania położeniu można niestety tylko w ciemności.

Dzięki pańskiej córce, istocie dobrej i wrażliwej, udało mi się wreszcie nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym.

Ja, profesor Kuraki, jestem ofiarą nieudanego eksperymentu. Doświadczenia, które przeprowadzałem, dotyczyły przesyłania materii na dalekie odległości. Udało mi się przesać z Tokio do Paryża dwie indyczki i kota. Moi koledzy przejeżdżali zwierzęta w idealnym stanie. Jednakże tego dnia, kiedy postanowiłem przeprowadzić eksperyment na sobie, bezpieczniki w laboratorium przepaliły się akurat w czasie doświadczenia i zabrakło energii do całkowitego przemieszczenia mojej osoby. Rozproszyłem się w przestrzeni przy czym moja najbardziej skoncentrowana część znajduje się obecnie w okolicy pańskiej szanownej willi. Mój godny pożalowania stan trwa już drugi tydzień i niewątpliwie uznany zostanę za zmarłego.

Blagam pana, aby natychmiast po otrzymaniu mojego listu był pan łaskaw posłać depesze do Tokio. Niech ktoś naprawi korki w moim laboratorium. Wówczas będę się mógł zmaterializować. Proszę zwrócić uwagę na wyrażenie wdzięczności.

Kuraki”.

Długo wpatrywałem się w ciemność ogrodu. Potem zszedłem z tarasu i zbliżyłem się do jabłoni. Bładniebieśka ledwie dostrzegalna poświata kołysała się obok pnia. Kiedy wytyczyłem wzrok dostrzegłem zarys „ludzkiej” sylwetki. „Widmo” błagalnie, jak mi się wydawało, wzniosło ręce ku niebu.

Nie tracąc już więcej ani chwili pobiegłem na stację kolejki i zwideofonowałem do Tokio. Zajął mi to nie więcej niż dziesięć minut.

Już po drodze przypomniałem sobie, że zapomniałem położyć Alisę. Przyspieszyłem kroku.

Na tarasie paliła się lampa.

Przy jej świetle Alisa demonstrowała swój zielnik i kolekcję motyli wymizerowanemu niewysokiemu Japończykowi. Japończyk trzymał w ręku garnuszek i nie spuszczając oczu ze skarbow Alisy delikatnie jadł mianą kaszę.

Na mój widok gość skłonił się nisko i powiedział:

— Jestem profesor Kuraki — pański sługa na wieki. Pan i pana córka uratowaliście mi życie.

— Tatusiu, to jest mój widmo — powiedziała Alisa. — teraz ty w niego wierzysz?

— Wierzę — odparłem. — Młó mi poznać pana.

Przełożyła:
IRENA LEWANDOWSKA



Wacław Kondak „Don Kichot XVI”, 1975.

1

Zdarzenia
i zwierzeniaSpóź-
niony
felie-
ton

reportażu z Polski roku 1991...
Łącznie z tą odżywką jednego z
bohaterów: „Zdaje się, że już za-
jęli Telewizję...”

Sztuka ma to do siebie, że naj-
dłużej zachowuje świeżość. Na-
wet animowany filmik, nawet ga-
zetowy felieton — powstałe przed
laty — pasują jak ulał do sytu-
acji dzisiejszej i będą zapewne
pasować nie raz i nie dwa w
przyszłości.

Najwspanialszą cechą sztuki
jest bez wątpienia jej uniwer-
salność. „Ślepców” Bruegela z
szesnastego wieku można z po-
wodzeniem wpisać we współczes-
ny pejzaż polski lat osiemdziesią-
tych. A także nie tylko polski
i nie tylko lat osiemdziesiątych.
Wizję „Sprawy Dantona” zrodzo-
ną w narkotycznym śnie Stani-
sławy Przybyszewskiej można z
powodzeniem zrealizować we
współczesnej scenie. Całe frag-
menty felietonów Bolesława Pru-
sa można z powodzeniem druko-
wać na pierwszej kolumnie „Try-
buny Ludu” jako teksty aktual-
ne...

Wciąż będą „na czasie” meta-
foryczne filmy Mc Larena, prze-
wrotne aluzje Stonimskiego, ra-
cjonalizm pouczeń Prusa. Gaze-
towy felieton może się spóźnić,
ale sztuka zawsze dotrzyma kroku
wydarzeniom — a czasem nawet
je wyprzedzi, ukazując wizję wy-
padków za kolejnym zakretem
drogi.

JERZY
WILMAŃSKI

2

Lewym okiem

Spró-
bujmy
z
liza-
kiem

3

W pierwszej połowie grudnia
ub. roku zaniosłem do „Odgło-
sów” felieton do numeru świą-
tecznego, który — zgodnie z ży-
czeniem redakcji — miał być re-
fleksją na temat minionego roku.
Wiadomo, że taka felietonowa
synteza jest dość trudna — zwła-
szcza takiego roku. Zastana-
wialem się więc jak ten wrzyci
wydarzeniami kocioł opisać i skom-
mentować na dwóch kartkach ma-
szynopisu. Jakąś smutną, ale chy-
ba trafną syntezę podsunęła mi
lektura pośmiertnego zbioru fe-
lietonów Antoniego Stonimskiego.
Otóż m.in. pisze tam Stonimski o
filmiku kontynuatorów wielkiego
Mc Larena.

Miałem przed dwudziestu pięciu
laty to szczęście, że byłem na
jednym z pierwszych w Polsce
(a może w ogóle pierwszym?) po-
kazie filmów animowanych, które
prezentował w Szkole Filmowej
sam słynny Mc Laren. Przyle-
chał wówczas do Polski — „pol-
ska szkoła filmowa” była głośna
w świecie i głośna była lódzka
uczelnia.

Jego filmy były wówczas dla
nas odkryciem nowych możliwości
animacji — dowodził, że film
rysunkowy może być poezją, fi-
lozofią — może być wielką sztuką,
a nie tylko bajeczką dla dzieci.
Dziś jest to prawda banalna,
ale przecież to było ćwierć wieku
temu, mieliśmy po dwadzieścia
lat i umieliśmy się zachwycić i
fascynować.

Ale do rzeczy. W owym felie-
tonie, który się wówczas nie u-
kazał, bo nie ukazał się w ogóle
numer świąteczny „Odgłosów”, pi-
sałem o tym, jak bardzo pasuje
mi do współczesności — spisana
przed laty — refleksja Stonim-
skiego na temat filmiku Mc La-
rena. Stonimski bowiem pisał:

„Jeden z tych filmów mówi o
walce przedmiotów kwadratowych
z przedmiotami kulistymi. Kwa-
dratowe poruszają się na dro-
bnych nóżkach, kuliste toczą się
jak piłeczki. I cóż widzimy na
tym kolorowym obrazku? Gdy
więcej jest kwadratów niektóre
kuliste szybko zmiatają się
z kwadratów i te właśnie nowo
kreowane kwadraciki najzajad-
lej biją pozostałe w mniejszości
piłeczki. Coś mi to przy-
pomina — pisze Stonimski —
ale nie chcę zbierać zbyt wiele
tematu”.

Otóż moja refleksja zaczyna się
w tym miejscu, gdzie refleksja
Stonimskiego się kończy.

„Miniony rok — pisałem wów-
czas — przypomina mi właśnie
taką walkę kwadratów z ku-
leczkami. Bardzo, bardzo wiele
obtych kuleczek przestoczyło się
szybko na kwadraciki i zaczęło
łać pozostałe kuleczki. Szkoda, że
Stonimski nie pisał, że jest po-
inta tego filmu, ale z doświadcze-
nia życiowego wiem, że w sprzy-
jającej i wygodnej chwili nowo
kreowane kwadraciki znów zmie-
niają się z powrotem w kuleczki i
będą najzajadlej obcinać kwadra-
cików rogi”.

Tak pisałem cztery miesiące
temu.

No i stało się! Kuleczki, które
w minionym roku przestoczyły
się w kwadraciki — dziś znów
przebrały obłe kształty, ale ostro
zabierały się do pozostałych jesz-
cze kwadratów, aby im poobci-
nać rogi i zaokrąglić na obraz
i podobieństwo swoje.

Film, który wywołał refleksję
Stonimskiego w końcu lat sze-
stendziesiątych — wywołał się w
prostej linii z refleksją Ionesco
piszącego „Nosorożca” w końcu
lat pięćdziesiątych. „Nosorożec”
ogładany dziś sprawia wrażenie

naśladuje się do niczego. Znamy
dobrze te obrazki, widzimy je
codziennie, większość z nas zda-
żyła się już zahartować i zo-
bojętnieć.

Komu powiedzieć o tym, że
pionowy pręt przy wejściu do
tramwaju trzymał się tylko
podłogi, a o sufit był ledwie
oparty i kto się go chwycił le-
ciał śmiejąc się z nosem do przodu
przez pół wagonu? Albo o tym,
że żadne kwiaty, żadne
trawki nie ozdobią nigdy na-
szego miasta, bo zostaną bez-
miesiecznie zatrutowane, bo nie
gryzą i nie parzą w stopy
wandalów nie liczących się z ni-
czym, deptających wszystko co
na drodze?

Jeden jest tylko malutki wy-
cinek naszego społecznego, nie-
łatwego bytowania, gdzie widać
uparte, konsekwentne, stanow-
cze dążenie do utrzymania po-
rządku: to porządek w zakre-
sie regulowania ruchu drogo-
wego. Pedantyczni specjaliści
dopatrzą się zapewne i tutaj
wielu niedociągnięć. Ale daj
Boże, żeby doświadczenia w
tym zakresie objęły wszystkie
dziedziny życia. A może spró-
bować, może dałoby się nie-
które z tych doświadczeń upo-
wszechnić?

Myszę tym razem o istnie-
jącej od wielu lat instytucji,
zwanej — Społeczną Inspekcją
Ruchu. Dobry, doświadczony
kierowca otrzymuje lizak, le-
gitymację i książeczkę man-
datową. Prowadząc wóz, nigdy
nie wie, czy ten pan w „Po-
lonie” przed tobą nie ma
właśnie takiej książeczki, i na
wszelki wypadek nie puszczasz
wody swej molojeckiej fan-
tazji na trasie. Może znaleźli-
by się szlachetni strażnicy, go-
towi podjąć się analogicznej
funkcji Społecznej Inspekto-
ra Gospodarności? Żeby ktoś
taki wyciągnął z kieszeni ową
złowrogą książeczkę i opisał w
niej typa, ciskającego państwo-
we, czyli niczyje cegły, i tego,
co tapomnił na noc wyłączyć
reflektory, i tego, co maszynę
zostawił w błocie i zapomni-
ał, bo to nie jego, i tego, który na
składzie mebli, rzucił nowiut-
kie krzesła na wysoki stół, za-
pelniając je opałowe drewno.

Niestety, taka jeszcze panu-
je obyczajowość, taka społecz-
na aura, że ktoś zwykły, kto
by chciał po obywatelsku in-
terweniować w przypadku jas-
kawego niechlujstwa, bezmy-
ślności, marnotrawstwa, nie-
gospodarności — naraziłby się
na pewno na niezłą wziętą so-
czystych słów.

Spróbujmy więc legityma-
cji, lizaka i mandatów. Może
uda się tak, jak udało się w
służbie ruchu?

WŁODZIMIERZ
KRZEMIŃSKI
(ĆWIEK)

Sport

Pom-
nik
ży-
wemu

Na ulicy Narutowicza leżał
przez parę miesięcy stos cegieł,
ułożonych równo pod ścianą.
Myszę, że jeśli wpadły w oko
komuś, komu były potrzebne
— to sobie po prostu brał, wi-
dząc, że i tak marnieją na de-
szczy, śniegu i mrozie. Ale
pewnego dnia, gdy akurat tam-
tędy szedłem, stała na jezdni
cieżarówka, a krzepki młodzie-
niec wrzucił na nią te cegły z
rozmachem ponad całą szeroko-
ścią chodnika, a więc na odle-
głość dwóch — trzech me-
trów. Z całą pewnością rzadko
która z cegieł wyładowała cało

Cóż to jest — pareset cegieł,
wobec całych kombajnów za-
stawianych na wiele miesięcy
w szczerym polu, co widzieli-
śmy w całej okazałości w tele-
wizji.

Cóż to jest, że nad wejściem
do jakiegoś urzędu pionie rze-
siste oświetlenie przez całą
noc, że na zupełnie bezużytecznym
skrzyżowaniu pracują całą noc
automatyczne światła regulu-
jące połowę ruchu (połowa
światel nie pracuje), że przez
szybę wybitą przed trzema la-
ty wieher wieje jak chce i wy-
miata z całej klatki schodowej
w moim bloku zmudnie ciuła-
ne ciepło, że meble w trans-
porcie z fabryk do magazynów,
a potem w magazynach trak-
towane są brutalnie, aż się
serce kraje, że drządzi z nich
i październik leci i co drugi nie

nas się nie praktykuje. Od ja-
kiegoś czasu, bowiem nie tak
dawno stawialiśmy pomniki ży-
wym i jakoś to nikogo nie ra-
ziło. Zmieniły się czasy i Lech
Cergowski musi przywołać
ucieczka Stanisława Marusarza
z więzienia Montelupich w
Krakowie, jego kurierskie wy-
czyny po tej ucieczce, jego za-
sługi dla narciarstwa, wicemi-
strzostwo świata w skokach
narciarskich uzyskane w 1938
roku w Lahti. Bo gdyby —
rozumie Lech Cergowski —
Stanisław Marusarz zginął w
czasie wojny, mielibyśmy nie-
wypłynie memorialu jego imie-
nia, postawiono by mu moza-
i pomnik. A tak?

Ideę pomnika dla Stanisława
Marusarza Cergowski wymyślił
dość dawno. Interesował się
nią nawet rzeźbiarz, prof. Ma-
rian Konieczny. Ale jakoś się
do niej niechcieli. Może też
pomysł: pomnik żywemu? Nie
uchodzi. Poczekajmy, aż
„Dziadek” zamknie oczy, a
wtedy... zobaczymy. Ja, gdyby
mnie ktoś zechciał zapytać,
nie mam nic przeciwko sta-
wianiu pomnika żyjącemu —
oby żył jak najdłużej — Sta-
nisławowi Marusarzowi. I niech
będzie na Krokw. Zasłużył so-
bie na to w pełni. Niech mło-
dzi biorą przykład. Niech wie-
dzą, że kiedyś bywali tacy
wspaniali mężczyźni.

Mam jednak pewną malutką
wątpliwość, tak — wątpliwość,
która mi w tej zgodzie na po-
stawienie pomnika żywemu
Stanisławowi Marusarzowi tro-
chę przeszkadza. Nic wielkie-
go, ale zawsze. Otóż, chodzi mi
o to, że młodzi jakoś nie biorą
przykładu ze starszych, tylko
biorą nogi za pas i jadą sobie
za granicę w poszukiwaniu i
chleba, i sportu. W tymże sa-
mym „Przeglądzie Sportowym”
Andrzej Ziemiński — w dodat-
ku na tej samej stronie, na
której Lech Cergowski upomi-
na się o pomnik dla Stanisła-
wa Marusarza — gorzko pisał
o emigracji polskich narciarzy,
którzy za granicą znajdują
warunki nie tylko dla upra-
wiania swojej sportowej mi-
łości do narciarstwa, ale i pra-
cę w sporcie. Andrzej Bachle-
da na przykład jest trenerem
w jednym z największych
francuskich klubów narciar-
skich w St. Gervais koło Cha-
monix. Niestety, nie u nas.

Dlaczego tak się dzieje? Czy
tylko dlatego, że za granicą
jest „szmal”, który potem moż-
na znakomicie wydać w kraju
i urządzić się na resztę życia?
To też zapewne u tego czy in-
nego się liczy. Ale jest też
ważniejszy powód. My wpraw-
dzie mamy góry, ale dla nar-
ciarzy nieprzydatne. Wystarczy
pojechać do sąsiadów z drugiej
strony Tatr, aby przekonać się,
co można i trzeba zrobić. Tak
również robią Bułgarzy. Tak
postępuje się w całej Europie.

A my miewaliśmy, i zapew-
nie mieć będziemy, piękne pla-
ny. Budowaliśmy „drugą Pol-
skę”, i oczywiście „drugie Za-
kopiane”, które miało już kon-
kretne plany i miało się zna-
leże na Śnieżniku. Zresztą in-
nych planów, co by to można
było zrobić z naszymi górami,
też było pełno. Mamy również
jeziora w Polsce. I o nich się
myśli, czego to by nie można
nad tymi jeziorami zrobić. I na
planach wszystko się kończy,
albo na dzieleniu brzegów na
działki, na których stawia się
„psie budki” bądź „góralskie
domki”. Ale wróćmy w góry.

Nie trzeba mi przypominać,
że mamy kryzys i wszelkie
plany inwestycyjne należy od-
łożyć do lepszych czasów. Nie
wiem tylko, skąd wezmą się
owe lepsze czasy. Same nadej-
dą? Dobry Bóg nam je wraz z
manna z nieba zesle? A może
sami musimy sobie je stwo-
rzyć? Własną pracą. Zmudnym
realizowaniem, z uporem i w
pocie czoła, naszych wspania-
łych planów, a nie bawić się
tylko w ich konstruowanie. Je-
śli więc tak, to może ten pom-
nik Stanisława Marusarza nie
powinien ograniczać się tylko
do pięknego monumentu, ale
ten monument, być może, po-
winien stanąć w ośrodku spor-
tów narciarskich w Zakopa-
nem i nosić imię Stanisława
Marusarza. Może niech to bę-
dzie początek idei zagospodaro-
wania sportowego naszych gór,
tak, żeby i szkoda im się nie
stała i tak, żeby rozwijał się

u nas sport narciarski. Myślę,
że z takiego połączenia idei
pomnika i idei rozwoju sportu
narciarskiego Stanisław Maru-
sarz byłby chyba najbardziej
zadowolony. Co mu bowiem
i po najpiękniejszym pomni-
ku, kiedy narciarstwo będzie
umierało?

Taka to jest ta moja mała
wątpliwość, wątpliwośćka na-
wet.

BOGDA MADEJ

P. S. Sympatykom Zbignie-
wa Bońka polecam jego wy-
wiad z red. Krzysztofem Wa-
growskim opublikowany w nr 1
„Sportowca”. Tym razem pi-
karz rozmawia z dziennika-
rzem. I to jak rozmawia!

B. M.

4

Spojrzenie
znad
szachownicyGra
o
wszyst-
stko

Dla dziennikarzy, zwłaszcza
dla zespołów redagujących pe-
riodyki, „gra o wszystko” stała
się w tej chwili gra o czytelnik-
ów; wystarczy rzucić okiem
na lady w kioskach „Ruchu”,
aby się o tym dowodnie prze-
konać. Obraz gry jest wszelako
złożony, wiele w niej niewiado-
mym, nie mamy pojęcia na
przykład jaką część domo-
wego budżetu czytelnicy będą
chcieli — bądź mogli — prze-
znaczyć na zakup gazet i cza-
sopism, usiłujemy też jedynie
zgadywać, jaki model pisma
mógłby okazać się poszukiwa-
ny, a jakie tytuły zaczynają na
oślep toczyć ze sobą bój o tego
samego odbiorcę. Kuszeni żylką
hazardu moglibyśmy niby pró-
bować sami rozeznaczyć się w po-
trebach rynku i tak pismem
sterować, aby trafiło w jeszcze
nie zaspakajane czytelnicze gu-
sta, czy jednak podobnie zuch-
wała rozgrywka nie spotka się,
aby z dezaprobatą kibiców,
którzy zawsze wszystko wiedzą
najlepiej?!

W szachach nie byłoby tych
problemów, choć oczywiście i
tu zdarzają się partie grane „o
wszystko”, decydujące — po-
wiedzmy — o wejściu do „wiel-
kiej ósemki” pretendentów, czy
nawet o tytule mistrza świata.
Pewne podstawowe reguły po-
zostają wszakże niezmiennie,
możemy poświęcić figurę za
figurę, aby dać mat ostatnim
pionkiem, a i tak zostaniemy
obwołani zwycięzcą. Nikt się
nie skrzywi, partner co najwy-
żej, ale on także nie będzie os-
mieślał się protestami, że ci z
drużyny „Odgłosów” grają nie
fair i jak w ogóle śmieli sobie
począć w ten sposób.

Przypuśćmy przeto, że spró-
bujemy zagrać jak dawni mistr-
zowie, zaraz po debiucie —
czyli rozpoczęciu partii — po-
mni na tradycję Samosierry bo-
hatersko poświęcając konie,
poetów na lotnych pegazach.
Stratę koni rekompensują nasze
skromne czarne pionki — jak
na złość gramy bowiem czar-
nymi — które maszerując na-

przód zajmują ważne pola na
szachownicy: na jednym polu
zakładamy kącik wędkarski, na
drugim — filatelistyczny, na
trzecim — kynologiczny, na
czwartym wreszcie sobie tylko
znanym sposobem odnotowując
czarnorynkowe notowania wa-
lut od Warszawy po Nowy
Targ.

Potem przychodzi czas na jed-
ną przynajmniej wieżę. Po co
nam wieża, w wieży, nie wy-
kluczone, że z kości stoniowej
(wieże były kiedyś rzeźbione
na grzbietach bojowych słoni,
potem jednak rzemieślnicy za-
czeli się lenić i zostało ni sio-
ni owo) ukryli się z pewnością
jacyś artyści, my zaś potrzebuj-
my przestrzeni do bojowych
działań. Poświęcamy przeto
wieżę i znów awansujemy
nasze pionki w przekonaniu, że
okultyzm, poznanie pozamysło-
we, parapsychologia, słowem.
to jest to, czego czytelnicy lak-
ną najbardziej.

Im mniej mamy figur, tym
bardziej zapal nas ponosi, w
ostatycznej tedy determinacji
poświęcamy hetmana, prof. dr
hab. Andrzeja F. Grabskiego z
całą tematyką historyczną włą-
cznie (proszę jednak zważyć,
Szanowny i Drogi Profesorze,
że uprawiam tu szachową fa-
ntastykę, skoro więc obieca-
łem coś dla nas napisać, nadal,
nieprawdaz, trzymamy za sło-
wo...). Pozwala to nam opano-
wać niesłychanie ważny punkt
strategiczny na szachownicy, na
którym natychmiast umieszczamy
krzyżówkę z kociakiem, a
nawet — iżby przelicytować
„Przekrój”, a zbliżyć się do
„Playboya” — z kociakiem w
kapieli. Jeszcze parę męskich
ruchów — których nie zdradzę,
tak jak nie zdradza się planów
strategicznych przed ważną
bitwą — i cała szachownica
jest już nasza.

Odtąd dajemy kolosalny
wręcz dochód. Wydawca płacze
ze szczęścia, a nawet rosi nas na
rękach z Mickiewicza na Pio-
trkowską 96 i z powrotem (na
rękach, bo znów mu obcieli
przydział benzyny). Potem py-
ta: — Kochani, co ja dla was,
co ja dla was, na herbatkę
może zaprosić, albo jak...

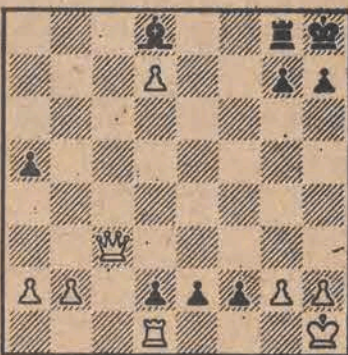
— Herbatka, owszem, może
być — my na to — ale tak w
ogóle chcielibyśmy jeszcze wy-
dawać tygodnik...

— Tygodnik — dziwi się
wydawca — przecież, jeżeli się
nie myle, posiadamy tygodnik,
niezły nawet.

— Niezły — mówimy skrom-
nie — ale jakby nie taki, jaki
miał być w zamysle. A ponie-
waż „Odgłosy” zajmują się
właśnie zarabianiem pieniędzy,
proponujemy „Nowe Odgłosy”
żeby było oryginalnie, a jedno-
cześnie żeby nawiązać do tra-
dycji.

Zespół „Nowych Odgłosów” też
jednak okazuje się nie w cie-
mię bity i gra o wszystko za-
czyna się od początku...

JERZY



POST SCRIPTUM TYLKO DLA
SZACHISTÓW: Podobnie jak jedna
z partii Tarrascha była inspirowa-
na dramatem Karola Irzykowskiego
„Zwycięstwo”, tak myśl o trium-
fującym pochodzie czarnych pionków
podsunęła mi partie Mc Donell —
de La Bourdonnais z cyklu mecz-
owych spotkań rozgrywanych w la-
tach 1834—1835 w Londynie. Końco-
wą pozycję ilustruje diagram
(miało nie być diagramów, traktuj-
my to jednak jako wyjątek od re-
guly, gdy zaś wyjątek zaczyna się
pomnażać, same stają się regułą
i odwrótnie). Bole za na ruchu,
lecz — czarne wygrują, nawet
gdyby zajęły jedną z dwóch ostat-
nich figur, wieżę lub gonia.

ODGŁOSY 15

Miłość staropolska

Publikowane dziś fragmenty książki ZBIGNIEWA KUCHOWICZA pochodzą z rozdziału pt. „MIŁOŚĆ W KULTURZE SZLACHECKIEJ I LUDOWEJ”

Miłość w czasach staropolskich manifestowała się w zależności od obowiązującego w danej warstwie modelu kultury. Upraszczając sytuację można podzielić społeczeństwo na dwa kręgi: związane z kulturą szlachecką i ludową. Do pierwszej trzeba zaliczyć także bogatsze mieszczaństwo a umownie — również posiadającą w zasadzie swój własny model magnaterię. Jeśli chodzi o kulturę szlachecką to jej stosunek do miłości stanowił wynik różnych uwarunkowań, zarówno biologicznych, jak środowiskowych, a więc rygorów i wzorów obyczajowych ukształtowanych pod wpływem religii, wpływów — studiów w kraju i za granicą, odrzucało rolę uznawanie pewnych ideałów, m. in. szczęścia w domowym zaciszu. Na tej liście należy umieścić również przywileje stanowe, niezależność od jurysdykcji duchownej i w ogóle posługiwanie się odrębnym prawem. Prawo ziemskie, w przeciwieństwie do miejskiego czy przepisów obowiązujących chłopów, nie przewidywało kar za cudzołóstwo, w ogóle nie rozpatrywało tych spraw traktując je jako dziedzinę najzupełniej prywatną. Fakt ten spotykał się z surową naganą ideologów religijnych i myślicieli z poszczególnych obozów reform, lecz nie zmieniało to stanu rzeczy (...)

Trzeba z miejsca podkreślić, iż szlachta wcale nie lekceważyła spraw i potrzeb ciała, nie tylko w sensie gastronomicznym, o czym się tyle mówi i pisze, lecz także erotycznym. Zachowanie propagowane przez religię czystości, niewinności, traktowano jako ideał, wzór, wysoce trudny jednak do zrealizowania. Znamienna jest opinia księdza Jaroszewicza, który opisując „białe małżeństwo” biogostawionej Kingi z Bolesławem Wstydlwym traktuje je jako coś szokującego wyjątkowego: „Złaczona jednak ta święta para nie ciałem, lecz sercem, pokazała na sobie przykład niesłychany w Polskim Narodzie, a bardzo rzadkiej w Kościele Świętym cnoty, gdyż czysta Kunegunda pierwszej zaraz nocy obłubienia swego skłoniła do tego, aby dogonna czystość i powściągliwość zachowała (...). Zwykłym, a nie przyrodzonym, Obiecał to rzetelnie, a po tym ślubem publicznym w kościele (...) na czystość wieczną się obowiązał, przez którą cnotę cudem się stał wszystkim, swoim i obcym”. Przypomnę, iż w ówczesnej medycynie, także domowej, panowało przekonanie, iż abstinencja jest szkodliwa dla zdrowia, przyjmowano, że małżeńskie pożyście cielesne działa zbawienne na zdrowie obojga małżonków.

Powszechnie uznawano potrzebę uprawiania miłości fizycznej, prowadzenia regularnego, nawet intensywnego życia piciowego powodującego rozładowanie napięć. Traktowano to wszystko jak jakiś zabieg higieniczny, najprostszy, bez wyrafinowania, z myślą, by później móc spokojnie oddawać się innym przyjemnościom życia czy rozlicznym obowiązkom. Pośród Sarmatów słusznie dostrzegano, iż żywy temperament, Tadeusz Chrzaniowski pisze, iż cechowała ich „wieczna młodzieńczość, jurność, krępa ostantacyjna i nieokleśniona radość krwi”. Rozpatrując poezję szlachecką Backis znajduje, obok utworów wielbiących miłość rycerską o charakterze sentymentalnym, także drastyczności wiążące się z osobowością ówczesnych ludzi. M. in. pisze: „Jako, że ludzie ci nie byli zgoda jakimiś bezpiełymi aniołami, raczej przeciwnie — napór ich temperamentu i lubieżnej (dość natwój) wyobraźni znajduje sobie upust w trzecim gatunku literackim, we frasce”. (...)

Jest rzeczą znaną, że szlachta, która wprowadzała rygorystyczny obyczajowy pośród siebie, kierowała się odmiennością moralnością seksualną, pozwalającą jej na dość swobodne konsumowanie zakazywanego poddanym owocu. Równocześnie jednak pozwoliła sobie narzucić kontroformacyjną postawę powodującą cenzurowanie twórczości, tuszowanie, a nawet tepienie zmysłowości w literaturze, sztukach pięknych. Pozwoliła, by odarto seks z piękna, jakim przyozdobił go antyk czy Renesans włoski. Aproba zewnętrznego wstydlwości, przyszłowiego figowego listka przyzniosła ze sobą nie tyle umiarkowanie, umoralnienie, co wulgaryzację miłości fizycznej. Nie wszyscy poddali się temu trendowi, mimo to on jednak właśnie zatriumfował. Pociągnęło to za sobą m. in. zwiększenie się stydlwości ciała oraz dystansowanie się od sztuki kochania na rzecz, powiedziałbym, „rzemieślniczego” stosunku do tych spraw. Amor nadwiślański zagubił zmysłowość, subtelność, stał się zaś chybą nazbyt „męski”, przede wszystkim agresywny, jurny. Zmienił się oczywiście, przyglądzi, odrubasznił w okresie Rokoka, nie zdołał jednak narzucić nowego stylu całej sarmackiej społeczności.

Przejdziemy do spraw miłości duchowej, poprzedzając wysublimowanych. Tutaj przeważał zaprezentowany już ideał Reja i jego kontynuatorów, także luminarzy naszej nauki, łącznie z Jędrzejem Śniadeckim, pomijających miłość lub traktujących ją jako rodzaj choroby zakłócającej spokój i harmonię życia wewnętrznego. Szlachta — myślę o mężczyznach tego stanu — uważała, iż przed- czy pozamałżeńskie amory są mile, ale naganne, grzeszne. Przyjmowała, iż w każdym człowieku tkwi kapitał uczuciowy, którego nie należy rozmięniać na „drobne”, lecz wnieść do małżeństwa, spowodować, by tam dopiero procentował z zasłużoną wobec prawa kobietą.

Pragnę mocno to podkreślić: miłości nie eliminowano z życia, występowała — ona nawet często, lecz rezerwowano dla niej miejsce w małżeńskim związku, wiążano ją ściśle z uczuciem przyjaźni, lojalności. W naszym pamiętnikarstwie spotyka się poglądy, że miłości przedślubnej do XVIII w. po prostu się wstydzono. Nie ulega wątpliwości, że uznanie dla porywów serca w kulturze szlacheckiej wzrasta na przestrzeni omawianego okresu, silniej wystąpił pod jego koniec. W kulturze tej dostrzegabym zresztą oficjalny i prywatny stosunek do miłości duchowej: pierwszy był wstrętniejszy, nawet surowy, drugi ukazywał jednak inną część natury ówczesnego Sarmaty, mimo wszystko pragnącą i poszukującą miłości.

Postawa oficjalna wiązała się z obowiązującym sposobem życia. W dziejach kultury ludzkiej, zachęcano ludzi do uprawiania miłości i wojny. W każdym modelu przeważał jednak jeden z celów. Już Plutarch wskazywał, iż

seksualna moralność Spartan dostosowała się do militarnej organizacji tego ludu. Eugenika Likurga i jego prawa regulujące stosunki małżeńskie miały na celu zwiększenie agresywności żołnierskiej. Przede wszystkim do uprawiania wojny nakłaniano nie tylko dawnych Germanów, lecz później i obywateli państwa pruskiego. Nakłanianie do miłości spotykamy zaś w starożytnych Atenach, w schyłkowym okresie Imperium Rzymskiego, w renesansowej Italii czy rokokowej Francji. Szlachta polska, jak już wzmiankowałem, opowiedziała się za nakłanianiem do wojny. Bynajmniej nie z powodu agresywności, czy chęci zdobyci, lecz w wyniku złożonych uwarunkowań, wśród których wcale nie najmniejszą rolę odgrywało położenie geograficzne. Wszakże nawet Polska „Złotego Wieku” miała trudności z jednej strony z Arzyżakami, z drugiej z Moskwą i Tatarami. Musiała także lawirować przed zderzeniem z mocarstwem Turcją. Sytuacja bardzo pogorszyła się od połowy XVI w., od fatalnego Korsunia, kiedy to gmach Rzeczypospolitej zachwiał się i poczęła trzęść pod naporem wewnętrznych konfliktów, przede wszystkim zaś agresji obcych potencji. Jest faktem, iż tej Rzeczypospolitej trzeba było bronić szablą, trzeba było być odważnym i sprawnym do owych słynnych „harców” z Tatarami, Kozakami, Turkami, Szwedami i innymi nieprzyjaciółmi ówczesnego państwa. O szlachci-cu XVII w. pisało, że:

(...) się rodził w obozie, we krwi go kąpała; A trzaskiem muszkietowym matka usypiała.

Za toczącymi boje oddziałami szła trop w trop śmierć, rażąc nie tylko żołnierzy, lecz nekającą trwogą i bólem ich najbliższych (...).

Te boje i mogły niosły jednak rycerską sławę, którą w szlacheckiej Polsce ceniono wysoko, którą opiewała literatura, pamiętnikarstwo. Ileż mówiło się i śpiewało o tych „kawalerach sławnych”, „żołnierzach nieprzelamanych”, strasznych Moskwie, Skandynawom i Krymowi. Świadomość niebezpieczeństw, zagrożenia, świadomość wartości, odwagi i wojennej sławy powodowała, że wychowano mężczyzn nie na sentymentalnych czy wyrafinowanych kochanków, lecz na nieustraszonych, sprawnych żołnierzy. (...)

W XVIII w. wiele się zmienia, szlachta rzadziej walczy, lecz w dalszym ciągu portretuje się w pancerzach, z szablami przy boku, w dalszym ciągu podtrzymuje dawne tradycje i pozuje na rycerzy. Tragiczny kres Rzeczypospolitej, która padła broniąc się przed przemocą zaborców, jeszcze uwypukliła potrzebę walki. Także i waga spraw publicznych. Nawet „poeta serca”, Karpiński, poświęcił swe pióro sprawie narodowej. W legionowej pieśni pojawił się postać dziewczyny, lecz nie kochanki jeno córki-patriotki, owej symbolicznej Basi, do której zaplakały ojciec powie:

Śluchaj jeno, pono nasi, Biją w tarabany.

(...) Miłość szlachecka ukazuje ambiwalencję natury ludzkiej, stąd też — zwłaszcza w wieku XVIII — obok owej wielbionej surowości, bogobojności, wstydlwości, dostrzeżemy i rozpustę, wyuzdanie, uleganie skłonnościom i amo-

rom nieprzystojnym — nawet w dzisiejszym pojęciu. Historyk Janusz Tazbir słusznie zwraca uwagę na fakty zmienności postaw na przestrzeni życia, np., że na starość przetruciano się od daleko idącej swobody do krainowej dewocji. Z jednej strony mamy rygorystów, purytanów, z drugiej możemy wejść w mrok namiętności, godnych pióra samego Szekspira. Oficjalnie obowiązuje surowa obyczajowość, wzruszenia są skrywane, szanuje się prawo do intymności przeżyte, przeciwstawia dziełom budzącym podniecenie. Jeśli wejść w te przeżycia, to dostrzeże się jednak napór skrywanej zmysłowości, rozładowany w małżeńskich łóżnicach, często przy pomocy szeroko stosowanych środków podniecających, znajdujący ujście w amorach nagannych, w gwałtach, w korzystaniu z zamtuzów.

Skarży się na zakazy obyczajowe, ujawniające owe „apetyty miłosne” Kasper Twardowski:

Nie wolno panny w jej panieństwie tykać,
Nie wolno do wdów smutnych się przyrykać,

Na mężatkę zaś snadź ani pozierać,
Ani przepłacać, ani też wydzierać,
Krewnej daj pokój, Boże racz zachować!
Mniszki nie pytaj — a kogóż milować?
Próżnych biatygotw, i tych zakazano.
Ledwo watażyć co wódy nas nie dano
W samym małżeństwie tylko pozwolono...

W rękopisach Biblioteki Kórnickiej znajduje się satyryczna „Instrukcja od stanu panieńskiego” podana Ich Mościom Panom Posłom na Sejm Warszawski 1641”. Znajdujemy w niej narzekania na te ograniczenia, m. in. zbyt długie załoty, podczas których panny swe „czary i lata tracą”. Zał, iż podczas niesfinalizowanych zabiegów tylko „gorączkę wewnętrzną miewamy”. Wymieniano tam rozmaite postulaty, m. in. „aby pannie według jej myśli wolno obierać sobie męża, gdyż nam więcej na tym należy niżli rodzicom naszym”, aby małżeństwa zawierane były w jednym wieku, by starzy wdowcy nie mogli pojmnawać młodek, itd. W całej tej „Instrukcji” przewija się dążność, by panny mogły „pociec zażyć”, które oddalały wymienione ograniczenia i reguły obyczajowe.

Mogę zapewnić czytelnika, że zakazy utrudniały, niemniej nie uniemożliwiały korzystania z wielonaznaczonych „pociec”. Krewkie i przemysłne natury wyzywały się nie tylko w papierowych żalach. O tym, jak było naprawdę, mówią pewne źródła, np. „Liber chamorum”, która ujawnia sekty pozamałżeńskich amorów, właśnie z meżatkami, wdowami, pannami, krewniaczkami nawet. Nie można zawierzyć wszystkim zawartym tam informacjom, niemniej wprowadzają one do klimatu dualizmu etycznego, podwójnej moralności.

Ten gąszcz zachowań i reakcji, tę mozaikę postaw i sytuacji odsłaniają różne źródła, m. in. realistyczny traktat dotyczący życia szlachty w pocz. XVIII w. pt. „Małpa-człowiek”. Autor, wydawałoby się, z najgłębszym przekonaniem piętnuje swawole, deprawujące wychowanie synów, rozwiązłość rodziców... i na-gle, jakby przyrzucając oko, częstuje czytelnika swawolnymi wierszami, w których cynicznie proponuje, by we dwóch — czy nawet

trzech korzystać z usług jednej niewiasty, na jednym „pracować warsztacie” i zaleca urok pozamałżeńskich amorów:

Zawsze smaczniejszy, minwszy swój stawek,
Z sąsiednich karaś albo karp sadzawek.

Podobną postawę spotykamy w osławionym „Złotym jarzmie małżeńskim”. Rozmaite gusta i zachowania, tak mężczyźni jak kobiety, ukazują w swym poradniku Aleksander Paweł Zatorski (...)

Kajetan Koźmian w pamiętnikach swych dotyczących schyłku XVII w. ukazuje właśnie ową dwoistość obyczajów, ową staropolską pomieszaną skromności ze swawolą. Omawiając dzieje szlacheckich rodzin lubelskich pisał: „Nie znam po szczególe annales domowego życia tych rodzin, a potwarz lub obmowa pisać nie chce. Były zapewne pomiędzy nimi z czystości obyczajów znane, lecz ileż było, i to powszechniej, takich co mimo pozornej surowości, pobożności, aż do fanatyzmu posuniętej, groźnej nad dziećmi strażą, w łonie swoim żyły najbezwieczniejszą rozpustą i rozpasaniem ciała cielesnych (...). Przez manki, nianki, pokójki krew szlachecka dostawała się między włóścian. Dorodni słuźacy i dworska czeladź przelewała krew swoją w szlachcie”.

Różnorodność postaw i zachowań w interesującej nas tu materii przedstawia w swych bogatych również od strony obyczajowej pamiętnikach, dotyczących Wielkopolski schyłku XVIII w. Kwilecka-Fiszera. Pamiętnikarka nie weszła za skandalami, nie demonizuje faktów, daje nam jednak dużo informacji. Według niej swoboda cechowała przede wszystkim wielkie dwory oraz ludzi, którzy otarli się o wielki świat.

Pamiętnikarka Aleksandra Tarczeńska osobliście reprezentuje surowe zasady, zamieszcza wszakże sylwetki „osób romansowych”. Ukazuje m. in. młodziana, który nawet w miesiacach narzeczeństwa ubiegał się „jak zagorzały za każdą, czy piękną, czy szpetną; byle samizka już wzniesła jego ciekawość i uwielbienie”.

Chodzi jednak nie o pojedyncze przykłady, lecz typowe postawy. Wydaje mi się, że jeśli mężczyźni postępowali na ogół dość swobodnie, wzorce kultury sprawiły, iż niewiasty zachowywały się na ogół bardziej powściągliwie. Jedźciej Śniadecki na początku XVIII w. pisał: „Szlacheckie niewiasty ubiegają się z sobą w przepychu i strojach, lecz wstyd największą jest u nich zaletą. Jednakże poufale żartowali, gawędzili ze znajomymi i tańczyć — za żadną nie poczytują zakale. Mężowie w niewinności ich wierząc, wszystko na lepsze tłumaczyli, nigdy nie podejrzewali zadróżnie cnoty małżonek”. Podobne mniemanie o szlachciankach posiada w II poł. XVIII w. krytycznie przecieżył ustosunkowany do rzeczywistości polskiej Francuz Vautrin. Czudziłem się pisze: „Aczkolwiek pozory świadczą przeciwko nim, należy przyznać, że kobiety polskie są w ogólności cnotliwie. Grube słowa nie obrażają ich wstydlwości, ale nie wywołują też w ich wyobraźni niepokojów, którego obawiają się bardziej zepsute serca”. Chce zaakcentować słowo „w ogólności”, można bowiem oczywiście prezentować całą galerię swawolnic, chodzi wszakże o zachowania przeważające. (...)

Jeśli szlachcianki były na ogół wierne i skromne, to z kim grzeszyły, ciesząc się większą swobodą obyczajową, mężczyźni? Z pokojówkami, służącymi, poddankami, z różnymi „Amorantami” i „plugawicami”, z pospolitymi „małpami”. Ostatnie niby cmy do światła ciągnęły na szlacheckie trybunały, zjazdy, komisje. Towarzyszyły jednak wojskowym, lokowały się nie tylko po wielkomejskich apartamentach, czy obrzydliwych spelunkach, lecz czasem i karczmach wiejskich, prowincjonalnych zrynkach. Prostytucja była zresztą wtedy dużo bardziej rozpowszechniona na Zachodzie, w XVIII w. najwięcej „dam tego fachu” było w Paryżu i Londynie. U nas amoroowano raczej w swym kręgu, zdobywano sąsiadki, znajome, kuzynki. Tego rodzaju miłości uwiecznili wielcy poeci początków XIX w., przykładem romans Tadeusza z Telimą, czy fredrowego Wacława z Podstoliną, Alfreda z Elwirą. W kulturze szlacheckiej takie awanturki przyjmowano jako coś naturalnego, jako „grzechy młodości”. Stale tylko uważano, że w czasach poprzednich bywało „lepiej”. (...)

Jeśli chodzi o gmin szlachecki, wszystko wskazuje na to, że jego obyczaje były surowe, iż po zaściankach i dworach kwitły przede wszystkim małżeńskie miłości, pod strzechami i gontami dworów zamieszkiwały często rzeczywiście owe cnoty wielbione tak przez moralistów.

Czytelnik mógłby powziąć mniemanie, że miłość w kulturze szlacheckiej przedstawiała się prymitywnie. Albo też wysunie o naszych przodkach krzywdzący sąd na podstawie passusów o podwójnej moralności. Toteż podkreślić pragnę, iż historia pozostawiła nam doprawdy budującą ilość faktów świadczących o humanitaryzmie, a także — choć brzmi to trochę paradoksalnie — postępowości sarmackiej, która w wielu dziedzinach związanych z kulturą miłości, z zachowaniami ludzkimi okazywała się wyższą, bliższą naszym czasom, niż osławiona obyczajowość angielska, włoska, francuska. Wiazało się to z rolą i oddziaływaniem ukształtowanej w Polsce kultury, z rolą humanizmu nie tylko epoki Odrodzenia, lecz także Baroku, wreszcie z cechami polskiego charakteru narodowego. Czym dłużej badam te sprawy, tym większego nabieram przekonania o poziomie, o klasie tych ludzi. Stworzyliśmy rzeczywiście kulturę, która nie bez podstaw fa-seynowała całą Wschodnią Europę. Zdaje sobie sprawę z ówczesnego różnicowania społeczne-go i intelektualnego, lecz mniemanie, iż z nabytą krzywdzącą przesadą powielano na cały stan i epokę obraz prymitywnych, zaplaczonych kręgów szlachty, tracąc z pola widzenia osiągnięcia szerokiej elity, poziom większości szlachty średniej. Na stan szlachecki, czy przynajmniej jako liczne kręgi silnie promieniowała, aczkolwiek „ochrzczone” wielką kulturą antyku, poznawana podczas studiów nowoczesna myśl i sztuka Zachodu. Nie chciałbym przeceniać tych oddziaływań, ale jeśli wczyta się i wsłucha w pisma, mowy, głosy tych ludzi, rozpatrzy ich reakcje i czyny, to wydaje się jednak, że czynimy im krzywdę, zaliczając, w potocznym pojęciu, do rzędu prymitywów, od których jesteśmy rzekomo nieporównanie mądrzejsi, lepsi, moralniejsi. (...)



Rys. Maja Berezowska